

X. BISKUP BOUGAUD

ŚWIĘTY WINCENTY à PAULO

ŻYWOT I PRACE

I



KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ ——— WARSZAWA

Ksiądz
IGNACY WIEROBIEJ

Św. WINCENTY à PAULO
ŻYWOT i PRACE

Nr. inv. 10 Gr. A-10



107/v
Ks. 4

Św. WINCENTY à PAULO

ŻYWOT i PRACE

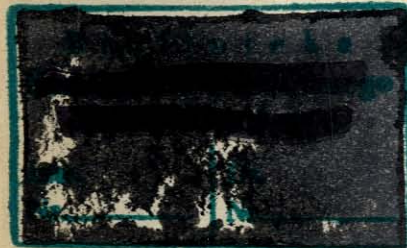
przez E. BOUGAUD, biskupa Laval.

Tłumaczył z 4-go wydania

B. Roszkowski.

== TOM I. ==

Nr. inv. 10. Ds. A-10



WARSZAWA

Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa.
Kraków G. Gebethner i S-ka.

1911.

NIHIL OBSTAT.

C. Sokołowski, S. T. M.

Censor librorum

Varsaviae. D. 9 Octobris 1911 a. D.

N^o 5407

Imprimatur

Varsaviae die 11 Octobris 1911 a

Judex Surrogatus

Praelatus Metropolitanus:

Leopoldus Łyszkowski

Pro Secretario J. Podbielski.



95580

K.143/48/101931

Spis rzeczy

Tomu pierwszego.

KSIĘGA I-a.

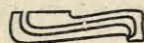
Bóg przygotowuje św. Wincentego à Paulo do wielkiego posłannictwa.

	Str.
Rozdz. I. Narodzenie św. Wincentego à Paulo. — Początkowe wychowanie. — Święcenia kapłańskie. 1576—1600.	1
Rozdz. II. Niewola św. Wincentego à Paulo w Tunisie. — Podróż jego do Rzymu. — Wraca do Francji z sekretnymi depeşami do Henryka IV. 1600—1609.	12
Rozdz. III. Św. Wincenty à Paulo poddaje się pod kierownictwo o. de Berulle. — Za jego radą decyduje się przyjąć probostwo w Clichy.	34
Rozdz. IV. Pierwszy pobyt św. Wincentego à Paulo w rodzinie Gondich. 1613—1617.	36
Rozdz. V. Św. Wincenty à Paulo proboszczem w Châtillon-les-Dombes. — Początek wprowadzania kobiet chrześcijańskich a potem i mężczyzn do posługi ubogich. — Powrót do domu Gondich. — Rozwój dzieła Miłosierdzia. 1617—1621.	51
Rozdz. VI. Początek dzieła dla galerników. — Św. Wincenty à Paulo przyjmuje kajdany skazańca. — Podróż do kraju rodzinnego. 1622—1623	77
Rozdz. VII. Fundacja dzieła misyj — Śmierć hrabiny de Gondi. — Mąż jej Filip-Emmanuel wstępuje do Oratoryanów. — Św. Wincenty usuwa się do kolegium des-Bons-Enfants. — Po pięćdziesięciu latach przygotowania, gotów już jest do przedsięwzięcia wielkich dzieł swoich. 1624—1625.	93

K S I Ę G A II-a.

Prace św. Wincentego à Paulo nad reformą kleru.

Rozdz. I. Św. Wincenty à Paulo osiada w kolegium des Bons-Enfants. — Stamtąd przenosi się do św. Łazarza. — Początek kongregacyi Misyjonarzy. 1625—1628.	2tr. 107
Rozdz. II. Ćwiczenia duchowne kandydatów do święceń. — Konferencye środowe. — Początek reformy kleru. 1628—1635.	120
Rozdz. III. Seminarya. 1635 — 1642.	137
Rozdz. IV. Św. Wincenty à Paulo sprzeciwia się fałszywej reformie Kościoła, o którą kusił się Jansenizm. — Śmierć Świętej Chantal. 1642.	156
Rozdz. V. Święty Wincenty à Paulo sprzeciwia się fałszywej reformie Kościoła, o którą kusił się Jansenizm. 1643. (ciąg dalszy) . . .	172
Rozdz. VI. Śmierć Ludwika XIII. — Św. Wincenty à Paulo powołany przez Annę Austryacką do „Rady sumienia”. — Usiłowania jego o nominacye dobrych biskupów. 1643—1653.	185



Przedmowa tłumacza.

Oczywistem jest, że ludzkość współczesna wogóle straszne przeżywa czasy. Nasze społeczeństwo może więcej od innych odczuwać to, doznając ucisku z zewnątrz, a zamieszania różnego rodzaju wewnątrz. I wśród gęstej mgły tego zamętu, wśród pomieszania pojęć, wielu nie widzi drogi, po której najbezpieczniej kroczyć do celu, przez Opatrzność wskazanego.

Mówi się wciąż o szczęśliwych warunkach bytu rzesz ludzkich i niezawsze z dobrą wiarą wskazują się środki, które niby do tej wymarzonej pomyślności wiodą i wyznaczają się ideały lepszej przyszłości, które przy bliższem ich zbadaniu, okazują się ułudami, ku przepaści i ruinie wiodącymi. Niedola i nędza ludzka rosną a ludzie dobrej woli trwożliwie pytają, jak jej zaradzić?

Środek skuteczny wskazuje święty Wincenty à Paulo; jest nim *M i ł o s i e r d z i e*!

Od trzechset blisko lat stoi drogowskaz z napisem tym: uratował on Francję wśród okropności Frondy i wojny Trzydziestoletniej, oraz zgubnych wysiłków Jansenizmu. Przetrwał straszne czasy wielkiej Rewolucyi i różnych przewrotów politycznych, społecznych i ideowych. Cztery wielkie armie Miłosierdzia z większą lub mniejszą siłą działają wciąż na świecie z niezaprzeczonem powodzeniem. Siostra Miłosierdzia i Misyo-

narz dotąd wobec ogólnego pomroku jaśnieją wśród ludzi skromnym i pokornym, lecz jasnym światłem niebiańskim. Panie Stowarzyszone i męskie Konferencje Świętego Wincentego à Paulo nie ustają w usiłowaniach ulżenia doli cierpiącym, a gdyby Bóg dał szersze rozpowszechnienie tych instytucyj, to bez wątpienia lepszemu by losu ludzie zaznali bez walk klasowych, bez oglądania się za złudami kolektywizmu, socjalizmu i tym podobnymi hasłami wolnomyślicielskimi, pseudo-postępowymi, niby liberalnymi, a w istocie tylko przewrotowymi.

Kraj nasz, zawdzięczając osobistym stosunkom ze Świętą królową naszej Maryi Gonzagi, był jednym z pierwszych wśród świata, który otrzymał był nowopowstałe instytucje wielkiego Świętego, organizatora dzieł Miłosierdzia we Francji. I rozpowszechniły się one po ziemiach naszych, mając grunt przygotowany przez podobne prace złotoustego Skargi naszego, a wśród nieszczęść, klęsk i przewrotów przetrwały jednak, choć częściowo, do dni naszych.

Ojciec Bernard Redemptorysta, w czasie rekolekcyj odbywanych dla mężczyzn w kościele Karmelitów w Warszawie w Wielkim Poście 1910 r., mówiąc o strasznym położeniu naszym, wypowiedział między innymi: „o jakże inaczej byłoby u nas, żebyście wy przynajmniej, wy wszyscy tu obecni zapisali się do Konferencji Św. Wincentego à Paulo. istniejących w Warszawie”. Słowa te wielkie wrażenie zrobiły na piszącym i były jedną z pobudek bliższego zapoznania się z tą sprawą. Zachęcony przez jedną z warszawskich Sióstr Miłosierdzia, której imienia nie wymieniam, przez szacunek głęboki dla zakonnej jej pokory, a ośmielony przez czcigodnego księdza Misyonarza, zabrałem się do spolszczenia niniejszego dzieła ks. Bougaud'a. A nie mniejszą też zachętę miałem i w tem, że autora tego bardzo wysoko cenię i głęboko poważam. Z powodu tłumaczenia mojej części dzieła „*Le christianisme et les temps presents*”, pamiętną mi jest rozmowa ze św. pamięci Elżą Orzeszkową, znakomitą pisarką naszą. Wypowiedziała ona, że „nie mówiąc o naukowej, teologicznej i dogmatycznej wartości jego pism, ona, jako pisarka sama, zaznaczyć musi przede wszystkim ogromny, niezwykły talent pisarski, znakomitą architekturę dzieła i wielką jasność traktowanego przedmiotu”. Historia świętego Wincentego à Paulo jest łądem śpiewem nieodżałowanego biskupa Bougaud. Wydawca pozostawio-

nego przez umierającego autora rękopisu, przyjaciel jego F. Lagrange w pięknej przedmowie do pierwszego wydania, na którą zwracamy uwagę czytelnika, słusznie powiada, że jak we wszystkich dziełach swoich, tak i w tej historii św. Wincentego à Paulo, Bougaud zawsze myślał o współczesnym społeczeństwie, stosując się do jego potrzeb i pojęć. Tłumacz przedsięwziął swoją pracę z podobną też myślą o swoim drogiem społeczeństwie skołatanym, pognębionym, rozdartym, zatrutym przez wolnomyślicielstwo, maryawityzm i inne wielorakie rany jego, na które jedynym może lekarstwem jest Miłosierdzie, Oby Bóg dał, aby pożyteczną była ta nieudolna praca moja!

Bobra, 6 Października 1910.

Przedmowa do pierwszego wydania.

Ks. Bougaud, który niestety zbyt krótko zajmował stolicę biskupią w Laval, był wielkim hagiografem, lecz przede wszystkim apologetą. Pierwsze jego żywoty Świętych: „Świętej Joanny de Chantal”, „Świętej Moniki”, „Błogosławionej Małgorzaty Maryi” są to prace apostołskie. Żywoty Świętych piszą się po to, by, jeżeli można, wytworzyć Świętych, a przynajmniej, by pobudzić ludzi do pobożności i do praktykowania cnót chrześcijańskich i utrzymać w duszach płomienie ognia świętego. Zamiarem też jego było wykazać, czym jest Chrystyanizm, przez ujawnienie owoców jego, stosownie do słów Mistrza: *Z o w o c ó w p o z n a j e s i ę d r z e w o*. Lecz były to prace w pewnej mierze wstępne, przygotowawcze. Wielkie dzieło, o którym wciąż myślał, które stawiał za zadanie życia swego, była to właściwie apologia. Tej pracy poświęcił on był długie lata i mógł je doprowadzić do końca. Istotnie jest ono i pozo-
stanie zawsze kapitalnem dziełem.

„*Le Christianisme et les temps présents*”: (Chrystyanizm i czasy obecne) jest to tytuł tej obszernej apologetyki, zawierającej: 1) Wstępne zasady wiary, jak to nazywają teologowie, to jest podstawowe i ogólne kwestye o religii; 2) kwestya poszczególna o Jezusie Chrystusie; 3) o dogmatach wiary; 4) o Kościele i 5) o życiu chrześcijańskim,—oto pięć tomów, które ukazywały się jeden po drugim, wznosząc stopniowo ów wspinały gmach przy rosnącym jednocześnie ogólnem zainteresowaniu się, a którego zakończeniu towarzyszyło powszechne uwielbienie. Metoda Bougaud’a to zwykła metoda teologów; lecz co nowem jest u niego, to sposób traktowania tych kwestyj i przystosowanie się do potrzeb dusz współczesnych. Nowością też był artyzm

autora i blask stylu, w którym jak w żywym słowie odbijała się cała dusza jego. Dlatego też pomimo wielkich imion innych apologetów współczesnych, można powiedzieć, że praca ks. Bougaud’a zajmuje bodaj pierwsze miejsce pomiędzy dziełami tego rodzaju. I dziś, gdy kapłan zastanawia się nad tem, jakie dzieło z największą korzyścią mógłby zalecić świeckiemu człowiekowi, aby go doprowadzić do wiary lub w niej utwierdzić, to prawie zawsze doradzi mu „Chrystyanizm i czasy obecne”.

Gdy to uczone dzieło zostało skończone, a było tak wielkiem w swoim zakresie, że zdawało się odsuwać na dalszy plan prace hagiograficzne, tak jednak doskonale same w sobie, to wszakże znakomity pisarz biskup Bougaud nie myślał o tem, by złożyć już pióro swoje tak płodne. Wielki pracownik z natury swojej, nie spędzał bezużytecznie czasu zostając przez lat osiemnaście w Orleanie przy biskupie, który był może najpracowitszym człowiekiem swojego czasu. Wracając więc do pierwszej myśli swojej wystawienia Chrystyanizmu przez Świętych jego, szukał na tem bezmiernych obszarów polu świętości imienia, któreby z największą korzyścią dla ludzi współczesnych mógł przedstawić, by ich zachwycić, oraz pociągnąć. Myślał z początku o świętym Ludwiku, tym wielkim królu i wielkim Świętym, wielkim królu dla tego właśnie, że był wielkim Świętym. Wybrał jednak w końcu inne imię, późniejsze, bliższe nam, które istotnie prościej, bliżej przemawia do duszy współczesnej, wybrał św. Wincentego à Paulo; tego o. Wincentego, który zdaje się być w XVIII wieku poprzednikiem wielkich dzieł, zleconych Kościołowi przez Opatrzność do spełnienia w wieku XIX.

Wiek XIX, to wiek demokracji; płynie ona pełnem korytem, jak to już powiedział Royer-Collard. Dziś każdy szuka chwały w służeniu ludowi. A co więcej: — ruch demokratyczny podniósł kwestyę socyalną, która przedstawia to szczególne niebezpieczeństwo, że wielu ludzi chciałoby rozwiązać ją nietylko bez udziału Kościoła, lecz nawet przeciw Kościołowi.

Wincenty à Paulo w cudowny sposób staje się rzecznikiem tej sprawy. Kto, gdzie i kiedy był większym nad niego sługą ludu? Nawet wiek XVIII, który nic nie uszanował, uchylał czoła przed tym wielkim dobrodziejem ludzi. A ogrom dzieł wykonanych przez tego człowieka z góry wykazał niemoc współczesnej chimery, która chciałaby zeświecić i odchrześcijanć samą nawet dobroczynność, i wskazał gdzie jest prawdziwe

źródło, prawdziwy geniusz miłosierdzia i skąd trzeba czerpać natchnienie do niego.

Taki jest ogólny punkt widzenia, w który zapałtrzony był Bougaud, pisząc historię życia św. Wincentego à Paulo. Czytając tę książkę, czuje się, że autor miał ciągle wzrok zwrócony na ludzi swojej epoki. Było to, jak przeczuwał, ostatnie dzieło jego, pragnął, by ono było jakby śpiewem łabędzim. Możemy powiedzieć, że włożył w tę pracę cały swój talent i całe serce swoje. Odczuwa się tu więcej, niż gdzieindziej, wykończony artyzm, czuje się żarliwość nieustanną, wykazującą pełnię siły, widzi się rozprawę doświadczonego pisarza i skończonego historyka.

Historia, powiadają, jest nauką i sztuką zarazem: jako nauka sięga do źródeł, zbiera materiały, a z drobiazgowymi poszukiwaniami łączy przenikliwą i surową krytykę. Bougaud namiętnie miłował prawdę i dokładność najmniejszych szczegółów. Pierwszym występowaniem jego była „Histoire du Saint Benigne” pierwszego biskupa Dijon, gdzie przy wielkiej erudycji wykazał umysł wybitnie krytyczny.

Sztuka w historii polega na obrobieniu zdobytych materiałów, na wyborze i rozkładzie ich, na wykazaniu czaru ich piękności, o ile przedmiot traktowany nadaje się do tego. Smak stanowi istotną część sztuki. Pamięć o tem nigdy nie opuszcza Bougaud’a, czy to gdy chodzi o rzecz tak ważną we wszystkim, jak układ i uporządkowanie materii, co poeta nazwał *lucidus ordo*; czy też gdy chodzi o styl, który on zawsze opracowywał, cyzelował i umiał pogłębiać przedmiot traktowany przez gruntowne się weń wmyślenie. A czynił to nie przez czczą troskę o formę, lecz z powodu skrupułu kapłańskiego i apostołskiego, a jednocześnie i artystycznego; wiedział, że książki źle napisane nie tylko nie posiadają życia, lecz i nie pociągają dusz ludzkich, a więc podwójnie chybiają celu.

Życie świętego Wincentego à Paulo było już gruntownie badane, wielokrotnie opisywane. Ze wszystkich historyków Świętego Abelly jest pierwszym co do czasu, a mającym tę niezrównaną przewagę, że znał go osobiście i zawsze pozostanie pierwszym co do zasługi, pomimo tych niedostatków, które zawiera drogocenna jego książka. Następni biografowie, każdy ma swoją zasługę, której zaprzeczać ani umniejszać nie jest naszym zamiarem. Ostatni Bougaud ma tę przewagę, że mógł

więcej od innych czerpać w zbiorach, które przed niedawnymi dopiero laty wydane zostały, — w ogromnym zbiorze listów Świętego.

W każdym razie zasługa pracy Bougaud’a zawiera się nietylko w odkryciu faktów dużej wagi, ile w sposobie opisu znanego żywotu. Talent jego i umiejętne, jasne uporządkowanie opowiadania sprawiają, że pomimo mnóstwa szczegółów, wśród tego ogromu dzieł przez św. Wincentego à Paulo stworzonych i prowadzonych, opowieść toczy się z pociągającą czytelnika szybkością i z wzruszającą serce jasnością. Żar duszy, ukryty i powstrzymywany, odczuwa się wciąż a niekiedy wytryska w sposób przecudny, który wzrusza serce i podnosi duszę. Nakoniec ten styl zarazem tak wstrzemięźliwy i tak literacki, tak barwny i tak świetny! Przy czytaniu doznaje się ogromnego wrażenia. Ludzie światowi, dla których przedewszystkiem pisana jest ta książka, bez względu na to, czy są wierzącymi, czy nie, po przeczytaniu jej muszą nabrać przekonania, że święty Wincenty à Paulo był wielkim człowiekiem, prawie nadludzkiej miary i wielkim Świętym.

Taką jest ta praca, świetna, zamykająca dzieła biskupa Bougaud. Zostawił on ją nam, nie możemy powiedzieć, że niezakończoną, bo doprowadził aż do kanonizacji Świętego, przejrzał ją sam i bardzo starannie poprawił. Lecz nie można dosyć odżałować, że śmierć nie dała mu możności opublikowania jej samemu. Zapóźno może powołany na biskupstwo, wtedy, gdy ta godność biskupia nadawała dziełom jego jeszcze większej powagi, rzucił wszystko a duszą i ciałem oddał się dyecezyi swojej. I w chwili, gdy pierwsze jego czynności biskupie zostały wypełnione, dyecezya cała była zwizytowaną i poznaną; gdy plany jego dojrzały, gdy pomocnicy zostali wybrani, zamierzał on znów wziąć się do swego ulubionego świętego Wincentego à Paulo. Lecz podobało się Bogu wezwać go do siebie. Strata niepowetowana, boleśnie i głęboko odczuta przez dyecezyę, która dumna z niego była i gorąco go miłowała; strata odczuta przez Kościół, któremu mógłby jeszcze oddać wiele usług; strata głęboko odczuta przez jego przyjaciół.

Dawna i wierna przyjaźń, która nas wiązała ze zmarłym, włożyła na nas obowiązek spełnienia tego, czego on sam nie mógł już spełnić: — czuwania nad wydrukowaniem tego dzieła. Ma się rozumieć, że czynimy to z religijną czcią i podajemy je tak, jak

on je zostawił. Gdy dzieło już było skończone, autorowi przyszła myśl dodać jeszcze rozdział, zawierający syntetyczny wizerunek Świętego, i skupić rozsiane w całej książce rysy. Zredagowaną została pierwsza część tylko, to jest to wszystko, co się tyczy przyrodzonych przymiotów Wincentego à Paulo, jego wysokiej inteligencji i wielkiego serca; potem miał nastąpić zarys nadprzyrodzonych cnót jego ¹⁾. Nie mieliśmy zamiaru zastąpić przyjaciela naszego, kończąc ten rozdział. Bo nie naszego, lecz jego dzieła oczekiwała publiczność. Wszakże by luka ta zapelniona została, usłuchaliśmy rady czcigodnego Lazarysty ojca Chevalier, który ofiarował nam swój współudział w niniejszem wydaniu, szczególnie w sprawdzeniu dokładności cytat i dat wziętych z Abelly'ego, w usunięciu niektórych wyciągów z niego, które zdawały się nam niepotrzebnymi. Cnoty Św. Wincentego same przez się jaśnieją w tem opowiadaniu Bougaud'a i czytelnik bezwiednie oddycha niemi na każdej prawie karcie tej książki i coraz bardziej przejmując się niemi; tem nie mniej streszczenie ich zdało się nam pożytecznem.

I zapewne moglibyśmy na tem zatrzymać się, lecz inne jeszcze życzenie objawione nam zostało, któremu zdało się nam niemożliwem odmówić. Nowy promień chwały zabłysnął w aureoli św. Wincentego: Ojciec Święty Leon XIII ogłosił go *Protektorem dzieł Miłosierdzia*, najpierw we Francji a potem na całym świecie. Dokumenta, wskazujące jak pożądanem i jak dokonanem zostało nadanie tego tytułu naszemu Świętemu, podnoszą znaczenie samej biografii. A jeszcze nieco szczegółów o przeniesieniu relikwii Świętego, — oto wszystko, cośmy dodali do dzieła biskupa Bougaud.

Z ufnością przedstawiamy to czytającej publiczności, która znajdzie w tem dziele pełnię wszystkich przymiotów znakomitego i tak ulubionego pisarza. Przemów raz jeszcze drogi przyjacielu, przemów tą piękną książką, przemów do tego wieku, który stał się twojem audytoryum i który słucha cię z uwagą: *Defunctus adhuc loquitur*.

Ks. F. Lagrange.

¹⁾ Który został później odnaleziony i wydrukowany w 2-m wydaniu dzieła i podany będzie w drugim tomie niniejszego tłumaczenia

Uwaga. Już po wydaniu dzieła i tej przedmowy Lagrange został konsekrowany na biskupa Chartres.

Przedmowa do drugiego wydania.

Po wypuszczeniu pierwszego wydania, odnaleziony został rękopis Bougaud'a rozdziału zatytułowanego: „Cnoty nadprzyrodzone Św. Wincentego à Paulo”, podajemy go tu na miejscu, zapożyczonem w 1-szym wydaniu od Abelly'ego. Dziś więc całe dzieło jest wyłącznie Bougaud'a.

Z poszanowaniem, może nieco przesadnem, lecz bardzo usprawiedliwionem dla pracy autora, nie chcieliśmy robić najmniejszej zmiany w samym tekście książki. Lecz wskutek otrzymanych uwag, niektóre poprawki dokonane zostały w tem drugim wydaniu. Biskup Bougaud, gdyby żył, sam napewno by je zrobił. Wskazano też wszystkie prace, z których ustępy przytacza. Nakoniec stosując się do zamiarów zmarłego, jako dodatek przytaczamy tekst *ustaw konfraterni Miłosierdzia*.

Księga I.

Bóg przygotowuje Św. Wincentego à Paulo do wielkiego posłannictwa.

ROZDZIAŁ I.

**Narodzenie Świętego Wincentego à Paulo.—Początkowe wychowanie.—
Święcenie kapłańskie 1576—1600.**

W pierwszych latach XVII wieku często widywano na ulicach Paryża przechodzącego księdza. Kto go spotkał, a nie znał, nie zwracał nań nawet uwagi. Odzież prosta, sutanna połatana, twarz na pierwsze wejrzenie raczej pospolita, zapowiadały jednego z tych biednych księży, około których przechodzi się zwykle obojętnie. Znajomi nazywali go poprostu „Monsieur Vincent”.

Przypatrując się mu uważniej, zbliżka, spostrzegano dziwny wyraz pokory, prostoty i dobroci; lecz ludzie rzadko są zdolni do takiej refleksyi, — to też nie zwracano uwagi na tę cudowną postać, mając ją przed sobą.

Ten pokorny księżyna w istocie był jedną z najniezwykajniejszych istot, jakie widział wiek XVII, tak obfity jednak w wielkie geniusze i w wielkich Świętych; był to jeden z tych

ludzi, zgoła nieprawdopodobnych w starożytnym świecie; a nawet Chrystyanizm nie wielu takich naliczyć zdoła. Kościół wyniósł go na ołtarze. Imię Jego znane jest dziś na świecie całym, jako synonim miłosierdzia. Filozofia, drwiąca nieraz z rzeczy świętych, przebacza mu, że był chrześcijaninem i mięknie, czytając historię Jego życia. Nawet Rewolucya, pomimo, że ociekała krwią mordowanych kapłanów, jemu jednak wzniosła posąg. A z początkiem XIX wieku rozległ się tak silny i powszechny głos uwielbienia względem niego, że wszystko, co przedtem było, zdało się błędąć.

Jak się to wszystko stało? Jakim czarem ten potulny księżyna zdołał nad mogiłą swoją obudzić tak głęboki i powszechny entuzjazm? Jakie zasługi położył wobec dusz ludzkich i wobec społeczeństwa, że wszystko co zwykle staje w wyraźnej ze sobą sprzeczności, — tu łączy się jednogłośnie w ogólnem uwielbieniu i czci?

Odpowiedzi na te pytania znajdziemy w niniejszej historii, jeżeli Pan Bóg da nam łaskę nakreślić dokładnie oblicze świętego Wincentego à Paulo, które mamy zamiar ukazać naszym współczesnym, a szczególnie tym, którzy oddają się dziełom miłosierdzia.

Święty Wincenty à Paulo urodził się d. 24 Kwietnia 1576 r. w małej wiosce Pouy, posiadającej około 800 mieszkańców, w departamencie Landes, w okręgu Dax. Ojciec jego nazywał się Jan à Paulo, jak świadczy Abelly; Collet zaś nazywa go Wilhelmem à Paulo. Dokumenta o wyświęceniu naszego Świętego, pomijając imię chrzestne ojca, zaznaczają, że pod tym względem istniała wątpliwość w biskupstwie Tarbes. Matką była Bertranda de Moras. Nie była to szlachta zrujnowana, jak sądzić by dziś można z tych nazwisk i jak domniemywali się niektórzy pisarze; byli to skromni wieśniacy, nie mający żadnej do szlachectwa pretensyi, jak o tem często rad był wspominać sam św. Wincenty.

Ojciec małego wzrostu, kulawy, szczupły a roztropny, jak to bywają włościanie, był bardzo religijnym i gruntownie uczciwym człowiekiem. Matka była pobożną. Niektóre wskazówki każą domyślać się, że matka była nieco wyższego od męża stanu, ale to pewnem nie jest. Gdy pewnego razu uboga staruszka, sądząc, że łatwiej przez to otrzyma wsparcie, mówiła Świętemu, że była kiedyś służącą u jego matki, ten jej odpowie-

dział: „Mylisz się, dobra kobieto, moja matka nigdy sługi nie miała, będąc żoną ubogiego włościanina, ojca mego”. Żadnych więcej wiadomości o tej matce nie mamy. Radość jej z sześciorga dzieci, któremi Bóg pobłogosławił to małżeństwo, sposoby chrześcijańskiego ich wychowania, wyróżnianie tego małego Wincentego, który był trzecim z jej synów, a stał się tak wielkim Świętym, wszystkie te objawy doskonałej troskliwości i czułości, tak skrupulatnie notowane w żywotach wielu Świętych — tu znikają bez śladu, i tak będzie do końca tego przedziwnego żywota; większa jego część pozostaje ukrytą w cieniu.

Skromny domek, w którym mieszkali rodzice i gdzie się urodził nasz Święty, istnieje dotąd. Zbudowany, jak inne domy włościańskie tej okolicy, z grubych, nawpół ociosanych dylów dębowych, wysmarowanych w spojeniach gliną, pomieszaną ze słomą. Dom dość obszerny: na dole pięć izb, a nad niemi dwa składy. Przez dość proste drzwi dębowe wchodzi się do pierwszej największej izby. W głębi wysoki komin poczerniały. Wprost drzwi i z boku małe okno, sufit z desek dębowych, podłoga z ziemi ubitej. To zarazem kuchnia i jadalnia, miejsce gdzie zwykle zgromadzała się rodzina. Tu posilano się, tu przyjmowano obcych. Na lewo od tej izby dwie inne: jedna to pokój rodziców, w którym się urodził św. Wincenty à Paulo, — ołtarz dziś zaznacza to miejsce, druga, pokój przeznaczony dla najstarszego z rodzeństwa, którego uważano za następcę; wszakże posiadanie go obejmował on dopiero w dzień ślubu. Oto główne części ojcowskiego domu. W głębi jeszcze dwie izby: sypialnia chłopców, a na prawo sypialnia dziewcząt. Z pierwszej wyjście do ogrodu i na schody prowadzące do obszernych składów na górze. Pokój dziewcząt bardziej ustronny, bez drzwi zewnętrznych — wejście lub wyjście pod okiem rodziców, w przejściu przez izbę wspólną. Pokrycie z dachówki okrywało dom i zabezpieczało od deszczu.

Po za domem stajnie i chlewy; od tyłu pomieszczenie dla owiec i dla trzody chlewnej, z boku od kuchni stajnia dla wołów. Z kuchni małe okienko do tej stajni, ułatwiało czuwanie nad wołami i przez ruchomą deskę można im było podawać karmę.

Podobne urządzenia i cały rozkład widzi się we wszystkich domach okolicy; — woły były skarbem włościanina, z którego był dumny i o który bardzo się troszczył.

Cztery czy pięć hektarów ziemi otaczało dom, stanowiąc małą własność ojca św. Wincentego à Paulo. Nazywano tę posiadłość, nie wiem z jakiego powodu Ranquines, i nazwa ta udzieliła się całej wiosce, może dla tego, że była najobszerniejszą i najlepiej w okolicy utrzymaną. Nie było więc to bogactwem, szczególnie wobec sześciorga dzieci składających rodzinę; tem nie mniej nie było ostatecznem ubóstwem i nędzą, jak wnioskowano z pokornych oświadczeń Świętego. Było to życie pracy, porządku, oszczędności, wstrzemięźliwości, które obok religii wyrabiają dobre obyczaje, a niekiedy wydają wielkie dusze.

Święta dziecina ochrzczoneą została niezwłocznie w dzień urodzin. Pobożna matka, chciała by pomimo odległości zaniesiono dziecię do parafii w Pouy, do tego starego kościółka tak opuszczonego, i ubogiego, który istnieje dotąd, jako relikwiarz pełny pamiątek po św. Wincentym à Paulo. Przy wejściu na lewo widzimy wmurowaną w ścianę, zczerniałą od czasu, skromną, żelazną chrzcielnicę, w której było ochrzczone niemowlę. Dalej ławki, w których przez lat dwanaście siadywał, słuchając pierwszych nauk katechizmu; w głębi ołtarz, przed którym przyjmował pierwszą komunię. Odnowiono ten walący się ze starości ołtarz, lecz starannie zachowano starożytną architektoniczną ozdobę, wyobrażającą świętego Piotra klęczącego u stóp Zbawiciela i otrzymującego klucze. U podnóża kościoła, stojącego na wzniesieniu, cmentarz, na którym pod okiem Bożym spoczywają ojciec i matka, którzy wydali światu i Kościołowi świętego Wincentego à Paulo. Z cmentarza widok na daleką równinę, pełną pasących się trzód; równinę tę często przebiegał w młodości swej św. Wincenty.

W domu Jana à Paulo nie było sług; małżonkowie z sześciorgiem dzieci spełniali wszystkie zajęcia. Jedne dzieci towarzyszyły ojcu przy robocie, drugie pasaly małe trzody. I nasz Święty, gdy podrośł, był w ich liczbie przez kilka lat, w ciągu których zaczynano spostrzegać w nim objawy cnót niezwykłych u dzieci. Na obszernej błotnistej równinie, ocienionej starymi dębami, a odświeżanej stawem, gdzie pasal on trzódki swoje, było też miejsce pociągające ku sobie pobożność i seree jego. Były to ruiny starej kapliczki poświęconej czci Najświętszej Panny, miejsce starodawnych pobożnych pielgrzymek. Na sześć lat przed urodzeniem świętego dziecięcia, w roku 1570, kalwini spalili tę kapliczkę, mieszkańcy zaś w obawie, by statua Najśw.

Panny nie wpadła w ręce heretyków, zatopili ją w stawie. Na miejscu więc były li tylko pozostałe po spaleniu szczątki, tem droższe dla wiernych czcicieli Maryi, że znieważone świętokradzką ręką nieprzyjaciół Boga. Często widywano tam klęczące w modlitwie nasze święte dziecię i to było pierwszym świadectwem tej żarliwej pobożności jego względem Najśw. Panny, która go nie opuszczała przez całe życie.

Na tej równinie jest jeszcze jedna pamiątka gorliwej pobożności jego. Przed domem ojczystym stoi dąb stary, już kilkusetletni wówczas, a i dziś po 3-ch jeszcze wiekach rozścielający wspaniałe konary. Już w r. 1576 czas wyłobili był w pniu jego otwór i dziecię ustawiło w nim statwę Najśw. Panny, ozdabiając ją wciąż świeżymi kwiatami polnymi.

Wiele godzin spędzał u stóp dębu tego, pasąc trzody swoje. Jakie wota składał, jakie modły zasyłał do nieba, po przez gałęzie tego drzewa, o którego liście ubiegają się dziś katolicy, rozsyłając je jako relikwie po świecie całym, któż dziś odgadnąć zdoła?

Kończymy zaznaczeniem wszystkich kroków naszego Świętego po tej obszernej równinie, gdzie przeszły pierwsze lata jego żywota. Równina ta wznosi się nieco ku południowi, a u krańców jej widnieją ruiny starego zamku Montgaillard. Pewnego razu, gdy biskup z Saint-Pons, który się tam był urodził, uczynił wzmiankę o tym zamku rodzinnym, wnet pokorny księżyna zawołał: „O znam go dobrze, często pasalem bydelko moje w tej stronie”.

A więcej jeszcze może niż pobożność, ujawniało się miłosierdzie w tym młodocianym wieku Świętego. Dziecię rozdawało wszystko, co mogło, nic nie zachowując dla siebie. Przybывая zrana na równinę Pouy z małą torebką napelnioną prowizją dzienną, młody Wincenty pospieszał udzielać z niej pastuszkom więcej od niego przez los upośledzonym.

Posyłany przez ojca do sąsiedniego młyna po mąkę, gdy spotykał na drodze ubogiego, udzielał mu garść z dźwiganego worka „za co dobry ojciec nie gniewał się wcale” jak świadczy Abelly. Zebrawszy za drobne usługi sumę t r z y d z i e s t u s o u s, która i dziś byłaby skarbem dla małego biedaka, a o wiele więcej znaczyła wówczas „gdy pieniądze były rzadkością” (Abelly) i przedstawiała więcej niż całoroczną oszczędność,

6
dziecię bez wahania oddało cały swój dobytek spotkanemu nędzarzowi.

W ten sposób dożył lat 12 (1588). A że obok pobożności i miłosierdzia, rozwijał się w młodzieńcu umysł, więc postanowiono oddać go na naukę. Czy odbył już pierwszą komunie? Czy siedł za wskazówką pierwszego nauczyciela katechizmu, zacnego proboszcza z Pouy? Z jaką wiarą i pobożnością przystąpił do stołu Pańskiego? Czy uważano, że byłoby zabójczem zostawić przy pasieniu bydlą takie dziecko? Wszystko to możliwe; lecz historia nic o tem nie mówi. W Dax była szkoła utrzymywana przez Franciszkanów (cordeliers), w której za cenę 60 franków rocznie podejmowano się wychowywania młodzieży. Powiadają, że ojciec oddając tam syna, nie był wolnym od czysto ludzkiego wyrachowania. Miał przed oczami w pobliżu, może w Dax, człowieka, który wyszedł z tej samej sfery, z ojca włościanina niebogatego i został kapłanem zakonnikiem i przeorem klasztoru, a dzięki swoim zdolnościom i swoim wpływom przyszedł do znacznych środków pieniężnych, którymi obdarzał następnie rodzinę swoją. Czemu by nie mogło się to zdarzyć i Wincentemu? Był zdolnym i ofiara, poniesiona dziś dla niego, mogłaby się potem stokrotnie wynagrodzić. Lecz jeżeli cień zabiegów ludzkich po części wpłynął na wybór powołania syna, to jednak niebrakło i wyższych względów: „Będzie on dobrym księdzem, bo ma serce czułe”, mówił ojciec.¹⁾

W roku więc 1588, mając lat dwanaście, wstąpił nasz Święty do szkoły Ojców Franciszkanów w Dax i przebył tam do szesnastego roku życia. Prawie nic nie wiemy o tych czterech latach nad to, że młody chłopiec pobożnością i zdolnościami prześcigał pokładane w nim nadzieje. Na tle wielkich cnót jego zarysował się cień, którego wszakże nikt nie dostrzegł i nikt by o nim nie wiedział, gdyby on sam nie dał nam o nim wiadomości. Dziwna rzecz! człowiek, który miał w następstwie stać się cudem pokory, do takiego stopnia, że wciąż się rodziło pytanie, czy pokora ta nie przewyższa u niego nawet wielkiego miłosierdzia, będąc w szkole, wstydził się przed bogatszymi kolegami niższej kondycyi rodziców swoich. „Pamiętam, mówi,

¹⁾ *Vie des Saints*, abbé Caillet,—*Ordination de S. Vincent de Paul* abbé Granger.

7
jak raz w kolegium, gdzie się uczył, powiedziano mi, że ojciec ubogi wieśniak, pyta o mnie. Nie chciałem wyjść do niego, w czym popełniłem wielki grzech”. A pani de Lamoignon, przytaczając ten fakt, dodaje: „Sądzę, że to był największy grzech, jaki popełnił w całym życiu swoim”. Innym razem św. Wincenty przemawiając do braci zakonnych powiedział: „Niestety! „Panowie komu wy jesteście posłuszni? Oto temu, który jak uczeni „w piśmie i Faryzeusze pełny jest wad i grzechów. Lecz to podnosi „si zasługę posłuszeństwa waszego. Często myślę o tem i przypominam sobie, jak będąc małym chłopcem, gdy mnie ojciec „brał do miasta ze sobą, wstydziłem się iść z nim i uznawać go „za ojca z powodu, że był ubogo ubranym i trochę kulawym. „O! nędzny, jak dalece nieposłusznym byłem. Błagam Boga, by „mi to przebaczył i wszelkie zgorszenia, jakie wam daje. Będę „prosił o przebaczenie wobec całego zgromadzenia i błagam „was módlcie się za mną do Boga, aby mi przebaczył te winy „i aby zawsze wlewał do serca mego uczucie skruchy prawdziwej”.

To są pierwsze, jakie słyszymy, słowa św. Wincentego à Paulo; jakże one charakterystyczne!

W Dax był adwokat bardzo poważany z powodu urodzenia, majątku i zdolności swoich, M. de Commet; dwóch jego synów było ze świętym chłopcem naszym w kolegium franciszkańskim. Że zaś ów Commet był sędzią w Pouy, musiał więc znać ojca i matkę naszego młodego Świętego, o którego postępach mówili mu ojcowie Franciszkanie. Przyszła mu myśl wziąć go do siebie, jako przewodnika dwóch jego synów, towarzyszy w kolegium, co nie przeszkodzi mu pracować dla siebie, a ulży rodzicom w opłacie summy sześćdziesięciu lirów, którą z niemałym trudem zbierali od lat czterech. Należy zatrzymać się, by wdzięcznem słowem uczcić tego adwokata z małego prowincjonalnego miasteczka. Znamy go tylko z nazwiska, nie zachowała się pamięć o tym mężu, który miał wielki wpływ na losy Kościoła, bo to on nie tylko przygarnął Wincentego do domu swego, lecz z religijną uwagą, obserwując młodzieńca i, widząc jego pobożność pełną miłości Boga, sądził, że nie powinien być pozostać na świecie lecz poświęcić się stanowi duchownemu. Skromny młodzieniec przeraził się na tę myśl; z początku opierał się, ale pokładał pełne zaufanie w swoim doradcy, człowieku cnotliwym, zasłużonym, którego uważał za

drugiego ojca swego. Że zaś świadectwa zacnych nauczycieli Franciszkanów z Dax, były zgodne ze zdaniem Commeta, więc młodzieniec otrzymał tonsurę i cztery niższe święcenia dnia 20 Grudnia 1596, w kościele kollegialnym w Bidache ¹⁾ z rąk M-gra Diharsa biskupa z Tarbes, za zezwoleniem kapituły diecezji Dax, w której tron biskupi wakował. Miał wówczas św. Wincenty lat 20, miesięcy 7 i dni 23.

Po tem poważnem postanowieniu przyjęcia tonsury, należało pomyśleć do jakiego uniwersytetu ma wstąpić młody alumn dla odbycia studyów teologicznych. Niedaleko od Dax były dwa sławne uniwersytety: Saragossa w Hiszpanii i Tuluza we Francji. Dla czego wybrano Saragosę? Faktem jest, że myślarono o tem poważnie, nim młody Wincenty à Paulo tam się udał. Nie wiemy też dla czego długo tam nie pozostał i przybył do Tuluzy, ²⁾ gdzie spędził lat siedm. Aby podolać kosztom, jakie to wszystko pociągało za sobą, ojciec naszego Świętego sprzedał parę wołów, a i pan de Commet, który jak zobaczymy do końca i tak po chrześcijańsku zajmował się przyszłością młodego Wincentego, być może dodawał też coś od siebie. W tych warunkach Święty przebył pierwszy rok swych studyów. Gdy nastały wakacje, około września 1598 r. środki pieniężne były wyczerpane, a że Wincenty nie chciał być ciężarem ani ojcu swemu, ani swemu dobroczyńcy, więc podobnie jak to i dziś czynią młodzi seminarzyści, szukał zajęcia w gubernerce na dwa miesiące wakacyj. I znalazł je o pięć mil francuskich od Tuluzy, w małej wiosce w zamku Buzet.

Pan zamku Hebrard de Grossoles miał dwóch synów Rajnolda i Jana bardzo jeszcze młodych i powierzył ich Wincentemu na czas wakacji. Lecz młody pedagog zyskał przez ten czas tyle poważania z powodu swojej pobożności, inteligencji i powagi, że gdy po wakacjach oświadczył, że musi wracać do Tuluzy dla dalszych studyów, Pan de Grossoles i pobożna żona jego woleli rozstać się z dziećmi swemi, niż dopuścić do rozłączenia się

¹⁾ Bidache w departamencie Basses-Pyrénées, w okręgu Bayonne, 2640 mieszkańców.

²⁾ Collet przypuszcza, że gwałtowne dysputy o przeznaczeniu (praedestinatio), jakie toczyły się w uniwersytecie Saragoskim, były przeszkodą świętemu młodzieńcowi do pozostawania tam dłużej. Możliwe to, lecz dowodów nie mamy żadnych. I ścisłe daty podróży do Saragossy i pobytu tam równie nie są ustalone.

ich z korepetytorem i posłali ich wraz z nim do Tuluzy. Św. Wincenty w dalszym ciągu studyował na uniwersytecie a młodzi Grossolowie odbywali kurs w jakimś kolegium, a w czasie wolnym od lekcji pracowali pod okiem swego nauczyciela. Wkrótce kilkoro innych chłopców przyłączyło się do tych dwóch pierwszych uczniów św. Wincentego, między innymi dwóch młodych siostrzeńców bohaterskiego Jana de la Valette, wielkiego mistrza zakonu św. Jana Jerozolimskiego, który bronił wyspy Malty przed naporem wszystkich sił Solimana i uratował honor i bezpieczeństwo Europy chrześcijańskiej. Książę Epernon, blizki krewny tych dwóch młodzieńców, zwrócił uwagę na rozumną i staranną troskliwość nauczyciela i okazywał mu głęboki szacunek i dokładał później wszelkich starań, aby zdobyć dla św. Wincentego kościelną godność, czemu Święty stanowczo się opierał.

Wśród tego otoczenia, w którym nasz młody Wincenty był zarazem i ojcem i gospodarzem, przechodził i skończył w ciągu lat siedmiu studia teologiczne. Otrzymał stopień bakałarza teologii; napisał wykład drugiej księgi Piotra Lombarda, a autorowie *Gallia christiana* przyznali mu nawet tytuł doktora teologii. Posiadamy jego patent bakałarski, jako też patenta upoważniające go do wykładu sentencji, lecz dyplom doktorski nie został odnaleziony i wielu przypuszcza, że Święty zniszczył go przez pokorę. Bądź co bądź Abelly powiada, że po obliczeniu okazuje się, iż całe lat szesnaście z rzędu zużył na studia w Dax i w uniwersytecie Tuluskim.

Przez długi czas Jansenisci, nadużywając niektórych wyrazów pokory naszego Świętego, który nazywał siebie czasami „biednym uczniakiem czwartakiem”, usiłowali twierdzić, że brakło mu nauki. Lecz kto przeczytał dwa tysiące listów jego, które niedawno zostały opublikowane, ten nie będzie wątpił o rozmiarach i głębokości jego nauki teologicznej.

Otoczony swymi ukochanymi wychowawcami, dostarczającymi środków na jego rozchody, Wincenty otrzymywał stopnie uniwersyteckie, jednocześnie też przyjął wyższe święcenia. Na subdyakona wyświęcony 19 Września 1598, a na diakona w trzy miesiące potem, d. 19 Grudnia, w kościele katedralnym Tarbes przez biskupa Diharse. Zostało więc już tylko przygotowanie się do przyjęcia kapłaństwa. Lecz nasz Święty przejęty trwogą wobec dostojęństwa dotykania ręką własną czci najgod-

szego Ciała Pańskiego, zwlekał nieco i rok cały upłynął, zanim uczynił krok ostateczny.

W tym właśnie czasie umarł jego ojciec. Mając wciąż zwróconą uwagę na ukochanego syna, dziecię wielkich nadziei, chociaż niebył bogatym i zostawiał żonę i pięcioro dzieci, to jednak testamentem pod datą 7 lutego 1598 polecał, by nie szczędzono żadnych ofiar na umożliwienie studyów Wincentemu, i poczynił ważne zastrzeżenia na jego korzyść. Lecz pokorny i pobożny młodzieniec rzekł się wszystkiego. Zasiłki od ukochanych uczniów wystarczały na jego potrzeby i czuł się szczęśliwym, zostawiając całe skromne dziedzictwo ojcowskie matce i braciom.

Ostatecznie 23 Września 1600 został wyświęcony na kapłana przez Franciszka de Bourdeille biskupa z Perigneux w domowej kaplicy w zamku jego Saint Julien, który dziś nosi miano Zamku biskupiego (Chateau l'Évêque). Kaplica w której akt ten dokonany został istnieje dotąd i pobożni pielgrzymi, co rok święcą jego pamiątkę.

Można mniemać, że otrzymawszy święcenie kapłańskie w Zamku Biskupim (Chateau l'Évêque) Wincenty à Paulo tam też na drugi dzień odprawił primicyę. Lecz o nią ubiegał się też stary zamek Buzet. Państwo de Grossoles, z dwojgiem dzieci swoich zapewne asystowali jego wyświęceniu i spieszyli odwiedzić go do Buzet, aby tam być na primicyi; wszakże nie zdolali tego osiągnąć. O dwadzieścia minut drogi od Buzet, była stara mała kapliczka poświęcona Najświętszej Maryi Pannie na wzgórzu lasem pokrytem. Ile to razy on ją odwiedzał! Podanie wskazuje ścieżkę, po której tam śpieszył. Ilu łask tam doznawał! W niej też postanowił w tajemnicy odprawić swoją pierwszą Mszę świętą. Potem po kilku dniach odprawia ją wobec zacnych mieszkańców zamku; lecz tę pierwszą Mszę chciał mieć cichą, sam, w asystencji tylko jednego księdza, stosownie do wymagań rytuału i przy posłudze jednego ministranta. Abelly powiada, że „słyszano od niego, iż doznawał takiego strachu wobec majestatu tej boskiej czynności, że drżał na całym ciele; a nie mając odwagi do celebrowania publicznie, wybrał tę ustronną kapliczkę. Przez długi czas widywano na ścianach chat starą rycinę przedstawiającą pierwszą Mszę św. świętego Wincentego à Paulo z napisem u spodu: „Św. Wincenty à Paulo odprawia pierwszą Mszę św. w kaplicy Najśw. Panny,

po drugiej stronie Tarn na górze w lesie; wybrał on to miejsce ustronne, aby odprawić świętą Ofiarę z najmniejszym roztrągnięciem i w największym skupieniu w asystencji, wedle zwyczaju, jednego kapłana i jednego ministranta”.

Lecz czego ani pióro, ani pędzel wyrazić nie zdoła, to uczucia, jakimi wówczas był przejęty ten, którego Św. Franciszek Salezy nazwał „najbardziej świątobliwym kapłanem wieku swojego”. 1) Wielkość godności kapłańskiej w zachwyt go wprawiała. Myśl, że człowiek prosty i biedny, jak on, może kilku słowami swoich ust nędznych sprowadzić z nieba na ołtarz samego Jezusa Chrystusa, wzbudzała w nim taki podziw i uwielbienie, że nie czuł się panem siebie. Dla spełnienia takiego czynu, trzeba by być więcej niż aniołem, bardziej czystym, bardziej żarliwym, niż serafin. A cóż on, Wincenty? Przez całe życie swoje nie przestawał mówić, że gdyby wiedział co to jest być kapłanem, to woląby uprawiać ziemię, niż zobowiązywać się do tak wielkiego stanu. 2) Był kapłanem przez lat sześćdziesiąt i nie słabły w nim te uczucia z pierwszej Mszy św., raczej z roku na rok wzmagaly się coraz bardziej.

1) List do księdza Saint-Martin.

2) Abelly t. I, str. 11.

ROZDZIAŁ II.

Niewola Św. Wincentego à Paulo w Tunisie. — Podróż do Rzymu. — Powrót do Francji z sekretnymi depeşami do Henryka IV.
1600—1609.

W pięć lat potem św. Wincenty à Paulo raptownie wyrwany z tego skromnego, cichego życia, jakie wiódł dotąd, rzucony został w wir niezwykłych przygód.

Z początku sprzedany jako niewolnik w Tunisie, uprowadzony w głąb pustyni, pozbawiony wszelkich pomocy duchowych a nawet szczęścia odprawiania Mszy św. w ciągu dwóch lat (1605 — 1607); następnie umknął z Tunisu z nawróconym przez siebie gospodarzem swoim, przebył morze na małym statku, przybił do wybrzeży Francji i z Aigues-Mortes dostał się do Avignon'u. Przedstawiony nuncyuszowi Mgr. Piotrowi Montorio, ten przyjął go przyjaźnie i zabrał ze sobą do Rzymu, gdzie spędził piętnaście miesięcy. Wysłany przez ambasadora do Henryka IV z depeşami sekretnymi, których nie odważano się przysyłać listownie; przyjęty przez tego wielkiego króla, w chwili gdy zdawało się, że już zdobywa wszelkie zaszczyty, znikła nagle i osiada na małym probostwie w okolicach Paryża. Oto wiązanka faktów, którym trudnoby dać wiarę, gdyby nie były opowiadane przez samego Świętego. A jaki to styl opowiadania tego: żywy, oryginalny, malowniczy, lecz dziwnie niepoprawny, co dowodzi że odbywał studia swoje zdala od Paryża, w głębi stepów, gdzie rozwój języka opóźnił się o jakie lat dwadzieścia pięć w porównaniu do tego, jakiego używano wówczas, nie tylko na dworze królewskim lecz i w Burgundyi i Sa-

baudyi. ¹⁾ Streściwszy pobieżnie ten szereg niezwykłych wypadków, postaramy się bliżej zapoznać się z naszym Świętym.

Zaledwie został wyświęcony na kapłana, gdy P. de Commet, protektor i przyjaciel jego, poczynił zabiegi, aby go mianowano na probostwo w okolicy Dax, chcąc przez to korzystać dla siebie, żony i dzieci z kierownictwa tak świątobliwego kapłana. Jakoż mianowano go proboszczem w Thil w stepowej parafii, w pobliżu Dax, ²⁾ liczącej tysiąc sześćset parafian. Lecz o probostwo to, tak poważne dla młodego kapłana, współubiegał się inny i otrzymał je od kurii Rzymskiej. Nasz Święty wolał zrzec się prebendy, a przez ten akt bezinteresowności i skromności, zyskał swobodę do dalszego prowadzenia swoich studiów uniwersyteckich i wrócił do Tuluzy (1600 czy 1601 roku). Jednocześnie zaś z tem, gdy Commet starał się dla naszego młodego kapłana o inne poważne probostwo, książę d'Epernon wuj jego uczniów, zamyślał o wyniesieniu go na biskupstwo. Wysokie stanowisko księcia d'Epernon, a świątobliwość młodego kapłana i ówczesne zwyczaje czyniły wykonanie takiego projektu wielce prawdopodobnem i być może, że to jest w związku z podróżą naszego Świętego w tej epoce do Bordeaux. Widział się tam z księciem d'Epernon, lecz o widzeniu się tem i o tej podróży mówił to tylko, że chodziło o sprawę nader doniosłą i że jego zuchwalstwo nie pozwala mu jej wymienić. ³⁾ Chodziło co najmniej o poważne beneficjum, jak domyślać się można z cytowanego listu, w którym nasz Święty powiada, że w tej chwili „los okazał mu całą swoją zmienność i niestałość”.

A okoliczności, wśród których objawiła się znikomość rzeczy ludzkich, były następujące. Wróciwszy do Tuluzy św. Wincenty dowiedział się, że pewna wiekowa, pobożna, z wyższego świata dama umarła i uczyniła go swoim spadkobiercą. Mu-

¹⁾ Porównaj list prezydenta Frémyot z roku 1589 z listem Św. Wincentego à Paulo z roku 1607. (*Histoire de Sainte Chantal*. t. I. str. 17).

²⁾ Thil, departament Landes, okrag Dax, kanton de Pouillon; 1577 mieszkańców.

³⁾ „Lettres de saint Vincent-de-Paul, fondateur des prêtres de la Mission et des Filles de Charité”. 4 tomy in 8-o, tom I, str. 4. Paris, Dumoulin, 1880. Wspaniale to wydanie, zawierające 2078 listów. Nie ma go w handlu. Autor miał w rękę egzemplarz, z którego daje cytaty w tem dziele.

siała to być jedna z tych zacnych istot, które miłując Kościół i dusze ludzkie, a widząc młodego ubogiego kapłana, tak przedziwnie uzdolnionego i uczonego, a jeszcze bardziej pobożnego, chciała dopomódz mu do dalszej, błogosławionej jego pracy. Dziedzictwo przekazane mu było zresztą nieznaczące: trochę ruchomości i trochę ziemi z wierzytelnością czterech czy pięciuset talarów (écus) nieszczęśliwie umieszczonych „u złego ladaco” (un mauvais garnement), który się nie wypłacał i na którego przed śmiercią spadkodawczyni uzyskała wyrok. Spadek ten choć nieznaczny w porę przychodził, ułatwiając Wincentemu opuszczenie beneficjum, zapłacenie długów i otrzymanie ostatnich stopni naukowych. Przyjął więc go; a że „zły ladaco” z niezapłaconym długiem tysiąca dwóchset czy tysiąca pięciuset liwów, uciekł do Marsylii i rozpoczął tam handel z dobrem powodzeniem, więc młody kapłan postanowił udać się do niego, by odzyskać cośkolwiek ze swej wierzytelności. Oповіда on bardzo dowcipnie w liście do pana Commeta, w jaki sposób zabrał się do dzieła: „Zapewne pan wiesz, że za powrotem do Bordeaux znalazłem testament na moją korzyść, zostawiony przez pewną dobrą staruszkę z Tuluzy, składający się z ruchomości i trochę ziemi, które izba mieszana ¹⁾ z Castres przysądziła jej na trzy czy cztery-sta écus, które pewne złe ladaco (un méchant mauvais garnement) był jej dłużnym. Dla otrzymania należności udałem się na miejsce, w zamiarze sprzedania tego dziedzictwa, jak mi radzili najlepsi przyjaciele moi, i przynaglała potrzeba pieniędzy i wielkie rozchody przewidywane w sprawie, o której w tej chwili mówić jeszcze nie mogę. Po przybyciu na miejsce znalazłem, że frant opuścił kraj, z powodu wyroku uzyskanego przez oną staruszkę za ten sam dług; uprzedzono mnie też, że on dobrze urządził interesa swoje w Marsylii i posiada znaczny fundusz. Z tego mój doradca wnosił, jak i istota rzeczy to wskazywała, że powinienem udać się do Marsylii, sądząc, że przyłapawszy tam mego dłużnika, będę mógł otrzymać dwieście lub trzysta écus. Nie mając weale na tę podróż pieniędzy sprzedałem konia najętego w Tuluzie, z zamiarem zapłacenia zań z powrotem. Nieszczęście sprawiło tak znaczne opóźnienie, iż zawisła nademną niesława, bom

¹⁾ To jest izba składająca się z duchownych i świeckich która sądziła sprawy mieszane, t. j. po części kościelne a po części cywilne.

„zostawił sprawy moje w takim zamieszaniu. Nie byłoby tego, gdyby Bóg dopomógł memu przedsięwzięciu, com sobie obiecywał. Udałem się więc do Marsylii, złapałem mego dłużnika, uwięziłem go i przystałem na trzysta écus, które mi z za-dowoleniem wypłacił”. Widzimy, że to jeszcze nie był ten święty Wincenty à Paulo, którego znamy.

Po skończeniu tego interesu zabierał się do powrotu lądem do Tuluzy, gdy spotkał się z pewnym szlachcicem, który mu zaproponował podróż przez morze do Narbonne. Było to w lipcu; dzień był wspaniały, można było tegoż wieczora być już na miejscu. Oszczędność czasu, sił i wydatków były znaczne; trudno nie przyjąć podobnej propozycji. Odpłynęli wśród najprzyjemniejszych warunków i byliby dobili portu—, gdy trzech zbójów tureckich, krążących u zatoki Lyonńskiej (czatując na statki dążące do Beaucaire, gdzie był jarmark uważany za największy w Chrześcijaństwie) zaatakowało nas tak gwałtownie, że dwóch czy trzech naszych zabito a resztę raniono; ja sam otrzymałem postrzał który będzie mi służył za czasomierz na resztę mego życia i zmuszeni byliśmy poddać się tym okrutnikom gorszym od tygrysów”.¹⁾

Turcy stracili przytem jednego ze swych głównych przywódców, który został zabity, a oprócz tego czterech czy pięciu wioślarzy. Byli więc wściekli i pierwszym ich czynem było porabianie w kawalki sternika statku. „Potem powiązano nas, wprzód obrewidowawszy, a właściwie okradłszy, dając jednak więcej swobody tym, którzy poddali się bez oporu; okradziono ich również i obładowawszy się towarami, po siedmiu czy ośmiu dniach, skierowali się do Barbaryi, tej jaskini i kryjówki złodziei i włóczęgów Wielkiej Turcyi. Przybywszy na miejsce wystawiono nas na sprzedaż, po sporządzeniu protokołu o wzięciu nas w niewolę, jakoby na statku hiszpańskim, bo bez tego kłamstwa bylibyśmy uwolnieni przez konsula, którego utrzymuje tam król, dla zapewnienia wolnego handlu Francuzom. Proceder sprzedaży nas odbywał się w ten sposób, że zwleczono z nas odzież do naga, udzielono każdemu parę chodaków i płachtę płócienną oraz czapkę i oprowadzano po ulicach Tunisu, dokąd przybyli, żeby nas sprzedać. Po zrobieniu pięciu czy sześciu kursów po mieście, z łańcuchami na szyi, zostaliśmy odprowa-

¹⁾ Chantelauze, str. 20.

dzeni na statek, aby kupujący mogli przyjść zobaczyć, kto może jeść a kto nie i przekonać się, że rany nasze śmiertelne-
mi nie były. Po tem zaprowadzono nas na rynek, gdzie kupcy
przychodzili oglądać nas, tak zupełnie, jak się ogląda przy ku-
pnie konia lub wołu; kazano nam otwierać usta, aby obejrzeć
zęby nasze, oszcypywano boki nasze, sondowano rany, kazano
chodzić, biegać, podnosić ciężary, następnie borykać się, by
przekonać się o sile każdego z nas i dokonywano tysiąc innych
brutalności".¹⁾

Wincenty sprzedany został początkowo jednemu rybako-
wi, któremu miał pomagać w ciągnięciu sieci, lecz że doświad-
czał na statku morskiej choroby, więc odprzedany został sta-
remu muzułmańskiemu lekarzowi, który od pięćdziesięciu lat
pracował nad poszukiwaniem kamienia filozoficznego i nad
przemianą metali. Św. Wincenty był świadkiem ciekawych do-
świadczeń. „Widziałem często jak stapiał złoto z równą części
srebra, w małych blaszkach składał je, posypane jakimś prosz-
kiem w tygielku, potem stawiał na dwadzieścia cztery godziny
w ogień, a następnie okrywał i znajdował srebro, które się sta-
wało złotem. A częściej jeszcze zamrażał, czy stwardniał żywe
srebro, które sprzedawał, celem wspierania ubogich. Mojem za-
jęciem było podtrzymywanie ognia w dziesięciu lub piętnastu
piecykach, co dzięki Bogu nie było tak trudnem, jak i nie-
przyjemnem. Polubił on mnie bardzo i rozmawiał chętnie o al-
chemii i jej prawach, wysilając się pociągnąć mię do niej i obie-
cując bogactwo i wszechwiedzę. Bóg dobry podtrzymywał we
mnie nadzieję wyzwolenia, o co silnie modliłem się, oddając się
w opiekę Maryi Pannie, za której wstawiennictwem istotnie
odzyskałem wolność.”²⁾

Ale więcej jeszcze niż chemia czy alchemia, zajmo-
wały go badania tego muzułmanina nad sposobami leczenia
chorób. Przyjaciół i protektor naszego Świętego P. Commet
miał brata cierpiącego na kamień; Wincenty przejęty wdzięczno-
ścią często mówił o tem ze starym muzułmaninem, aby pozyskać
odeń jaki środek leczniczy. „Nadzieja i mocna wiara jakie ży-
wiłem, że zobaczę jeszcze Pana, skłoniły mię do prośby, by mię
nauczył środków leczenia kamienia, tem więcej, że widziałem

¹⁾ Chantelauze, str. 21—22.

²⁾ Chantelauze 22—23.

codziennie zdumiewające skutki jego metody leczniczej; poka-
zywał mi też jak przygotowywać i jak stosować użycie lekar-
stwa. O ileż razy pragnąłem odtąd pozostać więźniem,
aby zapobiedz śmierci brata pańskiego i posiąść sekret, który
posyłam! Wierzę mocno, że gdybym znał był wcześniej to,
co Panu teraz posyłam, śmierć nie tryumfowałaby w danym
razie”.

Blizko rok czasu (od Września 1605 do Sierpnia 1606) po-
zostawał Wincenty à Paulo u tego dobrego starca, bardzo ludz-
kiego i łagodnego, którego reputacja była tak wielką, że zo-
stał wezwany do Konstantynopola przez sułtana Achmeda I.
Wyjeżdżając, zostawił aszego Świętego siostrzanowi swemu,
lecz ten dowiedziawszy się, że Pan de Brèves, konsul francuz-
ki przybył z firmanem sułtańskim, nakazującym wydanie wszy-
stkich więźniów francuskich, pospieszył odprzedać Wincente-
go pewnemu renegatowi włoskiemu z Nizy Sabaudzkiej, któ-
ry, posiadając ziemię wśród gór, uprowadził więźnia poza okrąg
władzy konsula francuskiego. Renegat ten miał trzy żony: cie-
kawo to fakt, jak Bóg raczył użyć jedną z nich za narzędzie
do wyzwolenia sługi swego. „Jedna z tych trzech żon była
turczynką i bardzo się mną interesowała; ciekawa poznać spo-
sób życia naszego, codzien przychodziła na pole, gdzie kopałem
rowy i kazała mi śpiewać na chwałę Boga mojego. Wspomnienie
dzieci Izraelskich w niewoli Babilońskiej pobudziły mnie do
leż: *Quomodo cantabimus in terra aliena* i Psalm *Super flumina
Babylonis*, a potem *Salve Regina* i wiele innych pieśni, które
bardzo się jej podobały i budziły w niej szczery podziw.
Wieczorem nie omieszkała powiedzieć mężowi, że źle zrobił, po-
rzucając religię swoją, którą ona uważa za bardzo dobrą, wno-
sząc z kilku moich opowiadań o Bogu naszym i z tych śpiewów
na chwałę Jego, przy czem doznała tak wielkiego zadowolenia,
iż nie sądzi, by raj jej ojców, którego i ona się spodziewa, mógł
być tak wspaniałym i dawać tyle radości, ile ona odczuła, widząc
jak chwaliłem Boga mojego. Niby drugi *Kaifasz*, który dał świa-
dectwo prawdzie, czy oślica *Balaama*, tem opowiadani-
em sprawiła, że mąż jej powiedział mi nazajutrz, iż oczeku-
je tylko sposobności, abyśmy się schronili do Francji i że tam
wkrótce spełni czyn, przez który uwielbi Boga. Ten krótki
czas trwał dziesięć miesięcy, utrzymując mię w niepewności,
lecz w końcu spełniły się nadzieje moje; wsiedliśmy do łodzi

i dnia 28 Czerwca udaliśmy się do Aigues-Mortes a następnie do Avignonu, gdzie do leż wzruszony Mgr. Vicelegat publicznie przyjął na łono Kościoła renegata, ku chwale Boga i zbudowaniu obecnym¹⁾.

Ów Vice-legat Piotr Montorio był człowiekiem oświeconym, zamilowanym w badaniach filozoficznych i naukowych, a szczególnie w tych pięknych „tajemnicach algebraicznych,” jak je wówczas nazywano, a o których sądzono, że Arabowie są w ich posiadaniu. Po kilku rozmowach z naszym Świętym, tak był nim zachwycony, że zdecydował się wziąć go do swego orszaku i zabrać ze sobą do Rzymu; a że się dowiedział, iż był kapłanem, więc prosił o niezwłoczne napisanie do Dax, celem otrzymania dokumentów o przyjętych święceniach, bez których nic nie mógłby dla niego uczynić. „Być może, żeś Pan i krewni moi byli zgorznięci, z powodu moich wierzyteli, których bym już był w części zaspokoił kwotą stu lub studwudziestu talarów, które mi mój penitent dał, gdyby nie rada moich najlepszych przyjaciół, abym zatrzymał je jeszcze u siebie do powrotu z Rzymu, a to dla uniknięcia kłopotów, jakie zgotować by mi mógł brak pieniędzy, chociaż utrzymanie miałem zapewnione i Monsignor był dla mnie wielce łaskawym”.

Wśród takich okoliczności i w tym celu pisany był długi list, z którego wyjątki powyżej przytoczyliśmy; on też tłumaczy szczegóły, które Święty uważał za potrzebne przytoczyć. Wincenty był przez dwa lata nieobecny. Wyjechał do Marsylii w lipcu 1605 i nie słyszano o nim od tego czasu. Co się z nim stało? Czy może umarł w drodze. Matka trawiła się niepokojem, który też ogarniał wuja, braci, siostry i wszystkich znajomych.

¹⁾ Ten tak drogocenny list na 4-ch stronicach in 4-o drobnego pisma, pozostawał w archiwach Saint-Lazare do 1789 i zniknął stamtąd w czasie rabunku domu tego. Później, odszukany przez Lazardów, którzy go posiadali na początku tego wieku, znikł powtórnie, prawdopodobnie przez jakieś nadużycie; ukazywał się następnie od czasu do czasu u handlujących autografami. Dziś jest w posiadaniu Pani Józefy Filon de Fontenay (Vandée). P. Firmin Joussement, siostrzan pani Filon, po raz pierwszy ogłosił go w „Revue des provinces de L'Ouest” (1856—1857), a następnie w oddzielnej broszurze (Nantes, André Guérardet 1856). Naturalnie, że zabytek ten znalazł się też we wspaniałej kolekcji listów Świętego.

Skoro tylko mógł, napisał do matki, ale czy otrzymała ona to pismo? To też musiała się ucieszyć teraz tym listem późniejszym, uradowana zrządzeniem Opatrzności i tymi cudami łaski, których jej syn doznał. Istotnie wypadało, aby Wincenty wszystko opowiedział w tym liście.

Mówił on zwykle tylko o swoich poniżeniach i doświadczeniach, które przechodził; jednak po pięćdziesięciu latach, gdy kopia tego listu wpadła w jego ręce, uważał, że za wiele tam powiedział i czynił wszelkie zabiegi, by list ten usunąć. Mając osiemdziesiąt cztery lata, przed samą już śmiercią swoją, starał się znaleźć ten list i spalić go.¹⁾ Dokumenta o wyświęceniu przesłane mu były niezwłocznie, lecz ponieważ nie postarano się o wizowanie i poświadczenie ich autentyczności przez bi-

¹⁾ Mamy przesłiczny list sekretarza świętego Wincentego à Paulo, brata Ducourneau o sposobie, jakiego użyto, by odebrać ten list od Świętego. List jest adresowany do kanonika w Dax ks. de Saint-Martin, serdecznego przyjaciela św. Wincentego, który znalazł był go pomiędzy papierami rodzinnymi, posłał kopię jego Świętemu, a ten ją spalił i aby skończyć z tą sprawą, gwałtownie domagał się oryginału.

„Panie, otrzymałem rozkaz napisania do Pana od znanych Panu Pp. Portail, d'Horgny i Almeras'a, nim oni sami będą mogli to uczynić, aby podziękować Panu najpokorniej za zakomunikowane im listy. Za nic w świecie nie chcieliby oni wyrzec się tych listów, zawierających w sobie rzeczy, które dodadzą dużo blasku do opisu świętego życia ich autora. Żaden z nas nic pewnego nie wiedział o pobycie jego w Barbarii, a mniej jeszcze wiedzieliśmy o nawróceniu jego gospodarza. Co do mnie, to podziwiam nawrócenie się tego apostaty, pokorę jego niewolnika, tę pewność, jaką czuł w duszy, że zostanie wyzwolony i łaskę, jaką miał od Boga w pozyskaniu dla siebie miłości Turków, tak nie-ludzkich zazwyczaj; szczególnie zaś podziwiam tę życzliwość owego medyka, który nauczył go tylu tajemnic. Lecz wyznaję, iż jeszcze więcej podziwiam wstrzemięźliwość autora, który nigdy ani słowa nie mówił o tych wszystkich sprawach żadnemu z naszego Zgromadzenia, pomimo, iż setki razy miał po temu sposobność w konferencyach o pomocy więźniom, które rozpoczął przed dwunastu czy piętnastu laty. Często nam mówił, że był synem robotnika, że pasał trzodę chlewną swego ojca i wykonywał inne czynności upokarzające; lecz przemilczał zawsze wobec nas o wszystkim, coby zaszczyt mu przynieść mogło, jako ta niewola, a czynił to, aby nie mieć sposobności do mówienia o tem, co było następstwem jęgoniewoli. Nakoniec podziwiam mądrość Boga, który chcąc się posłużyć jednym ze sług swoich, w pomocy biednym chrześcijanom jęczącym w srogiej niewoli mahometańskiej,

skupa w Dax, więc musiał trzy razy o nie pisać. Posiadamy trzeci z tych listów, w którym znajdują się szczegóły tak ciekawe, że nie możemy o nich przemilczeć. Jest to list, datowany z Rzymu 28 lutego 1608 r. „Pozostaję w Rzymie, gdzie dalej prowadzę studia moje, dzięki pomocy Mgr. vice-legata Avignońskiego, który zaszczyca mnie swoją przyjaźnią i pragnie mego awansu, a to z powodu wielu pięknych i ciekawych rzeczy, z którymi go zaznajomiłem, a których się nauczyłem w czasie mojej niewoli od tego starca tureckiego, któremu, jak pisałem, byłem sprzedany. W liczbie tych rzeczy ciekawych jest zapoczątkowanie, choć niezupełnie jeszcze udoskonalone, zwierciadła Archimedesowego. Sztuczna sprężyna, pobudzająca martwą głowę do przemówienia, którą ten szarlatan posługiwał się, by zwodzić lud, wmawiając weń, że ubóstwiany jego Mahomet przez tę głowę objawia mu wolę swoją; i tysiące innych dziwnych rzeczy geometrycznych, których nauczyłem się od turka, a o które mój obecny pan tak jest zazdrosny, że nie chce, abym z nikim dzielił zabawy, nie udzielał tych wiadomości, pragnąc uchodzić za jedyne go posiadacza. Dumny był z tego, że mógł nie mi podzielić się z Jego Świątobliwością i kardynałami. To za miłowanie jego i życzliwość, jaką mi okazuje, pozwalają mi mieć nadzieję, co zresztą on mi obiecuje, że będę mógł powrócić zaszczytnie i otrzymać przyzwoite beneficjum we Francji”. Na to bezwarunkowo potrzebną mi jest kopia moich dokumentów wyświęcenia, podpisana i opatrzona pieczęcią Mgr d'Acqs, wraz ze świadectwem Pana mojego i atestacją kilku przyjaciół

dopuscił, aby ś. Wincenty wpadł w ręce barbarzyńców i na sobie doświadczył cierpień, doznawanych przez więźniów i niebezpieczeństw wśród których mogą zginąć ich dusze a przez to i zrozumiał obowiązek spieszenia im z pomocą.

„Gdyby te dwa listy wpadły w jego ręce, jużby ich nigdy nie widziano. Panowie ci więc uważali za właściwe zatrzymać je i nic mu o nich nie mówić; a nawet, aby nie wiedział, że je posiadamy, zniszczyli list Pański, sądząc, że Pan nie będziesz z tego niezadowolonym. Gdyby zaś on znowu domagał się od Pana tych listów swoich, mógłbyś Pan napisać, iż przesłałeś je i jesteś zdumiony, że on ich nie otrzymał. My sami jesteśmy mocno strapieni tem, że pozbawiamy go pociechy, jakiejby doznał, odczytując dawne dzieje swoje, odmładzając się poniekąd przez to w starości swojej; lecz trzeba się było na to zdecydować, inaczej stracilibyśmy te oryginały, co byłoby jeszcze smutniejszem”. („Lettres de S.-Vincent de Paul.”, t. I str. 1—3, № 1).

naszych, uznających mnie za męża dobrych obyczajów i uczciwego życia. Oto tego ten mój Pan wciąż się domaga, dla tego też najpokorniej upraszam Pana, abys mi łaskawie wyjednał listy polecające, oraz dołożył starania celem otrzymania od Migra d'Acqs świadectwa w formie poniższej i przesłał ją przez wspomnianego wielebnego Ojca Pontanus'a. Posłałbym w tym celu pieniądze, gdybym się nie obawiał, że z powodu nich list zaginie. Dla tego też proszę załatwić rachunek z matką moją: sądzą, że potrzeba będzie trzy albo cztery écus”.

W procesie kanonizacyjnym adwokat dyabła (jak lud chrześcijański nazywa tego, który stawia zarzuty) usiłował, opierając się na tych dwóch listach, dowodzić, że św. Wincenty a Paulo wierzył w alchemię i nauki okultyczne. Lecz odpowiedziano mu, że są dwa rodzaje alchemii: jedna pełna przesadów, występna, którą Święty nasz potępiał surowo nawet w tych dwóch listach, druga zaś zupełnie naturalna, która w sposób jeszcze mglisty dała jednak początek nauce nam współczesnej. Były to dochodzenia po omacku, godne wielkiej pochwały, nie zaś piękniejszego nad widok człowieka tak świętego, tak zatopionego w Bogu, który zbierał skwapliwie te pożyteczne wiadomości. A co nie mniej piękne, że widzimy, iż nasz Święty nie robił żadnego materialnego użytku z tych wiadomości, chociaż mógłby wyciągać z nich niemałe praktyczne korzyści i to w czasie, gdy miał tyle długów. Ponieważ ten czas niewoli uja-wnił tyle jego cnót, więc Święty starał się pogrzebać go w zupełnym zapomnieniu, nie mówił o nim nigdy a pamięć o tej niewoli swojej w Tunisie po to tylko przechował, aby tem większem współczuciem otaczać tych, którzy po nim jęczeli w podobnych więzach.

Podczas tych wszystkich negocjacji, święty Wincenty przebywał w Rzymie. Mieszkał u vice-legata Piotra Montorio, gdzie miał stół i utrzymanie, a mając z tego powodu wiele swobody, czas swój dzielił pomiędzy modlitwą a studjami. Zrana odwiedzał kościoły, których tak olbrzymią liczbę pobożni znajdują w Rzymie, gdzie tylu Świętych na klęczkach modlitwami swymi podnosiło wspaniałość tych miejsc uwielbionych. To też pisał on: „O! jaką sprawia mi pociechę widok tego miasta, macierzy Chrześcijaństwa, gdzie przebywa głowa Kościoła wojującego, gdzie spoczywają ciała świętego Piotra i świętego Pawła i tylu innych Męczenników i Świętych, którzy niegdyś przeleli krew swoją i całe życie swoje poświęcili Jezusowi Chrystusowi! Za

szczęśliwego się uważam, stąpając po tej ziemi, po której tylu Świętych stapało, a radość moja do łez mię pobudza”.

Zamiłowanie, jakie miał zawsze do nauki, po tylu przejsiach nie zmniejszyło się bynajmniej; prowadził więc dalej swoje studia teologiczne. W ciągu dnia uczęszczał regularnie na świetne kursy Sapienzy, utrzymywanej przez Dominikanów. Wieczorem w domu vice-legata spotykał tych wszystkich, którzy jaśnili we Włoszech i we Francji, jako ludzie wybitni lub znakomici podróżnicy. Wszędzie zwracał na siebie uwagę swoją pobożnością, pokorą, roztropnością, niepospolitą rozsądkiem i tą sztuką mówienia i milczenia w porę, którą niewielu ludzi posiada w tym, co on, stopniu. Jest prawie pewnem, że był przedstawiony papieżowi, lecz wielka skromność jego ukryła ten fakt przed nami.

Była to chwila, gdy Henryk IV stał już u szczytu doświadczenia i geniuszu swego, po urzeczywistnieniu pierwszego projektu swego, to jest po uspokojeniu Francji i połączeniu w jedno dwóch partyj, walczących na jej łonie. Przyczyniło się do tego zwłaszcza wydanie edyktu Nantejskiego. Teraz przygotowywał się do spełnienia drugiej części swego planu, chcąc tem uwieńczyć chwałę życia swego, dążył do zgrupowania wszystkich państw Europy: Francji, Anglii, Holandji, Szwecji, Danii aby je popchnąć, zarówno katolików jak i protestantów, na dom Hiszpański i Austriacki, którego potęgą otaczała Francję żelazną obręczą i zagrażała nawet jej egzystencji. Projekt ten podjęty następnie przez Richelieu'go a dalej prowadzony przez Mazarin'iego, w sto lat potem zniszczony został, po stanowczem poniżeniu domu Hiszpańskiego i Austriackiego, a wzmożeniu się potęgi Francji. Dla nawiązania nici tego ważnego i nader subtelnego przymierza Henryk IV utrzymywał wszędzie ambasadorów swoich, obowiązanych do badania usposobień dworów i prędkiego a sekretnego powiadamiania go o wszystkim, co mogło sprawę wyświecić. Ambasadorów takich w Rzymie było trzech; główny z pomiędzy nich de Brèves niedawno zastąpił kardynał d'Ossat'a.¹⁾ Nie wiem, o czem się dowiedzieli ci ambasadorowie, lecz było to coś tak ważnego i poufnego, skoro

nie mając odwagi, powierzać tej tajemnicy przez zwyczajnego kuryera, szukano człowieka bezwzględnie pewnego, któryby mógł, bez pomocy pisanego memoriału, przedstawić sprawę bezpośrednio królowi. Wybrano św. Wincentego. Dano mu instrukcję i wyprawiono do Paryża z misją osobistego poinformowania Henryka IV. Nasz Święty przybył do Paryża na początku 1609 roku i kilkakrotnie był przyjęty przez króla. Ale od człowieka tak pokornego i dyskretnego jak on, nie się nikt dowiedzieć nie mógł o przebiegu tej misji; z ust jego nigdy nie wyszło żadne o tem słowo.

Można sobie wyobrazić, że zacny Mgr Piotr Montorio zachwycony był, widząc swego protegowanego, jak w ten sposób wchodził na drogę do zaszczytów. Wiedział, jak dobrym sędzią był Henryk IV; a trzeba przyznać, że król ten pomimo innych lekkomyślności, usilnie starał się o dobór godnych biskupów. Nie cofał się przed żadnymi zabiegami, aby pozyskać biskupstwo dla Ojca de Berulle, chociaż ten opierał się i groził opuszczeniem kraju, jeżeli nań będzie nalegał. Pięć razy udawał się do świętego Franciszka Salezego, ofiarując mu z kolei najwspanialsze wakujące katedry biskupie. Można więc było wiele oczekiwać od tego spotkania się Henryka IV ze św. Wincentem à Paulo, a jednak nie pociągnęło ono za sobą żadnych następstw. Henryk IV, wśród wiru wymienionych rokowań, zakończył od sztyletu skrytobójcy żywot w 1610 r. Czy nie miał czasu wyróżnić Wincentego à Paulo, czy też Święty nie odmawiając dostawienia depeszy, nie doceniał doniosłości projektu, który wydał się genialnym wielu ówczesnym politykom, czy też była to odraza do polityki wogóle, do której nigdy nie miał zamiłowania i przez całe życie swoje był z nią w opozycji, co za rządów Richelieu i Mazariniego miało się stać nawet dlań niebezpiecznem, dosyć, że równie jak przed tem, nieznany, bez żadnego żalu, zstępował z tych samych schodów Louvr'u, na które potem tak często wstępował w okolicznościach wielce tragicznych. Ponieważ jednak Bóg zaprowadził go do Paryża, postanowił więc zostać tam i zajął małe mieszkanie na przedmieściu Saint-Germain, przy ulicy Św. Piotra, w pobliżu szpitala de la Charité.

¹⁾ Collet t. I, str. 25. Abelly, t. I, str. 20. Lecz Abelly myli się, mówiąc, że misja ta poruczoną została św. Wincentemu à Paulo przez kardynała d'Ossat'a. Ten umarł 13 marca 1604.

ROZDZIAŁ III.

Święty Wincenty à Paulo poddaje się kierownictwu Ojca de Berulle. —
Za radą jego przyjmuje probostwo Clichy.

Do zamieszkania na przedmieściu Saint-Germain istotnie skłoniła św. Wincentego à Paulo bliskość szpitala de la Charité. Szpital ten zaledwie był skończony; zbudowany na dwa lata przedtem w 1607 r. przez Maryę de Medicis, w obszernym ogrodzie, otaczającym starą kapliczkę poświęconą św. Piotrowi. Stąd nazwa nadana głównej ulicy tej dzielnicy: świętego Piotra, Ojca Świętego Ojców Świętych. Szpital obsługiwało kilku braci zgromadzenia, świeżo założonego w Hiszpanii przez św. Jana Bożego, których przed pięciu laty, w 1602 roku, Marya de Medicis sprowadziła do Paryża. Ponieważ byli oni nieliczni, dopuszczali więc do współudziału w pracy wszystkich dobrej woli dostojnych panów, wielkie damy, księży, nawet biskupów, którzy zaszczycaли szpital odwiedzinami i obsługiwaniem chorych. Św. Wincenty z radością znalazł się wśród nich. Co rano przychodził doglądać i opatrywać chorych, siadał przy łóżku ich i dawał pobożne upomnienia. Zawsze pokorny i obawiający się kępowania innych, prosił Braci, jak o łaskę, aby pozwolili mu uczestniczyć w ich pracy. Powiadają, że tam w jednej ze sal dla chorych nasz skromny Wincenty znalazł się wobec świątobliwego i już znakomitego wówczas Ojca de Berulle. Ten podobnie odwiedzał chorych. Mówiono mu o ubogim księdzu spełniającym urząd anioła miłosierdzia; chciał go poznać, więc przyprowadzono mu go zawstydzonego, rumieniającego się, starającego się uniknąć tego zaszczytu, lecz dość było,

by się raz spotkały ich oczy, aby się ocenili wzajemnie. Skromny Wincenty bezpośrednio poddał się kierunkowi Ojca de Berulle'a i odtąd zadzierzgnęły się między nimi nierozzerwalne węzły.

„W tym czasie, Piotr de Berulle, powiada Bossuet, był już człowiekiem rzeczywiście znakomitym i godnym szacunku tak dalece, iż dostojęństwu jego, śmiem powiedzieć, i purpura rzymska nic już dodać nie mogła, wobec blasku jego nauki i cnoty. Rozniecał on w całym Kościele francuskim najczystsze i najwspanialsze światło kapłaństwa chrześcijańskiego i życia kościelnego”. ¹⁾

Był on o rok tylko starszy od św. Wincentego à Paulo, ²⁾ urodził się w bliskości Paryża, a pochodził ze znakomitej urzędniczej rodziny. Matka jego z domu Seguiet, wcześniej owdowiawszy, została karmelitanką, pod imieniem Maryi Anielskiej i żyła *in odore sanctitatis*. Różnica urodzenia w owym czasie stanowiła o różnicy stanu. Podczas gdy nasz skromny Wincenty pilnował trzody, a potem tułał się po pustyniach Afryki, ćwicząc się tam w cnotach, o których niebo tylko wiedziało, — Piotr Berulle nie ustawał wzrastać, jaśnieć w oczach całego Paryża i dworu. Obdarzony anielską niewinnością, którą Henryk IV cenił wysoko, a także pobożnością i pokorą bezgraniczną, zaledwie jako dwudziestopięcioletni młodzieniec, bez żadnych ze swej strony zabiegów, posiadał wiele godności kościelnych. Henryk IV usiłował mianować go kolejno na biskupstwa Laonu, Nantes, Luçon, arcybiskupstwo Lugduńskie, lecz głęboka wiara skromnego kapłana, mgliste jeszcze lecz już mocne poczucie prawdziwego powołania, czyniły go nieczułym na najświetniejsze propozycje. W ówczesnym Kościele francuskim nie było wyższego nad niego umysłu. Gdyby żył o dwadzieścia pięć lat później, gdy już język francuski wyłamał się z form łacińskich i wydobył się z tego lasu przymiotników i imiesłów, które go tłumili, to piękne dzieła jego o wielkości Jezusa Chrystusa byłyby niesłychanie popularne i zyskałyby taką sławę, jak dzieła Bossueta; możeby zajęły miejsce nieco wyższe, lecz zawsze w tym samym rzędzie. W dziełach tych zawiera się wzniosłość, uczucia płomienne, wymowa, w połączeniu

¹⁾ Bossuet, t. XII, str. 646. Paris 1864.

²⁾ Urodził się 4 lutego 1575; a św. Winc. à Paulo 24 kwietnia 1576.

ze słodyczą i namaszczeniem. Sławny kardynał Perrone powiedział o nim: „Jeżeli chodzi o p r z e k o n a n i e heretyków, przyprowadzić ich do mnie; jeżeli chodzi o i c h n a w r ó c e n i e zaprowadzić ich do Pana z Genewy ¹⁾ lecz gdy chodzi o to aby p r z e k o n a c i n a w r ó c i ć zarazem, to skierujcie ich do P. de Berulle”. ²⁾

Trudno zliczyć tych dostojnych panów i wielkie damy, których nawrócił. Nawet kapłani sami poddawali się kierownictwu jego. Ojciec Bourdoise blisko trzy miesiące zostawał przy nim „pragnąc zbliżyć się do tego krzewu ognistego i widzieć te cuda miłosierdzia, a zarazem zaczerpnąć nieco tego żaru i światła, które odeń były”. Ojciec Eudes, założyciel kongregacji kapłanów, poświęcających się wychowywaniu duchownych, przychodził do niego, aby się wykształcić pod jego kierunkiem. To też widzimy tu i św. Wincentego. Nawet św. Franciszek Salezy rad mówił, że gdybym miał swobodę wyboru, to chciałby być Ojcem Berulle'em i że chętnie opuściłby swoje stanowisko, by poddać się kierownictwu tego wielkiego człowieka. ⁴⁾ W sali szpitala spotkał się św. Wincenty à Paulo z Piotrem Berulle w czasie, gdy ten przybył z Hiszpanii, skąd przywiózł pierwsze karmelitanki hiszpańskie, za którymi ubiegał się cały Paryż, i pod opieką królowej Maryi de Medicis, księżny de Longueville i Pani Acarie zakładał pierwszy klasztor św. Jakóba, do którego udawały się dla nawrócenia, lub uświętobliwienia największe damy XVII wieku. Jednocześnie z ustanowieniem w Paryżu tego ogniska żarliwości religijnej dla użytku ludzi światowych nosił w swej duszy płomiennej plany kongregacji religijnej, na wzór Oratoryów Św. Filipa z Neri, przeznaczonej do uświętobliwiania kleru.

Takim był święty kierownik przeznaczony przez Boga do przeprowadzenia Św. Wincentego à Paulo przez pierwsze mgły jego powołania. Dziwna rzecz! ten człowiek przeznaczony do dokonania tylu wielkich dzieł, nie rozpoczął był żadnego z nich przed trzydziestym piątym rokiem życia. Ale co mówię? zoba-

¹⁾ Zapewne do św. Franciszka Salezego (przyp. tłumacza).

²⁾ M-gr Perraud. *Oratoire*, str. 35.

³⁾ *Vie de M. Olier, fondateur du seminaire de St.-Sulpice*. Paris 1841, str. 124, t. I.

⁴⁾ Charles-Auguste de Sales. „*Histoire du bienheureux François de Sales*”, tom I, str. 322.

czymy wnet jak po omacku szukał drogi swojej do pięćdziesięciu lat życia. Ojciec de Berulle „który był jednym z najoświećszych umysłów swego czasu” ¹⁾ od razu zauważył, że święty Wincenty à Paulo do wielkich rzeczy był przeznaczony. Wedle świadectwa Abelly'ego i Collet'a ²⁾, przepowiedział był nawet, że Bóg chce posłużyć się nim do założenia nowej kongregacji kapłanów, która wiele dobrego zdziała w Kościele ³⁾; lecz w czasach które opisujemy, było to jeszcze drobniauchne ziarenko, potrzebujące wielu lat, by zakiełkować, wzrosnąć i wydać owoce.

Jednocześnie z tem, gdy O. de Berulle zaczął przeczuwać w św. Wincentym to, czego Bóg chciał od niego, podtrzymywał go też w doświadczeniach, któremi zwykł Bóg nawiedzać wybranych swoich, aby przygotować ich do spełnienia wielkich zamiarów swoich. Pomiedzy temi doświadczeniami widzimy dwa główne, straszniejsze od innych, a zdolne na zawsze złamać duszę mniej czujną, niż dusza naszego wybrańca. Ze względów oszczędności Św. Wincenty zajął na przedmieściu St. Germain pokój wspólny z ziomkiem swoim Bertrandem Dulou, który był sędzią pokoju w kantonie Sore. ⁴⁾ Pewnego dnia ów sędzia wcześniej wyszedł z domu za interesami, zapominając zamknąć szafę swoją, w której miał pieniądze około czterystu czy pięciuset franków. Odchodząc, zostawił Wincentego w łóżku, trochę niezdrowego i oczekującego na obiecanie mu lekarstwo. Chłopak, który je przyniósł, szukając szklanki w półotwartej szafie, spostrzegł pieniądze i schował je do kieszeni, nie powiedziawszy ani słowa. Za powrotem sędzia żdziwiony nie znajduje swoich pieniędzy, zapytuje o nie św. Wincentego, który nie wiedział co mu odpowiedzieć, nad to, że pieniądze sam nie brał i nie widział, żeby kto je brał. Sędzia wpadł w gniew gwałtowny, wypędził Św. Wincentego z mieszkania i począł spotwarzać go wszędzie, w domu, w mieście, wśród przyjaciół i znajomych. Nawet pewnego dnia, gdy O. Berulle przyjmował

¹⁾ Abelly, t. I, str. 24.

²⁾ Collet, t. I, str. 35.

³⁾ Mówi to Ojciec de la Tour szósty jenerał Oratoryanów w liście swoim do Klemensa XI: *Berulius, velut futurorum, Deo sic donante, praescius, instituendae postmodum sacrae congregationis Missionum auctorem ac fundatorem praesalutavit Vincetinum*.

⁴⁾ Sore, depart. Landes, okrąg Mont-de-Marsan 1733 mieszkańców.

u siebie grono poważnych i pobożnych osób, a w ich liczbie był i nasz Święty, przybył tam ów sędzia z Sore i wobec całego tego wyborowego towarzystwa publicznie nazwał go złodziejem. Święty zadowolnił się odpowiedzią:—„Bóg zna prawdę”, lecz wypowiedział to z taką pokorą i słodyczą, że wszystkich zjednał dla siebie. Dopiero w długi czas potem ¹⁾ chłopiec ten, ujęty na innem złodziejstwie, przyznał się i do tego i to przyznał się przed tym samym sędzią z Sore, który pospieszył napisać do św. Wincentego à Paulo, prosząc o przebaczenie, dodając, iż jeżeli nie otrzyma go listownie, to przyjdzie do niego „z powrozem na szyi”. Tymczasem potwarz rozgłosiła się i przez sześć miesięcy nasz Święty zostawał pod brzemieniem tak potwornego obwinienia.

Posiadamy z tego czasu list Św. Wincentego à Paulo do matki, jedyny jaki z tej k a t e g o r y i pozostał. Widzimy tam, że jest smutny, biedny, bez stanowiska i bez środków do życia, gotów opuścić Paryż, aby uciec do jakiej małej wioszczyzny w Landes. Oto ten list:

Paryż 17 Lutego 1610

Matko moja.

Zapewnienie, otrzymane od P. de Saint-Martin o dobrym zdrowiu i powodzeniu waszem, tak mię uradowało, że przedłużający się mój pobyt w tem mieście, aby wyszukać odpowiednie dla mnie stanowisko, co niestety dotąd się nie powiodło, niecierpliwi mnie, gdyż nie mogę przybyć, aby być na twoje usługi jak żem to powinien, lecz mam nadzieję w Bogu, iż on pobłogosławi zabiegom moim i wkrótce da mi możność zaszczytnego odwrotu, aby przy was przeżyć resztę dni moich. O stanie moich spraw mówiłem P. de Saint-Martin, który wyraził mi chęć udania się do życzliwości i uczuć, jakie raczył mi okazać P. de Commet; prosiłem go, aby wam zakomunikował wszystko. Bardzo bym chciał wiedzieć o stanie interesów domu naszego, czy dobrze się mają wszyscy bracia, siostry i reszta naszych krewnych, a w szczególności czy mój brat Gayon ożeniony i z kim. Przy tem jak się powodzi siostrze mojej Maryi de Paillole, czy

¹⁾ Abelly powiada: „po kilku latach”, lecz w niżej przytoczonym liście św. Wincenty mówi „po sześciu miesiącach”. (Abelly, t. I, str. 23).

zawsze żyje i stanowi jeden dom ze szwagrem swoim Bertrandem? Co zaś do drugiej siostry mojej, to sędzę, że musi być zadowolona ze swego położenia, dopóki podobać się będzie Bogu utrzymywać ją w tych warunkach. Pragnąłbym też, by brat mój dawał na wykształcenie jednego z swoich synowców; moja niedola, i to, że tak mało jeszcze mogłem uczynić dla domu, może go nie zniechęcać do tego, lecz niech pamięta, że obecna niedola zapowiada szczęście w przyszłości. Oto wszystko matko moja, co mogę ci o teraźniejszym położeniu mojem powiedzieć, prosząc przy tem o załączenie moich uniżonych uczuć wszystkim moim braciom i siostram i wszystkim innym naszym krewnym i przyjaciółom i zapewnić ich, że bezustannie modłę się do Boga za zdrowie wasze i za powodzenie domu, jako ten, który dla was jest i zawsze będzie, matko moja, najpokorniejszym i najposłuszniejszym, gotowym do usług synem i sługą.

P. S. Bardzo was proszę przedstawić uniżone uczucia moje wszystkim moim braciom i siostram i wszystkim naszym krewnym i przyjaciółom, a szczególnie Bétan'owi”.

Wówczas stała się rzecz niezwykła, która miała decydujący wpływ na życie św. Wincentego à Paulo. Niepewny siebie, wahający się dotąd, znalazł наконец drogę swoją. Czyn heroiczny który wnet opiszemy, był jakby aktem narodzin i chrztu twórcy Dzieł Miłosierdzia. Był wówczas w Paryżu pewien doktor teologii, który odznaczywszy się świetnie w publicznych rozprawach z heretykami, prawdopodobnie padł ofiarą swej pychy i wystawiony został na gwałtowną pokusę w przedmioocie wiary. Nie mógł już ani Mszy św. odprawiać, ani czytać brewiarza, ani wejść do kościoła, gdyż wszystko, co mu przywodziło na myśl Boga i Zbawiciela, wzbudzało straszne pokusy do bluźnierstwa. Wzruszony współczuciem dla tego księdza, którego znał, próbując wszelkimi możliwymi sposobami uleczyć go, św. Wincenty à Paulo powziął jeden z tych szczytnych zamiarów, jakich rzadkie zaledwie przykłady daje nam historia; błagał, Boga by wrócił wiarę temu nieszczęśliwemu księdzu, ofiarując, jeżeli trzeba, poddać się samemu pod brzemie tej strasznej pokusy, którego ten nieszczęśliwy brat dźwigać nie miał siły. Wnet wysłuchaną została modlitwa jego. I gdy ów kapłan poczuł odradzające się w nim światło wiary, wraz z radością i pokojem erca, Wincenty à Paulo zstąpił na dno przepaści i zwątpienia, o kus i ciemności, z których wyratował tamtego. W ciągu cze-

rech lat ¹⁾ pozostawał w tem utrapieniu, na które boleśnie było patrzeć; ratował się jedynie, mnożąc swoje odwiedziny w szpitalach i pogrążając się w dziełach miłosierdzia. Tą też drogą wyszedł zwycięzko z doświadczenia swego. Pewnego dnia, czując się bardziej utrapionym, niż zwykle, padł na kolana i uczynił postanowienie poświęcić życie swoje Jezusowi Chrystusowi w osobie ubogich. Zaledwie wymówił te słowa, gdy cierpienia znikły i spokój został mu przywrócony. Wyznał, że od dnia tego, zdawało mu się, iż widzi prawdy wiary, w całym ich blasku, bez żadnego cienia.

W czasie tego doświadczenia, św. Wincenty à Paulo postanowił zamieszkać z O. Berulle'm i z księżmi, którzy zaczęli się łączyć w celu założenia fundamentów Oratorium. Nie miał jednak zamiaru przyłączyć się do nich; często powtarzał, że nie myślał o tem, a O. Berulle wiedział, że powołanym on jest do czego innego. Przeniesienie to do rodzącego się Oratorium spowodowane było chęcią znajdowania się bliżej tego, którego nazywał swoim „widomym aniołem”, a nigdy nie czuł tak wielkiej potrzeby jego pomocy, jak teraz, od czasu tej wielkiej pokusy co do wiary. Tam też znalazł pokój, ciszę, oddalenie się od świata, czego wszystkiego próżno szukał dotąd. Ubogi potrzebował beneficjum, aby mieć środki do życia, znalazł jedno, lecz to nie odpowiadało jego zamiłowaniom.

Został mianowany jałmużnikiem (kapelanem) królowej Małgorzaty, rozwiedzionej żony Henryka IV. W jaki sposób dostał się na takie stanowisko? Prawdopodobnie za wstawieniem się przyjaciela, Pana du Fresne, sekretarza królowej, który zetknąwszy się z naszym Świętym, poznał jego skromność, miłosierdzie i roztropność a przy tem dziwną gotowość czynienia dobrze każdemu; szczerze też umiłował go i nie szczędził pochwał przed królową, ta zaś zapragnęła go widzieć i mianowała go swoim kapelanem. Lecz co to za stanowisko dla takiego człowieka, jak nasz Święty!

Małgorzata, wnuczka Franciszka I, córka Henryka II, siostra trzech ostatnich Walezyuszów: Franciszka II, Karola IX i Henryka III (chwilowego króla polskiego), osoba sławnej piękności, umysłu żywego i subtelного, wbrew swojej woli i wbrew wszystkim zarzutom, stawianym mężowi, poślubioną została

¹⁾ *Lettres*, t. I, str. 14—15, № 3.

Henrykowi Nawarskiemu. Było to małżeństwo niedobre, którego żadna ze stron poważnie nie traktowała, które też wnet się rozchwiało z równą lekkomyślnością, z jaką było zawarte. Obie strony prosiły Papieża o unieważnienie, które też udzielone zostało w roku 1599. W kilka lat potem 1605 królowa Małgorzata, jak ją nie przestano nazywać, wróciła do Paryża, rozłączona z mężem, nie poróżniona z nim a przynajmniej pojednana (nazywał on ją „siostrą swoją”, ona zaś nazywała go „swoim bratem i swoim królem”) zamieszkała w wspaniałym pałacu własnym przy ulicy Seine, którego piękny ogród dochodził do brzegów rzeki. Usiłując wrócić do pobożności, wprowadzała do dworu, na poły pogańskiego religię, literaturę, sztuki—ale niestety zarazem i intrygi. Chociaż święty Wincenty à Paulo nie mieszkał w pałacu, a u dworu bywał jedynie dla spełniania czynności swego obowiązku, to jednak otaczające go tam rozproszenie, ciążyło mu i nie mało się przyczyniało do chęci szukania w towarzystwie O. Berulle i pierwszych jego uczniów środowiska, bardziej odpowiadającego jego upodobaniom. Dom zajmowany przez nich był w pobliżu pałacu, co pozwalało mu przebywać tam, nie wyrzekając się swoich zajęć kapelańskich, potrzebnych mu jako środek do życia. Wstąpił on tam zapewne w marcu albo kwietniu 1610, ponieważ pozostawał dwa lata, to jest do 2 maja 1612. Jest to data instalacji jego na probostwo w Clichy; ¹⁾ niewątpliwem więc jest, że nie mieszkał z O. Berulle i jego towarzyszami w chwili solennego otwarcia Oratorium.

Otwarcie to odbyło się 11 Listopada 1611 w dzień św. Marcina, w jednym z domów przedmieścia św. Jakóba, nazywanym domem Petit-Bourbon. ²⁾ Tylko pięciu księży przyłączyło się do O. de Berulle. Ranek przeszedł u stóp ołtarza; na Mszy św., odprawianej przez Berulle'a obecną była margrabina de Meignelais, która dała pięćdziesiąt tysięcy liwrów na urządzenie; P. i P-i de Merillac

¹⁾ Pewnem jest, że jeszcze 17 lutego 1610 (data listu do matki) nie miał posady. Z drugiej zaś strony w akcie 10 czerwca 1610, już go wymieniają jako kapelana królowej. Nominacya więc miała miejsce między temi datami, a że Abelly powiada, że wszedł tam blisko przed dwoma laty przed 2 maja 1612, a Collet dodaje, „nie rezygnując ze swego urzędu”, więc można wnioskować, że nominacya nastąpiła w marcu lub kwietniu.

²⁾ Dom ten został zburzony; potem zbudowano na tem miejscu klasztor Val-de-Grâce, dziś tam szpital wojskowy.

P-i d'Autry i Pani Acarie przyjmowały komunie. Wieczorem, królowa matka Marya de Medicis i król Ludwik XIII asystowali na nabożeństwie. Kardynał de Joyeuse i wielu biskupów również przybyli a tłum był taki, że niepodobna było zamknąć bramy która do nocy stała otworem. ¹⁾ Wincenty à Paulo był zapewne w tym tłumie, lecz nie widziano go.

Powstająca kongregacja składała się z sześciu księży; oprócz O. de Berulle było dwóch doktorów z Sorbonny: Jan Bance i Jakób Gastaud, bakałarz teologii Paweł Metézeau i dwóch proboszczów: Piotr Carron, który opuścił probostwo swoje Beaumont i Franciszek Bourgoing, starający się o kapłana, któremu by mógł oddać probostwo swoje w Clichy. Ten ostatni, na którego pogrzebie przemawiał Bossuet, nazywając go „chrześcijaninem dawnego znaku, prawdziwym kapłanem Jezusa Chrystusa”—nie chciał oddawać swego probostwa byle komu, szukając kapłana pobożnego, gorliwego, zdolnego dalej prowadzić rozpoczęte przez niego dzieło; a szukał już od kilku miesięcy, gdy O. de Berulle powziął zamiar zaproponować mu św. Wincentego à Paulo.

Zdawałoby się, że św. Wincenty à Paulo miał prawo do lepszego, niż to małe probostwo w Clichy, na zapadłym przedmieściu Paryża.

Od dwóch już przeszło lat był zwyczajnym kapłanem królowej Małgorzaty i od tego czasu, z jej łaski, obdarzony był opactwem św. Leonarda de la Chaume, zakonu Cystersów w diecezji de Saintes, ²⁾ Łaski te były zapowiedzią dalszych innych i trzeba było tylko czekać i zostawić czasowi, by zrobił swoje. Lecz O. de Berulle, znając naszego Świętego inaczej myślał; co mogły znaczyć te czcze tytuły dla takiej jak jego duszy, która myślała tylko o ubogich?—Czcza zabawka próżności, która nie dawała nawet możliwości czynienia dobrze. Z drugiej strony O. Berulle sądził, że przede wszystkim w tych właśnie dzielnicach na polu wiejskich nasz Święty powoływany był uczynić wiele dobrego. Probostwo w Clichy wydało mu się doskonałym polem na pierwszą próbę. Zaproponował mu je i ten poddał się pokornie radom świątobliwego kierownika swego, nie skrywając jednak odrazy swojej. A odraza ta

¹⁾ M-gr Perraud *l'Oratoire en France*. Paris, Douniol 1865 str. 46.

²⁾ Tytularny opat M-gr Herault de l'Hopital, arcybiskup z Aix, 10 czerwca 1610 zrezygnował z tego beneficjum pod warunkiem, by nowy tytularz (św. Wincenty à Paulo) płacił mu roczną pensję 1200 liwrow.

nie był spowodowany względami na małe rozmiary parafii, lecz ponieważ odpowiedzialność zdawała mu się zbyt wielką. Chciał on bardzo miłować, służyć, troszczyć się o ubogich, lecz wahał się przyjmować na siebie brzemie kierownictwa ich dusz. Bourgoing zaś był zachwycony tą propozycją.

Był to człowiek czcigodny, który, po Berulle'u i ojcu de Condren, był trzecim superyorem generalnym Oratoryanów. Bossuet nazywa go „kapłanem pełnym gorliwości, powagi obyczajów i czystości życia.” ¹⁾ Odczuwał więc pociechę, że wstępując do Oratoryum, odda ukochaną parafię swoją w ręce lepsze, niż mógł tego pragnąć. ²⁾

Posiadamy protokół (procès-verbal) instalacji świętego Wincentego à Paulo w Clichy. „12 Maja 1612 stawił się on u drzwi kościoła w Clichy i po okazaniu aktu rezygnacji, akceptowanego w Rzymie, domagał się wolnego wejścia od Tomasza Gallot, prokurenta Bourgoing'a. Wprowadzony do kościoła, przyjął wodę święconą, pokropił nią wiernych, ukląkł przed krucyfiksem u stóp wielkiego ołtarza, ucałował ołtarz, mszał na nim leżący i tabernaculum, w którym było zachowane Najśw. Ciało Jezusa Chrystusa, potem chrzcielnicę, usiadł na siedzeniu przeznaczonem dla proboszcza, zadzwonił w dzwony kościelne, słowem, spełnił wszystkie ceremonie będące we zwyczaju przy podobnej okoliczności. Zaprowadzony następnie na plebanie, wszedł i wyszedł z niej swobodnie. Wtedy stosownie do edyktu królewskiego prokurator głośnym i donośnym głosem, obwieścił to objęcie w posiadanie, a że nikt nie reklamował, więc na [żądanie] jego oddał ten akt Wincentemu à Paulo.”

Niebawem po instalacji Wincenty à Paulo rozpoczął wizytację swojej parafii. Składała się ona wyłącznie z włościan, uprawiających ziemię, lecz jeszcze pełnych wiary, prostoty i czystości obyczajów. Pewien ojciec Jezuita, każący wobec św. Wincentego à Paulo, w uniesieniu oratorskim wypowiedział, że „wszyscy jego parafianie żyli jak aniołowie”. Gdzie niegdzie na równinie widzieć było można wiejskie wille, należące do bogatych rodzin z Pa-

¹⁾ Bossuet. *Oraison funèbre du Père Bourgoing*. Paris Louis Vivès 1864, t. XII, str. 6454.

²⁾ Dymisja O. Bourgoing datuje z 13 paźdz. 1611; przyjęta w Rzymie 12 listopada; niewiadomo dlaczego objęcie parafii przez św. Wincentego à Paulo nastąpiło dopiero 2 maja 1612.

ryża; ale były to tylko wyjątki. Było natomiast wiele ubogich, którym wszystkiego brakowało. Święty Wincenty à Paulo czuł się wśród nich w swoim żywiole. Posługiwał im swojemi rękoma; przynosił pieniądze, odzienie, oddawał im serce swoje. Była to najszczęśliwsza chwila w jego życiu. We dwadzieścia lat potem mówił o tem z rozrzewnieniem: „Ach! mówiłem sobie, jakiś ty szczęśliwy, „mając tak dobry lud! Papież nie jest tak szczęśliwym jak ja. Pewne- „go razu pierwszy kardynał de Retz pytał mnie: Więc jakże się „czujesz Monsignore? Odpowiedziałem: mam tak wielkie zadowo- „lenie, że nie mogę tego wypowiedzieć. Czemuż to tak?—Bo mam „lud tak dobry i tak posłuszny we wszystkim, co mu przedsta- „wiam, iż powiadam sobie, że ani papież, ani wy, Monsignorze, „nie jesteście tak szczęśliwi, jak ja.”

Kościół walił się, więc zdecydował się go odbudować. Lud jego był ubogi, a on sam nie miał nic; lecz był u bram Paryża i miał tam dosyć protektorów i przyjaciół, nie wątpił więc o powodzeniu podobnego przedsięwzięcia. I rzeczywiście odbudował w ciągu mniej niż roku kościół, który dotąd jeszcze istnieje w tej obszernej dziś i zaludnionej dzielnicy Clichy. Został on prawie niefknięty. Zachowuje się ambona, z której nauczał swój lud; wprost niej na ścianie krucyfiks, którym się posługiwał w czasie kazania, stosownie do zwyczaju owego czasu; a w ogrodzie dotąd rośnie i kwiatem się okrywa drzewo Judaszowe, które wedle tradycji własną ręką posadził.¹⁾

Po restauracyi kościoła rozpoczął dzieła swoje. Pierwszem było zaprowadzenie Komunii świętej w każdą pierwszą niedzielę miesiąca. Wyobraźcie sobie parafię, w której prawie wszyscy parafianie wiernie spełniali tę praktykę! To też mówił święty Wincenty à Paulo: „O, jaki to dobry lud w tem Clichy! Gdym za- „lecał im spowiedź i Komunię w każdą pierwszą niedzielę miesią- „ca, to, ku wielkiej radości mojej, nikogo przy tem nie brakowało.”²⁾ Dołączył do tego różaniec święty, ćwiczenie religijne tak piękne i pożyteczne w każdym razie, a już niezbędne w parafii, gdzie nikt prawie nieumiał ani czytać, ani pisać. Jednocześnie zajął się dziełem ważnem z innego względu; chodziło o zebranie wkoło siebie pewnej liczby dzieci, ażeby wyćwiczyć je w pobożności

i przygotować do spełniania potem praktyk religijnych. Zebrał już był dwanaścioro, pomieścił w swoim domu. Niektóre z nich zostały potem świątobliwymi kapłanami. Wiele innych jeszcze projektów kielkowało w umyśle jego, gdy niespodziewanie otrzymał list od O. de Berulle, swego kierownika duchowego, który wyraźnie wskazywał mu inne zajęcie. Zapewne, O. de Berulle, widząc tyle dobrego dokonanego w ciągu jednego roku, nabrał stanowczego przekonania, że szkoda takiego kapłana trzymać na tak ograniczonej widowni działania. Bo zaiste, czyż nie pożyteczniej by było, żeby zamiast poświęcać się dziełu zbawienia kilku setek zaledwie włościan, św. Wincenty pracował wśród jakiejś znakomitej rodziny, na przykład wśród rodziny de Gondi, jednej z najbardziej znakomitych w państwie, a z której peryodycznie wychodzili kardynałowie, biskupi, ministrowie; ci, bowiem, będąc przejęci duchem Bożym, przy kierownictwie tak świątobliwego kapłana, mogliby dokonać wiele dobrego w Kościele i w Państwie? Powziąwszy ten zamiar, O. de Berulle nie zawahał się, a św. Wincenty à Paulo poszedł za jego głosem. Na jedno słowo duchownego kierownika zebrał nie-liczne ruchomości swoje na wóz i, towarzysząc mu pieszo, sta- wił się przed Ojca de Berulle. Lecz posłuszeństwo nie wyklucza bólu serdecznego; to też pisał do jednego z przyjaciół: „Ze smutkiem opuszczałem mój mały kościółek w Clichy, oczy moje łzami się zalewały, błogosławiłem tych mężów i te niewiasty, którzy przychodzili do mnie, a których tak umiłowalem. Byli też i ubodzy i ci najbardziej rozdzierali mi serce. Przybyłem do Paryża z małemi ruchomościami i udałem się do Ojca de Berulle” W ciągu jednego roku zdołał pozyskać wszystkie serca.

¹⁾ Maynard, t. I, str. 79.

²⁾ Conférences aux filles de la Charité.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwszy pobyt Św. Wincentego à Paulo w rodzinie de Gondi.
1613—1617.

Wielkim był dom Gondich, w chwili, gdy przybył tam Św. Wincenty à Paulo. Oprócz pięknych pałaców w Paryżu w posiadaniu Gondich były zamki: Montmirail w Szampanii, de Joigny w Burgundyi, de Folleville w Pikardyi, de Dampierre, de Villepreux, i t. d. a na tych ogromnych obszarach, „co najmniej siedm czy ośm tysięcy ludzi”, potrzebnych do ich uprawy. Pani de Gondi nazywała ich „swymi poddanymi”.¹⁾

W tych różnych zamkach znajdowało się w kosztownych ruchomościach i srebrze wartości około jednego miliona pięciuset do miliona ośmiukroć liwrów; suma na owe czasy ogromna, a przytem jeszcze co najmniej sto tysięcy liwrów dochodu.²⁾

Rodzina Gondich pochodziła z Florencyi i z każdym pokoleniem wzrastała w znaczenie³⁾; do szczytu swego wpływu dochodzi pod panowaniem Henryka III i Henryka IV, w osobie Alberta de Gondi i brata jego Piotra. Pierwszy dostąpił najwyższych godności w państwie, a drugi w Kościele. Albert de Gondi, mar-

grabia de Belle-Isle, par i marszałek Francyi łączył z finezyą włoską i zamięłowaniem do pracy społecznej umysł przenikliwy, co stwarzało mu wyjątkowe stanowisko i zapewniało udział we wszystkich radach. Nadto oznaczał się wielką odwagą, biorąc udział we wszystkich bitwach ówczesnych. Polityk ze szkoły Macchiavel'a, noc św. Bartłomieja doradzał raczej z pobudek politycznych, niż religijnych a chciał ją mieć bezwzględnie, bez zastrzeżeń, obejmującą nawet książąt krwi: Henryka Nawarskiego i ks. Kondeusza. Nie zdoławszy postawić na swoim z powodu opozycyi znakomitego Tavannes, kanclerza i spostrzegłszy wkrótce, że fortuna zwraca się w stronę Henryka Nawarskiego, z iście włoską zręcznością przechylił się w tę stronę i doradził Henrykowi III pogodzenie się z Henrykiem Nawarskim, przystał do tego ostatniego i doszedł przy nim do większych jeszcze zaszczytów i stanowisk, niż je miał przy Henryku III. Umarł był przed kilku laty (21 Kwietnia 1602), gdy Wincenty à Paulo przybył do jego syna Filipa Emmanuela de Gondi, o którym niżej mówić będziemy.

W czasie, gdy Albert dochodził do takiego stanowiska w państwie, brat jego Piotr de Gondi, urodzony w Lyonie 1533 r., nie mniej świetnie zdobywał dostojeństwa w Kościele. Już 1565 r. jest biskupem Langres z tytułem księcia i para, a w 1570 r. zostaje biskupem w Paryżu, spowiednikiem Karola IX, jałmużnikiem królowej Elżbiety Austryackiej, przewodniczącym Rady, w 1578 r. komandorem orderu Ducha Świętego i nakoniec w 1587 r. kardynałem. Wszystkie sprawy kościelne przechodziły przez jego ręce i przeprowadzał je z wielką zręcznością za papieży Grzegorza XIII, Sykstusa V i Klemensa VIII. Żył jeszcze w chwili, gdy Wincenty à Paulo wstępował do domu synowca jego Filipa Emmanuela, lecz był już starcem, schorzałym, umiał jednak wyrobić to, że dano mu w 1598 koadjutora w osobie drugiego synowca, Filipa, brata Henryka de Gondi, zaledwie wówczas dwudziestosześcioletniego, który następnie też został biskupem i kardynałem. Trudno nie dostrzedz wpływu św. Wincentego à Paulo, widząc tego tak młodego biskupa, stopniowo usuwającego się od spraw politycznych i całkiem poświęcającego się, wraz z ogromnymi zasobami swojej książęcej fortuny, podtrzymywaniu wszystkich pobożnych fundacyj XVII wieku. Podobnie, jak jego stryj wybrał go na swego koadjutora, i on z kolei postarał się o nadanie tytułu tego rodzonemu bratu swe-

¹⁾ Abelly, t. II, str. 40.

²⁾ Chantelauze: *St. Vincent de Paul et les Gondi*. Paris, Plon 1882, str. 42.

³⁾ *Histoire genealogique de la maison de Gondi*, par M. de Corbinelli, gentilhomme originaire de Florence, 1705. Wspaniałe dzieło, obfitujące w portrety Gondi'ch, ich zbroje, pomniki, testamenty, akty ślubne, tytuły własności i t. d. Takich dzieł już się nie spotyka.

mu Janowi Franciszkowi de Gondi, który był najpierw kapucynem, potem dziekanem w Nôtre-Dame de Paris, co już dawało godność biskupią, a gdy 1622 r. stolica podniesiona została do godności arcybiskupiej, został arcybiskupem Paryskim. On też później w 1642 wybrał na koadjutora synowca swego, syna Filipa-Emmanuela a ucznia św. Wincentego à Paulo, starszego Jana Franciszka Pawła de Gondi, dobrze znanego pod imieniem kardynała de Retz. W ten sposób badając życie Filipa-Emmanuela, do którego domu wchodzi św. Wincenty à Paulo, widzimy z kolei przesuwających się koło niego trzech kardynałów: stryja, brata i syna. Panowie de Gondi zajmują stolicę biskupią w Paryżu wraz ze stanowiskiem i fortuną książęcą w ciągu stu dziewięciu lat od 1570—1679 r. Widząc to wszystko łatwiej pojąć zdołamy, dla czego Bóg z małego przedmieścia Clichy wyciąga i na taką arenę wyprowadza przyszłego twórcę tyłu dzieł chrześcijańskich.

Na wszystkich tych kardynałach, arcybiskupach i biskupach, z wyjątkiem może Piotra de Gondi, który był już za stary i którego nasz Święty zaledwie poznał tylko, na wszystkich wywarł on swój wpływ. I pomimo różnicy ich usposobień i innych cech charakterystycznych każdego, wszyscy posiadają cechę wspólną, którą zawdzięczają niewątpliwie wpływowi naszego Świętego, a tą jest: zamięłowanie w dziełach miłosierdzia, gorliwość w rozwoju wszystkich wielkich instytucji religijnych XVII wieku. Kardynał Henryk de Gondi, brat Filipa-Emmanuela ogromnych dochodów swoich używał na podtrzymywanie Karmelitanek i Urszulanek z przedmieścia św. Jakóba, Dominikanów i Augustyanów reformowanych z przedmieścia Saint Germain, szpitala Miłosierdzia (de la Charité) z ulicy Saints Pères, Kapucynów w pobliżu bramy Saint Honoré, szpitala św. Ludwika, Wizytek z ulicy św. Antoniego, Minorytów z placu Royale, zakonników z Nôtre Dame de la Merci, zakonnic od Zwiastowania, collegium des Hibernois a przede wszystkim Oratorium, którego wraz z ciotką swą, margrabiną de Meignelais, był główną podporą ¹⁾. Drugi kardynał Franciszek de Gondi, również brat Filipa-Emmanuela, nieco późniejszy, gdy św. Wincenty à Paulo rozpoczął był już wielkie

¹⁾ Chantelauze, str. 55.

dzieła swoje, wszelkimi środkami popierał fundację kongregacji Misyj, a wpływu swego i swoich funduszków używał na utrzymanie seminariów świętego Mikołaja du Chardonnet i świętego Łazarza. Nakoniec trzeci, już uczeń św. Wincentego à Paulo, kardynał Retz, pomimo wiru i intryg związanych z życiem politycznym brał do serca wychowanie i naukę duchowieństwa. Czytamy też w „Pamiętnikach” jego: „Przedsięwzięciem badanie uzdolnień wszystkich księży paryskiej diecezji, a było to nadzwyczaj pożyteczne. W tym celu ustanowiłem trybunały złożone z kanoników, proboszczów i zakonników”. Kapłanów uznanych za odpowiednich pozostawiano na ich urzędach; innych oddano do specjalnych zakładów dla należytego uzupełnienia swoich wiadomości teologicznych. Kończąc swoją uwagę, Retz dodaje: „Zważcie, że te zarządzenia musiały wymagać ogromnych wydatków; lecz składano mi ze wszech stron ogromne sumy. Wszystkie kasy ludzi dobrej woli otwierały się szeroko”.

Zapoznajmy się teraz z Filipem-Emmanuelem de Gondi i ze świątobliwą jego żoną Małgorzatą, z domu de Silly, do których przybył św. Wincenty à Paulo i gdzie zostawał przez lat dwaście. Filip-Emmanuel, drugi syn Alberta de Gondi, mając już lat siedemnaście był następcą jego na urzędzie generała galer i namiestnika królewskiego na morzach Levantu. Wedle współczesnych mu historyków był to „człowiek doskonale wyrobiony i jeden z najzręczniejszych i najczujniejszych mężów w królestwie”. Zaprzyjaźniony z książętami de Guise i de Chevreuse, z Pp. de Crequi i de Bassompierre prowadził życie wśród przyjemności i zabaw dworskich, przyczem jednak ani na uczciwość, ani na czystość jego obyczajów cień żaden nie padał. Cierpiała na tem pobożność jego i to czasowo tylko, bo ujrzymy potem że się ocknął, wyrwał się z pośród zaszczytów i przyjemności świata i młody jeszcze, po śmierci żony, zagrzebał się w skromnej celi Oratoryanów, pod kierunkiem Ojca de Berulle. Lecz świat wyciągnął go stamtąd. Matka jego Klermontka, niewiasta wielkiej zasługi, zamięłowana w literaturze była tak wykształconą, że mogła rozmawiać po łacinie z posłami polskimi, którzy ofiarowali koronę Polską księciu d'Anjou, a pisała po grecku zarówno prozą jak i wierszem. Syn odziedziczył po matce zamięłowanie do piśmiennictwa i historycy powiadają, że „jaśniał na widowni, a pióro jego tyleż przyczyniło

się do jego sławy, co i oreż".¹⁾ Piękny rysopis jego podany przez Corbinellego, uznaje te przymioty. „Elegancka głowa o rysach delikatnych na tle kryzy à la Henryk IV; wszystko tam technie wielką łagodnością i słodyczą: oczy, usta na wpół rozwarłe, nos nieco rozszerzający się ku dołowi. Lecz nic tam nie przypomina śmiałości i nieustraszonej odwagi ojca jego Alberta de Gondi, które odnajdziemy w jego dzieciach”

W roku 1600, zaledwie dwudziestoletni, posłubia Franciszkę-Małgorzatę de Silly, niewiastę rzadkich cnót, anielskiej dobroci, której pobożność głęboka z jednej strony dochodziła do skrupułów, z drugiej do ekstazy. Całą jej duszę widzi się na doskonałym sztychu Duflos'a; piękność o rysach drobnych i delikatnych, pełnych skromności i wstydlivosti. „Na tle kryzy w formie wachlarza, à la Medicis, zarysowuje się prześliczna głowa o profilu greckim, wielkiej czystości i delikatności; duże oczy o gubiącem się w przestrzeni wejrzeniu, zdają się być zagrożone w niebiańskim zachwycie. Wyrazem i słodyczą rysów przypomina głowę Madonny Perugina”²⁾ Zaszczyc to przynosi Filipowi-Emmanuelowi de Gondi, że umiał ocenić skarb powierzony mu przez Boga i otaczał Małgorzatę wielką czcią, a gdy umarła szukał ukojenia swojej boleści jedynie w życiu religijnem.

Trzej synowie, zrodzeni z tego małżeństwa, byli uczniami Św. Wincentego à Paulo.

Najstarszy Piotr urodzony w Paryżu wr. 1602, miał już lat jedenaście, gdy oddany został pod kierownictwo Świętego. Czekali go, jak jego przodków, zaszczyty i obowiązki służby państwowej. Zaledwie miał 20 lat, towarzyszył ojcu, gdy ten pierwszy odważył się przeprowadzić galery z morza Śródziemnego na wody Oceanu, by podążyć z pomocą królowi pod la Rochelle; bił się jak lew na wyspie Ré, gdzie ubito pod nim konia i strzaskano mu ramię wystrzałem z muszketu. Przez całe zresztą życie był raczej wojakiem, niż mężem stanu; posiadał odwagę wyjątkową, decyzję nieugiętą i wiarę niezłomną.

Drugi Henryk de Gondi, przeznaczony na służbę Kościołowi, cichy i pobożny, jak matka jego, bladej, blondyn, różnił

się od dwóch braci swoich, których ciemna pleć przypominała florenckie pochodzenie. Ambitnym był jak wszyscy Gondi'owie. Przytaczają odezwanie się jego, gdy był jeszcze małym chłopcem: „Ja chcę być kardynałem, aby mieć pierwszeństwo przed bratem moim.” I bezwątpienia miałby je, gdyby śmierć nie zabrała go przedwcześnie. Na polowaniu 8-ioletni spadł z konia i potracony kopytem, został zabity.

W czasie, gdy św. Wincenty à Paulo przybył do zamku Montmirail,¹⁾ gdzie Gondiowie mieszkali wówczas, w końcu sierpnia 1613, urodził się dn. 20 września 1613²⁾ trzeci syn, znany pod sławnym mianem kardynała de Retz; na chrzcie świętym otrzymał imiona Franciszek-Paweł. Ponieważ urodził się w czasie, kiedy się odbywało zgromadzenie kapituły generalnej zakonu Maltańskiego, więc otrzymano dla niego patent kawalera, który położony został na kolebce jego. „Tym sposobem, powiada Tellemant des Réaux, zawczasu otrzymał wielki krzyż.” W tym też istotnie kierunku początkowo odbywało się wychowanie jego, lecz gdy brat, przeznaczony do służby w Kościele, został zabity na polowaniu, wnet zmieniono projekt i mając na względzie, by arcybiskupstwo paryskie nie wyszło z rodziny, przeznaczono Franciszka-Pawła do stanu duchownego. To też pisze on w pamiętnikach swoich: „Sądzę, że niema człowieka na świecie o lepszym sercu, jak mój ojciec i mogę powiedzieć, że hart jego duszy na cnocie się opierał. Jednak ani pojedynki, ani moje życie światowe nie przeszkadzały mu do podjęcia wszelkich usiłowań, aby przyczepić do Kościoła duszę może najmniej do tego usposobioną. Rozmówienie jego w starszym synu i widoki na arcybiskupstwo Paryskie, które zostawało w naszej rodzinie, zrobiły swoje. On nie myślał o tem i nie czuł tego; mógłbym przysiąc, co on sam w najgłębszych tajnikach serca swego zaprzysięgał, że nie co innego pobudzało go do tego kroku, jak tylko obawa przed niebezpieczeństwami dla duszy mojej w każdym innym zawodzie”. I prawdą to jest zu-

¹⁾ Montmirail, baronia w dawnej Szampanii i Brie, dziś kanton w departamencie de la Marne, okręgu Epernay, 2343 mieszkańców. Zamek bardzo piękny i dotąd zupełnie dobrze zachowany, należy do rodziny Laroche-foucauld-Doudeauville.

²⁾ A nie w październiku, jak mówi wielu historyków. W metrze Montmirail przechowuje się akt chrztu.

¹⁾ Corbinelli, t. II, str. 49.

²⁾ Chantelauze, str. 73.

pełną w stosunku do ojca, a jeszcze większą w stosunku do świątobliwej matki jego. Taką jest moc pewnych tradycji i pojęć danej epoki, że i najlepsze dusze nie zdołały ich uniknąć.

Wincenty à Paulo względem tych trzech młodzieńców miał podwójne zadanie: wszczepić im gruntowne zasady religijne: poznanie i umiłowanie Boga, a jednocześnie dać im początki greki i łaciny, tradycyjnie cenionych w rodzinie Gondich. Tem nie mniej pani de Gondi pierwszą część tego wychowania swych dzieci stawiała o wiele wyżej i dlatego udając się do Ojca Berulle mówiła: „Pragnę tych, których mi Bóg dał, uczynić raczej świętymi w niebie, niż wielkimi panami na ziemi”.¹⁾

Moglibyśmy mieć ciekawe szczegóły o pierwszych naukach, udzielanych przez św. Wincentego à Paulo, gdyby całość *Pamiętników* trzeciego z jego uczniów, Franciszka-Pawła de Gondi, kardynała de Retz, doszły do nas. Na nieszczęście dwieście pięćdziesiąt stron pierwszych in quarto autografu *Pamiętników* kardynała de Retz, zostały zniszczone, niewiadomo ani przez kogo, ani w jakim celu, a tam właśnie opowiedzianą była cała młodość autora. Jest to strata niepowetowana ze względów literackich i zupełnie niedająca się naprawić z punktu widzenia historycznego.

Jednak jeżeli sądzić o wychowaniu dwóch starszych z tego, co widzimy w najmłodszym, to odgadnąć możemy, jaką była działalność św. Wincentego à Paulo. Jeden z dawniejszych historyków powiada: „Wincenty à Paulo wprowadził przyszłego kardynała de Retz do tych nauk, w których ten robił przedziwne postępy. Znał on dokładnie aż siedm języków, władając nimi z łatwością, a mianowicie: hebrajski, grecki, łaciński, włoski, hiszpański, niemiecki i francuski. Z wielkim uznaniem otrzymał doktorat Sorbonny. Czytając jego *Memoires*, widzi się, w jak wysokim stopniu znał francuski język. Co do włoskiego, to ten był drugim macierzystym jego językiem. Pozostało ponim wiele listów łacińskich, godnych Bemba i Sadolet’a. A grecki znał tak dobrze, że w seminaryum kongregacji Indeksu, biegle tłumaczył książkę napisaną w języku greckim współczesnym, której inni kardynałowie nie mogli zrozumieć. W ostatnich zaś czasach życia swego brewiarz odczytywał po hebrajsku.”²⁾

¹⁾ Collet t. I str. 40 *Vie du Père de Gondi*, str. 329.

²⁾ Etienne Algay de Martignaë. „*Eloges historiques, des évêques et archevêques de Paris*”, Paris 1698.

Nie mówię przytem, ma się rozumieć, o geniuszu jaśniejącym w jego *Memoires*, o tym stylu żywym, poufałym, podniosłym i niby zaniedbanym, a jednak zdradzającym rękę mistrzowską gdzie było coś z Saint-Simon’a i z Bossueta.¹⁾ Są to przymioty wrodzone, których nabyć nie można od najlepszego nauczyciela.

Co się tyczy wychowania religijnego i moralnego, którego powinien był udzielić św. Wincenty à Paulo swoim trzem uczniom, o naturach tak gwałtownych, to nie widać, żeby najstarszy mało z tego korzystał. Corbinelli powiada: „Jeszcze młody, a zdradzał rozum, odwagę, rozsądek, i dojrzałość skończonego człowieka.” Pobożność nie opuściła go nigdy. Co się tyczy zaś drugiego, zabitego przy upadku z konia w młodości, to trudno powiedzieć jakie skarby złożył w tej młodej duszy św. Wincenty à Paulo, jaka wiara i miłość Boga obudziły się w niej w ostatnią godzinę jego. Trzeci, co prawda, spędził życie wśród przygód niesłychanych lub tragicznych, wśród których ujawniła się przyszła wielkość jego geniuszu i pożałowania godna potęga jego namiętności;²⁾ lecz czego historycy nie powiedzieli, to że wybryki jego przerywane niekiedy bywały przez rekolekcyje w Saint-Lazare i że przy końcu życia doznawał takiego niesmaku do rzeczy ziemskich, jaki odczuwają tylko ci, co mają serce strzałą niebieską przeszyte. Zasłużył on na te wielkie słowa Bossueta: „Człowiek ten, tak wierny w stosunkach prywatnych, tak oplakany dla państwa, o charakterze tak wzniosłym, że nie można go było ani kochać, ani poważyć, ani bać się połowicznie tylko; geniusz, wstrząsający światem, zdobywa godność, którą w końcu chciał porzucić, jako zbyt drogo kupioną, ma jednak odwagę wyznać to w najświetniejszym miejscu Chrześcijaństwa, uznając szczerze, że to wszystko nie zadowoliło jego pragnień. Do tyła znał on błąd swój i próżnię ludzkich wielkości. Lecz chcąc zdobyć to, czem miał niegdyś pogardzać, poruszał wszystkie tajemne a potężne sprężyny; a gdy wszystko zostało przewyciężone, czuł się samotnym, skazanym na własne oparcie

¹⁾ Sainte-Beuve. „*Causerie du lundi*”, t. V.

²⁾ W czasie gdy św. Wincenty à Paulo opuszczał dom Gondich, miał on zaledwie lat dziesięć, nie mógł więc jeszcze korzystać z nauk swego nauczyciela.

i on szczęśliwy zwycięzca losu przerażał swoim smutnem, nieustraszonem wejrzeniem.”¹⁾

Prawdopodobnie przez wdzięczność za usługi oddane dzieciom, a w celu większego jeszcze przywiązania go do siebie, Gondi w 1615 ofiaruje św. Wincentemu à Paulo wakującą kanonię w sławnej kapitule d’Ecouis, w diecezyi d’Evreux. W obrębie posiadłości Gondi’ch było wiele beneficjów, probostw i kanonij, co do których, wedle ówczesnych przywilejów, właściciel posiadał prawa kollatorskie. Pierwsze wakujące ofiarował św. Wincentemu à Paulo, nie przypuszczając, by ten istotnie zajął to stanowisko, bo postanowionem było, że będzie on miał zastępcę, a sam przebywać wśród rodziny Gondich. Był to więc tytuł honorowy, od którego nasz Święty nie mógł się uchylić. Objął go w posiadanie przez prokuratora 27 Maja 1615, a osobiście 16 września. Mamy protokół szczegółowy i aktu tego. „Dnia 16 września 1615 mistrz (maitre) Wincenty à Paulo, kapłan, bakałarz teologii, stawił się osobiście dla wykonania przysięgi wierności i otrzymania *osculum pacis*, co było koniecznem, aby kanonik, który przedtem objął kanonię w posiadanie przez prokuratora, mógł występować w chórze w odpowiednim ubraniu. Wincenty złożył przysięgę i podpisał obietnicę wypełniania swoich powinności, lecz mając obowiązek pozostawania w Paryżu, domagał się i uzyskał zastępcę; poczem otrzymał pocałunek pokoju i zaprosił towarzystwo na obiad nazajutrz, w dzień poświęcenia d’Ecouis, *pro suo jucundo adventu*, stosownie do zwyczaju kapituły.”²⁾ Była to zresztą jedyna czynność kanonika, której dopełnił, bo nie widzimy go później w Ecouis.

Cierpliwie pracując nad wychowaniem swoich uczniów o naturach tak różnych, bez wysiłku ze swej strony i nie zdając sobie nawet z tego sprawy, św. Wincenty à Paulo wywierał wielki wpływ na ich rodziców, pana i panią de Gondi. Trzeba przyznać, że rzadko widzieć było można podobne warunki; to też wytworzył on wśród tego wspaniałego i hucznego pałacu rodzaj Tebaidy. Wychodził z niej wtedy tylko, gdy jego obowiązki względem uczniów zmuszały go do tego, lub gdy pan albo

¹⁾ Bossuet. „Oraison funébre de Michel le Tellier”, t. XII, str. 586. Paris L. Vives 1864.

²⁾ Magnard t. I, str. 87.

pani Gondi mieli z nim co do pomówienia. A z jakim to szacunkiem ich traktował! Pelen wiary, przyzwyczajony szukać Boga we wszystkim, w panu Gondi chciał widzieć jakby osobę Jezusa Chrystusa, a w pani—osobę Panny Najświętszej. Sam nas o tem poucza. Widząc jednego ze swych księży, przebywającego jakiś czas u jednego z wielkich panów, podaje mu niektóre rady, jak ma świątobliwie zachować się wobec nich, przy św. spowiedzi, Komunii i podczas Mszy św. „Są mówił, pewne ceremonie przy końcu Mszy św., odbywające się wobec moźnych tego świata. Po zdjęciu n. p. ornatu zwraca się i czyni ukłon. Widziałem jak nasz błogosławiony M-gr z Genewy¹⁾ uczynił to względem pana jenerała galer. Wasza pozycja o wiele jest niższą od pozycyi tego wielkiego i świątobliwego prałata. Co więcej, zdaje mi się, że podnosi się jeszcze korporał do pocałowania i podaje się woda święcona po Mszy św. Nigdy tego nie robiłem i nic o tem nie wiem; lecz sami możecie poinformować się o tem. Za zasadę miałem patrzeć na jenerała w Bogu, a Boga oglądać w nim i równie go słuchać a nieboszczkę panią słuchać, tak jakbym słuchał Pannę Najświętszą i stawać podobnie przed nimi, gdy mię przyzwano, lub gdy tego wymagała jakaś sprawa pilna lub ważna. W imię Boże i wy, panie, tak czyńcie. Co się tycze domowników, bardzo trzeba ich szanować i traktować łagodnie, serdecznie i z wielkiem poważaniem, a przytem mówić im raz w raz o Bogu.”²⁾

Z całego tego stosunku wynikało coś słodkiego, skupionego, skromnego, życzliwego, co nadawało słowom św. Wincentego i całej jego postaci znamię nadzwyczajne.

Lecz ta pokora wielkiego sługi Bożego nie wykluczała mocy i pewności siebie. Zachował się godny uwagi rys tego przymiotu Świętego. Filip-Emmanuel został obrażony przez jednego z panów dworskich, i pomimo swojej pobożności sądził, iż winien jest sobie samemu, swemu imieniowi i honorowi swojej rodziny, zmyć tę obrazę we krwi swego przeciwnika. Lecz przed udaniem się na miejsce walki, przez jedną z tych nie rzadkich niekonsekwencyj towarzyskich poszedł do kaplicy, pobożnie wysłuchał Mszy świętej i długo tam się mo-

¹⁾ Bezwątpienia mowa tu o św. Franciszku Salezym. (Przypisek tłumacza).

²⁾ „Lettres”, I, str. 148, № 146.

dlil, polecając Bogu wynik pojedynku i zbawienie duszy swojej. Mszę odprawiał św. Wincenty à Paulo. Powiadomiony o tym zamiarze, a może za zgodą pani de Gondi, przeczekał aż wszyscy wyszli z kaplicy, a pozostał w niej tylko Filip-Emmanuel. Święty ukląkł u stóp jego i przemówił doń: „Pozwól panie, abym z całą pokorą powiedział ci kilka słów. Z dobrego źródła wiem, że masz zamiar pojedynkować się; lecz oświadczam ci w imieniu Zbawiciela, któremuś cześć oddawał przed chwilą, że jeżeli nie zaniechasz tego zamiaru swego, wykona on sprawiedliwy sąd swój nad tobą i nad całym potomstwem twojem.”¹⁾ Poważne te słowa wzruszyły uczucia ojca i chrześcijanina tak dalece, że gniew jego ustąpił; spojrział raz jeszcze na ołtarz i oświadczył świętemu kapłanowi, że porucza Bogu troskę o pomszczenie doznanej obrazy.

Łatwo domyślić się, że pani de Gondi, przy swojej anielskiej pobożności nie była ostatnią pomiędzy odczuwającymi woń świątobliwości, jaką roztaczało wkoło siebie życie św. Wincentego à Paulo. Nieśmiała i trwożliwa aż do skrupułu pałała chęcią otworzenia przed nim duszy swojej, lecz nie śmiała tego uczynić. Zwraca się więc do Ojca Berulle, prosząc go, aby zobowiązał tego mądrego i cnotliwego kapłana do troskliwości o jej sumienie i do pomocy swemi dobrymi radami. Na to zgodził się św. Wincenty, ulegając życzeniom i wskazaniom tego, którego uważał za ojca duszy swojej, chociaż z powodu wielkiej pokory swojej odczuwał duże zaniepokojenie.²⁾ Kierowana przez tego świętego spowiednika pani de Gondi czyniła prędkie postępy na drodze doskonałości chrześcijańskiej, że zaś była zanadto skupioną w sobie i zamroczoną przez skrupuły, on ją wyrwał z tego stanu i zachęcał do współudziału w dziełach miłosierdzia. Poczęła więc nawiedzać ubogich i pielęgnować chorych, zachodząc do najnędzniejszych chat. A jak przy tem była łagodną i uprzejmą, płacąc nie tylko pieniądze, ale samą osobą swoją, o tem świadczyli wszyscy ubodzy i umierający. Nikomu nie odmawiała, a że siły jej fizyczne były dość słabe, więc łatwo męczyła się, tak, że wkrótce niebezpiecznie zachorowała. Święty Wincenty à Paulo nie oszczę-

¹⁾ Abelly I, str. 30.

²⁾ Abelly I, str. 29.

dzał się też, tylko silnemu organizmowi swemu zawdzięczał, że nie wpadł w chorobę.

Radzibyśmy mieć więcej szczegółów o tej kampanii miłosierdzia, prowadzonej z takim zapalem przez panią de Gondi i jej świętego kierownika, lecz skromność i pokora ich obojga większą jeszcze była, niż samo ich miłosierdzie. Jeden tylko fakt wymknął się z cienia i wskazuje, jak wzniosłem było to miłosierdzie, troszczące się nie tylko o ciało, lecz więcej jeszcze o bezpieczeństwo dusz. Rodzina Gondich przebywała w zamku Folleville w pobliżu Amiens. Pewnego wieczora proszono św. Wincentego à Paulo o wysłuchanie spowiedzi umierającego wieśniaka. „Chociaż człowiek ten, powiada Abelly, prowadził życie na pozór chrześcijańskie, to jednak, jak się okazało miał sumienie obarczone wielu grzechami śmiertelnymi, które ukrywał ze wstydu. Św. Wincenty ujrzawszy go, powziął myśl doprowadzenia go do odbycia spowiedzi jeneralnej dla większej pewności zbawienia.” W następstwie tego okazało się, że myśl ta pochodziła od Boga; bo gdy pani de Gondi wkrótce potem odwiedziła chorego, ten ze łzami wyznał, że uprzednie spowiedzie jego były świętokradzkie, że grzechy przeszłego życia jego były ogromne. „Z tego powodu, mówi dalej Abelly, ta cnotliwa dama wzruszona i zdziwiona, zwracając się do Św. Wincentego, zawołała: Ach! Ojciec co to jest? cośmy tu usłyszeli? To zapewne podobnie się dzieje z większą częścią tych biednych ludzi? Ach! jeżeli ten człowiek, uchodzący przed ludźmi za dobrego, zostawał w stanie potępienia, to cóż będzie z innymi, daleko gorszymi? Ach! księżo Wincenty, ileż to dusz gubi siebie! Jakie na to lekarstwo?”

I pani de Gondi błagała naszego Świętego, aby w następną niedzielę powiedział kazanie o potrzebie jeneralnej spowiedzi: „A Bóg, powiada Św. Wincenty à Paulo, był łaskaw uwzględnić ufność i wiarę tej damy (bo wielka liczba i ogrom grzechów moich stały na przeszkodzie owocności tego działania) i pobłogosławił mojej; wszyscy dobrzy ludzie tak byli wzruszeni przez Boga, że wszyscy prosili o spowiedź jeneralną.” „Byliśmy potem, mówi dalej Św. Wincenty à Paulo, w innych wioskach tej okolicy, należących do pani, i wszędzie było wielkie ubieganie się o spowiedź jeneralną i wszędzie doznawaliśmy błogosławieństwa Bożego. To była pierwsza nauka missyjna i powodzenie, jakie Bóg zesłał w dzień Nawrócenia Św. Pawła;

zapewne wybór dnia tego leżał w zamiarach Bożych.”¹⁾ Było to 25 stycznia 1617 roku.

Wypadek ten uczynił tak żywe wrażenie na panią de Gondi, że bezpośrednio potem złożyła sumę 16,000 liwów, ofiarując ją na założenie kongregacji, któraby się zgodziła co pięć lat odbywać misye po wsiach do niej należących. Św. Wincenty robił tę propozycję OO. Jezuitom i OO. Oratoryanom, lecz ci nie mogli jej przyjąć; więc pani de Gondi nie wiedząc do kogo się udać, zrobiła testament, w którym sumę tę zapisywała św. Wincentemu dla założenia misyj wedle jego uznania, co do miejsca i sposobu ich urządzenia. On zachował głęboką pamięć o tym dniu. Corocznie obchodził pamiątkę jego, nie zdając jednak jeszcze sobie sprawy dobrze z tego, że ta pierwsza misya była pierwowzorem tych, jakie nastąpią potem, że zawierała w sobie ziarno nasienne kongregacji, przeznaczonej do ewangelizowania wiosek i z tego powodu nazwie ją później Kongregacją Misyjną.

Czy to ta misya w Folleville obudziła w sercu świętego Wincentego à Paulo jego żywsze jeszcze uczucia dla ubogich? Czy też chęć życia bardziej ukrytego? Dosyć, że niebawem rozeszła się wieść najbardziej niespodziewana; Wincenty à Paulo opuścił zamek Montmirail i rodzinę Gondi'ch z zamiarem nie wracania już tam. Odjeżdżając, nie śmiał powiedzieć o tem. Za pretekst użył malej podróży do Paryża i stamtąd napisał list do pana de Gondi; a gdy list ten otrzymano, był on już daleko ukryty w głębi Bresse, w małym bardzo opuszczonym i bardzo ubogim miasteczku Châtillon-les-Dombes.

Starając się zdać sobie sprawę z pobudek podobnego kroku człowieka tak mądrego, tak rozsądnego, a przedewszystkiem tak dobrego i wdzięcznego, dotyka się o najsubtelniejsze struny duszy tego wielkiego Świętego. W ciągu pięciu lat pobytu wśród rodziny Gondi'ch widział Wincenty à Paulo, że szacunek otaczał osobę jego i powiększał się wciąż na każdym kroku. Uważano go za świętego, gdy on sam nazywał siebie „nędznikiem”. Trzeba było iść w kraj daleki, gdzie go nieznano i gdzieby mógł żyć w zupełnym zapomnieniu. Co więcej, pani de Gondi oddała się pod jego kierownictwo duchowe i znalazła w niem pokój niewypowiedziany. Pobożna i nieśmiała, a lękliwa aż do skrupułu, w ciągłej obawie, by nie obrazić swego,

¹⁾ Abelly I, str. 32—34.

nie mogła się obejść bez swego kierownika duchowego. Chciałaby zawsze mieć go przy sobie. Od czasu do czasu obowiązywał on ją do spowiadania się przed innym kapłanem i zniewalał do przyznania, że doznawała stąd pociechy. Ona była posłuszną i chętnie uznawała dobro jej wyświadczone, lecz tem skwapliwiej wracała do swego świętego kierownika. Widząc to św. Wincenty à Paulo obawiał się, aby nie być pomimowolną przyczyną powstrzymania rozwoju pani de Gondi na drodze doskonałości. Za przykładem więc Pana Naszego, który powiedział swoim Apostołom: „*Pożytecznie wam abym ja odszedł*,” (Joan 16 I), a mając panią de Gondi za zdolną do podniesienia się na najwyższe szczyty zaparcia się siebie, postanowił oddalić się.

Zdaje się, że kwestya wychowania młodzieńców Gondi wpływała również nie mało na postanowienie św. Wincentego à Paulo. Chłopcy podrastali, starszy miał już lat piętnaście; a nasz pokorny Święty był zdania, że „liczy uczeń czwartej klasy,” jak skromnie zwykł był siebie nazywać, nie był uzdolnionym do prowadzenia edukacji odpowiedniej przyszłemu stanowisku „tych trzech młodych panów”. Co więcej chłopcy były to „dyabłatka”, jak ich z uśmiechem nazywała ciotka, margrabina de Meignelais.

Nie byli podobni ani do ojca, ani do matki. Przeciwnie znajdywano w nich podobieństwo do dziada, marszałka de Retz, dziada stryjecznego pierwszego kardynała de Gondi; ta sama gwałtowność, te same ambicje. Filip-Emmanuel i pobożna małżonka jego byli jak para gołębi w gnieździe orłów i sępów.

Aby jeszcze lepiej zdać sobie sprawę z powodów ustąpienia św. Wincentego à Paulo, dodać należy, że rodzinny spokój Gondi'ch od pewnego czasu był w szczególny sposób zakłócony przez wypadki polityczne.

Wojna domowa toczyła się na ulicach i przenikała do domów. Concini, znany pod sławnym mianem marszałka d'Ancre, został zabity przy wyjściu z Louvre'u (24 kwietnia 1617); jego żona, Leonora Galigaï, marszałkowa d'Ancre, do stóp której schylały się najdumniejsze głowy, została spalona na placu de Grève. (8 lipca).

Królowa Marya de Medicis wysłaną została do Blois, na wygnanie. Gondi'owie Florentczycy, jak sama królowa, poniekąd dalecy jej krewni, przyjaciele marszałkowstwa

d'Ancre, byli zestosunkowani z całym szeregiem wielkich rodzin skompromitowanych, więc z tego powodu dom ich stawał się widownią najgorętszych namietności politycznych. Wszystko to nie podobało się ś. Wincentemu à Paulo. Czuł on pragnienie spokoju, ciszy, pokory, zapomnienia o tych wszystkich uniesieniach pychy i ambicji, marzył on o małym, nieznanym światu zakątku, gdzieby mówiono tylko o Bogu i o ubogich. Nic jednak nie uczynił bez porady Ojca de Berulle i w najdelikatniejszy tylko sposób potrącając o powyżej przytoczone powody, przedstawił mu potrzeby swej duszy. Berulle widział przed sobą człowieka, powodującego się zawsze li tylko najwyższymi względami głębokiej wiary, który w danym razie miał powody wierzyć, że natchnienie jego pochodzi wprost od Boga, zwłaszcza co do kwestyi misyj wiejskich; — zgodził się tedy i Wincenty wyjechał, czując się szczęśliwszym, że mógł zapomnieć o tym świecie, pełnym gwaru i ruchu, i znaleźć się wśród otoczenia ukochanych przez niego ubogich. Przybył do Chatillon-les-Dombes w pierwszych miesiącach 1617 r., a 1 sierpnia został instalowany proboszczem.

Nr. inv. 10 Dz. A-10.



ROZDZIAŁ V.

Św. Wincenty à Paulo proboszczem w Châtillon-les-Dombes. — Początek wprowadzania kobiet chrześcijańskich, a potem i mężczyzn do posługi ubogich. — Powrót do domu Gondi'ch. — Rozwój dzieł Miłosierdzia. 1617—1621.

Można powiedzieć, że Wincenty à Paulo uciekł z domu Gondich. Odjechał pod pretekstem interesów do Paryża, nie mówiąc w domu nikomu, że nie wróci. To też, po zainstalowaniu się w Châtillon, wnet czuł się w obowiązku napisać do pana Gondi, który wówczas dowodził galerami królewskimi u brzegów Prowancyi. Aby wytłumaczyć swój odjazd, przywodzi przedewszystkiem powód niezdolności swojej do odpowiedniego kierowania wychowaniem i wykształceniem jego synów. Można sobie wyobrazić zdumienie i boleść pana Gondi. Zostając wciąż poza domem z powodu wojny, rzucony w wir intryg i namietności politycznych, czuł się przynajmniej spokojnym i pewnym co do domu, mając tam kapłana tak wielkiej cnoty. Lecz o ile większem i żywszem było zdziwienie i boleść pani de Gondi: potrzebowała kierownictwa swoim lęklivem sumieniem w wychowaniu trzech synów, spodziewała się też zwrócenia i męża ku życiu bardziej chrześcijańskiemu—bo uważała, że on zanadto wdaje się w sprawy światowe—to też obecność św. Wincentego à Paulo, zdawała jej się niezbędną. On tylko zdolnym był doprowadzić wszystkie te sprawy do pożądanego rezultatu. Zachowano kilka fragmentów wymienionych listów z tej epoki; są one prześliczne. Oto najpierw list pana Gondi pisany do pobożnej żony, podający jej tę smutną dla nich wiadomość: „Jestem w rozpacz z powodu listu otrzymanego od o. Wincentego,

który ci posyłam, abys rozważyła, czy niema jeszcze jakiego środka na to nieszczęście, jakie ze stratą jego nas dotyka. Jestem nadzwyczaj zdziwiony, że ci nie powiedział o postanowieniu swoim i że nie miałaś żadnej o tem wiadomości. Proszę cię, użyj wszystkich środków, żebyśmy go nie stracili zupełnie, bo gdyby powód, który przytacza (domniemana niezdolność) był nawet prawdziwym, to dla mnie niczem on jest, bo za najważniejsze uważam wzgląd na zbawienie moje i moich dzieci, w czym on wiele mógłby nam dopomóc, jako też i w tych pożądanym bardziej, niż kiedy, zamiarach moich, o których ci mówiłem. Nie odpowiedziałem mu jeszcze i czekać będę przed tem na wiadomości od ciebie. Pomyśl, czy pośrednictwo siostry mojej de Ragny, która mieszka w pobliżu od niego, nie byłoby pożądanem? Sądzę jednak, że najlepszym będzie wdanie się w to o. de Berulle. Powiedz mu, że gdyby nawet ks. Wincenty nie posiadał metody nauczania młodzieży, to może mieć pod swoim kierunkiem odpowiedniego człowieka; w każdym razie gorąco pragnę, aby on wrócił do domu naszego, gdzie będzie prowadził takie życie, jak sam zechce, a ja stanę się prawdziwie dobrym człowiekiem, jeżeli on będzie ze mną”.

Pani de Gondi otrzymała ten list w dzień Podwyższenia Krzyża Świętego (14 września) 1617 r. Była przygnębiona nim bardzo, „plakała nieustannie, nie mogła ani jeść, ani spać”.¹⁾ „Nigdy nie myślałam, żeby się to stać mogło, mówiła do jednej z przyjaciółek swoich. O. Wincenty zdawał się tak litościwym względem duszy mojej, że nie mogłam podejrzewać, aby zechciał nas opuścić w taki sposób. Lecz Bogu niech będzie chwała, na nic się nie skarzę, tak widać trzeba było; wierzę, że on nic nie uczyni bez szczególnej wskazówki Opatrzności Boskiej, a postępuje jedynie pod wpływem świętej miłości Bożej. Lecz istotnie oddalenie się jego bardzo jest dziwnem i wyznaję, że ja tego nie rozumiem. On wie, jak potrzebuję jego kierownictwa; zna sprawy, które mu komunikowałam; zna udreżenie ducha i ciała, jakich doznawałam w braku jego pomocy; wie ile dobrego pragnęłabym uczynić dla moich wieśniaków a że bez jego rady nie możebnem mi jest cokolwiekby przed-

sięwziąć. Krótko mówiąc, widzę, że dusza moja w bardzo opłakanym jest stanie.” A pokazując list męża, dodała: „Widzisz, z jakim żalem pan generał pisze mi o tem. Ja sama widzę, jak wiele moje dzieci tracą przez to; tyle dobrego, dał on domowi mojemu i siedmiu czy ośmiu tysiącom dusz mieszkających na posiadłościach naszych; teraz już tego nie będzie. A czyż te dusze nie są również odkupione najdroższą krwią Zbawiciela Naszego, jak tamte z Bresse? Czyż nie są mu równie drogie? Istotnie nie wiem jak to rozumie o. Wincenty; lecz wiem dobrze, iż nie powinnam obecnie niczego zaniedbać, by go skłonić do powrotu. On szuka tylko największej chwały Boga i ja nie chciałabym iść wbrew woli Jego; lecz z całego serca błagam Boga, by mi go powrócił. Proszę o to Najświętszą Matkę Bożą i prosiłabym jeszcze goręcej, gdyby mój interes prywatny nie był w to wmieszany wraz z interesami pana generała, dzieci moich, mojej rodziny i moich poddanych”. Nic nie może być piękniejszego nad listy podobne. Pani de Gondi, wnet udała się do o. Berulle, zwierzyła mu się z boleści swojej, z potrzeb swoich i nawet z tych przedziwnych skrupułów swoich, co do działania wbrew świętej woli Bożej, przy podjęciu usiłowań w celu powrotu Wincentego. O. de Berulle postarał się o usunięcie tych wątpliwości, a podziwiając subtelność delikatności tej duszy prawdziwie chrześcijańskiej, zachęcał ją, by sama napisała do Wincentego à Paulo. I oto w jakich wyrazach zwróciła się do niego. „Strapienie, którego doznaję, trudnem jest do zniesienia bez nadzwyczajnej łaski Bożej, na którą nie zasługuję. Gdyby to było tylko czasowem nie byłoby tak ciężkiem, lecz gdy rozważam wszelkie okazy, w których tak potrzebuję porady i kierunku czy przy śmierci, czy w życiu,—to cierpienia moje odnawiają się. Proszę więc osądzić, czy duch mój i ciało moje długo wytrzymać zdołają tę boleść. Jestem w takim stanie, że nie mogę gdzieindziej szukać potrzebnej rady i kierownictwa, bo wiesz pan dobrze, iż wobec nie wielu ludzi mogę być otwartą, co do potrzeb duszy mojej. O. de Berulle obiecał mi napisać do księdza i wzywam Boga i Najśw. Pannę, aby wrócili Ojca domowi naszemu ku zbawieniu całej rodziny naszej i wielu innych, względem których mógłbyś okazać miłosierdzie swoje. Błagam cię, Ojcze, jeszcze raz, wykonywaj je względem nas dla miłości, jaką żywisz w sobie ku Panu Naszemu, którego woli i w tym wypadku poddaje

1) Abelly, str. 39.

się, chociaż mam wielką obawę, że nie zdołam w tem wytrwać. Jeżeli i po tem wszystkiem odmówisz mi pan, to obarczę cię przed Bogiem tem wszystkiem, co mi się przydarzy i całem tem dobrem, jakiemu uchybię, nie mając potrzebnej mi pomocy. Znajdę się w położeniu krytycznem, gdyż często pozbawioną będę sakramentów, z powodu wielkich trudności, jakie mi się nadarzają a także i z powodu braku odpowiedniego kapłana (kierownika). Widzisz pan, że i generał to samo ma życzenie, którem natchnął go sam Bóg przez miłosierdzie swoje. Nie opieraj się dobru, które uczynić możesz, pomagając do zbawienia jego, bo on może przyczynić się do zbawienia wielu innych. Wiem, że życie moje wiedzie do obrazu Boga, więc nie jest niebezpiecznem narażać je, lecz dusza moja potrzebuje opieki w godzinę śmierci. Przypomnij sobie twogi moje, których byłeś świadkiem, podczas ostatniej choroby mojej w jednej z wiossek. Czuję się obecnie jeszcze gorzej; a sama obawa przed tem, tak mię udręcza, iż nie wiem czy bez należytego, uprzedniego przygotowania, zdołałabym uniknąć śmierci”.¹⁾

Św. Wincenty à Paulo głęboko był wzruszony tym listem. Padł na kolana, błagając Boga, by dał mu poznać wolę swoją. Udał się do stóp Najśw. Sakramentu i wiele razy odprawił Mszę św. na intencję ubłagania światła Bożego. Lecz chociaż posiadał duszę najwrażliwszą na najmniejsze poruszenia łaski, nie poczuł jednak żadnego natchnienia co do powrotu do domu Gondich. Dzieło, dla którego przybył do Châtillon, nie było jeszcze dokonane.

Po napisaniu do pani de Gondi, aby ją pocieszyć i pobudzić do szukania przedewszystkiem świętej woli Bożej, z żarliwością zabrał się do uświętobliwienia parafii swojej. Jeżeli stan jej był smutny, to nie z powodu braku kapłanów, było ich tam sześciu na parafię o dwóch czy trzech tysiącach mieszkańców, lecz ci nie byli ani pasterzami, ani apostołami, mało się troszcząc o duszę, gorsząc małą miejscinę próżniactwem swoim. Co począć, by ten zły przykład usunąć? Wincenty à Paulo postarał się o łagodne pozyskanie ich zaufania i skłonił do wytworzenia z nich stowarzyszenia, aby tym spo-

¹⁾ Te podziwu godne listy zachowane nam zostały przez Abelly'ego t. I, str. 39 — 40.

sobem mogli wspierać się wzajemnie ku doskonalszej służbie Bogu i Kościołowi. Usłuchano jego przestrogi i przez długi czas potem trwało to ku wielkiemu zbudowaniu całej parafii¹⁾ Jednocześnie sam zajął się katechizacją małych dzieci, uważając to za jedyny środek gruntownego poprawienia parafii. Zajął się też nauczaniem ciemnych, których było bardzo wielu, z powodu prawie zupełnego dotychczas braku czynności pasterskich; nawracał heretyków, rozmnożonych z powodu sąsiedztwa Genewy; odciągał od życia lekkomyślnego i rozproszanego panów i wielkie damy, zamieszkujące w okolicznych zamkach i dworach. Później zobaczymy, czem było słowo św. Wincentego à Paulo, jedno z najwymowniejszych, jakie słyszano w XVII wieku; na ambonie, w konfesyonale, u łóża chorego—wszędzie świeciło ono tryumfy. Było nieraz wprost cudownem. Przytaczają w szczególności hrabiego de Rougemont, wyuzdanego pojedyńkowicza, a tak szczęśliwego, że nie można było policzyć jego ofiar. Słyszał on o św. Wincentym à Paulo, poszedł więc do kościoła w Châtillon, aby osobiście go posłuchać. I ożywiła się wiara jego. Padł na kolana przed świętym kapłanem, który od tego czasu raczej musiał go powstrzymywać w zbożnym zapale, niż pobudzać. Szczerze nawrócony, hrabia sprzedaje ziemię swoją i otrzymane za nią pieniądze poświęca na fundację klasztoru i na pomoc ubogim. Św. Wincenty musiał odradzać mu sprzedaży wszystkich innych ziem jego, bo jak powiedział, w ciągu miesiąca nie posiadał by ani piędzi ziemi, naśladując w tem Zbawiciela, który nie miał gdzie złożyć głowy swojej. „Łamię, tłuczę, zrywam wszystko i idę wprost do nieba”—powiedział on św. Wincentemu à Paulo. Zostawała mu się jeszcze szpada, ostatnie i najdroższe ludzkie przywiązanie jego. Nie mógł się zdecydować na rozstanie się z nią. Pewnego dnia ogarnął go jednak wstyd z powodu takiej małoduszności; wstrzymuje więc konia, zsiada zeń, wyciąga ulubioną szpadę swoją i uderzeniem o skałę łamię ją w kawałki. Potem siada znów na konia wołając: „Teraz jestem wolny”.

Nie mniejszego rozgłosu nabrało inne nawrócenie, mające jeszcze poważniejsze następstwa. Dwie młode damy: pani de la Chassaigne i pani de Brie obdarzone wielką pięknnością i majątkiem, żyły wśród rozrywek, gier i tańców. Raz weszły do kościoła w czasie kazania św. Wincentego à Paulo. Zmieszane i

¹⁾ Abelly I, 38.

wzruszone komunikują sobie wzajemnie wrażenia swoje i postanawiają wspólnie złożyć wizytę świątobliwemu kapłanowi. Po kilku słowach dzieło się dokonywa i opuszczają go, zdecydowane porzucić blachostki życia światowego a poświęcić się posłudze ubogich. W czasie straszliwej epidemii, która wkrótce potem dziesiątkowała mieszkańców Châtillon, panie te posuwały poświęcenie się swoje do bohaterstwa.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć wiele innych nawróceń; jak na przykład młodego i bogatego protestanta p. de Beynier, u którego w braku plebanii zamieszkał był św. Wincenty à Paulo, płacąc mu za gościnność darem wiary, a także nawrócenie szwagra jego, dawnego żołnierza księcia Montpensier i t. p. Lecz spieszo nam do wielkiego wypadku, który w wyrokach Opatrzności był może główną przyczyną przybycia św. Wincentego à P. do Châtillon.

Pewnego dnia nasz Święty ubierał się do Mszy św., gdy pani de Chassaigne prosiła go, aby miłosierdziu parafian polecił pewną ubogą rodzinę, w której wszyscy: ojciec, matka i dzieci zachorowali w domu o pół mili od Châtillon. Istotnie przemówił on z ambony z właściwą sobie żywością i czułością. Po południu poszedł odwiedzić tę ubogą rodzinę z jednym ze swoich parafian, bardzo dobrym wieśniakiem. W drodze ucieszył się wielce, ujrawszy cały tłum osób, które wzruszone zostały jego słowami i już wracały z domu chorych, którym pospieszyły z pomocą. „Oto, rzekł, wielkie miłosierdzie, lecz na nieszczęście źle zorganizowane. Ci biedni chorzy zaopatrzeni do zbytku nieomal, będą musieli część ofiarowanych im rzeczy zostawić na zepsucie i stratę, a niebawem wpadną znowu w dawny niedostatek”.

Zaprosił p. de la Chassaigne i p. de Brie, wskazał im niedogodność tak źle pokierowanego miłosierdzia i prosił je o pomoc w zjednoczeniu kilku dam dobrej woli. „Zaproponowałem im, powiada św. Wincenty ażeby się ułożyły pomiędzy sobą i każda z kolei obrany przez siebie dzień poświęciła posłudze i pomocy nie tylko tych chorych, lecz i innych jacy w przyszłości się znajdują. I oto, dodaje on, pierwsze miejsce w którym Miłosierdzie zostało ustanowione”. ¹⁾

¹⁾ „Conferences de Saint Vincent de Paul aux filles de la Charité.” Paris. Pilet et Dumoulin 1881, t. I, 181 i 208.

Z tym zdrowym rozsądkiem i duchem organizacyjnym, które go charakteryzowały, bez ustaw pisanych, zaczął przyzwyczajać do tej posługi w ciągu trzech miesięcy damy swej parafii. Potem, gdy dzieło już było w ruchu, zreagował ustawy pisane. Szczęśliwemu przypadkowi zawdzięczamy odnalezienie 20 lutego 1839 w archiwum merostwa w Châtillon autografu tego drogocennego regulaminu, pierwszego jaki napisał był św. Wincenty à Paulo, a noszącego już na sobie znamię tej głębokiemu mądrości, jaka się ujawni odtąd we wszystkich następnych jego dziełach.

Zaczyna nasz Święty od wskazania potrzeby tej nowej instytucji: od pierwszego przytem wyrazu zauważyć się daje głęboka pokora Świętego, która nie sobie, lecz innym przypisuje zaszczyt zapoczątkowania tej sprawy. „Miłosierdzie względem bliźniego jest nieomylnym znakiem prawdziwych dzieci Bożych, a jednym z głównych czynów tego Miłosierdzia jest nawiedzanie i żywienie ubogich chorych. Z tego powodu niektóre pobożne panny i niektóre cnotliwe mieszcanki miasta Châtillon-les-Dombes, Lyonńskiej dyecezyi, pragnąc otrzymać łaskę Boga i zostać prawdziwymi jego córkami, powzięły wspólną myśl opiekować się duchowo i cielesnie tymi z miasta swego, którzy niekiedy bardzo cierpią raczej z b r a k u p o r z ą d k u p r z y i c h d o g l ą d a n i u, niż z braku osób miłosiernych. Ponieważ zaś należy się obawiać, że po rozpoczęciu tego dobrego dzieła może ono wkrótce zaniknąć, jeżeli dla utrzymania go nie złączą się one niejako węzłami duchowymi, więc umyśliły połączyć się w zgromadzenie, które mogłoby być podniesionem do godności bractwa z następującymi ustawami; co wszystko jednak musi pozyskać aprobatę ks. Arcybiskupa, ich czcigodnego prałata, któremu też dzieło to jest w zupełności podległem”. Tak utworzonemu dziełu daje on miano: „Wymienione bractwo nazywać się będzie B r a c t w e m M i ł o s i e r d z i a (*Confrerie de la Charité*) a osoby w skład jego wchodzące, będą się mianowały sługami ubogich (*servantes des pauvres*) lub damami Miłosierdzia (*dames de Charité*). Patronem ich będzie Pan Nasz Jezus, który tak bardzo umiłował ubogich”. Każda niewiasta chrześcijańska, „wdowa, mężatka lub panna” pobożna i cnotliwa, będzie mogła brać w tem udział” z tem wszakże, iż mężatki i panny powinny mieć koniecznie pozwolenie na to mężów, ojców i matek”. W ten sposób nie ukrytego,

żadnej tajemniczości, wszystko w pełnym świetle dnia. Utworzonemu dziełu wnet daje zarząd: Najpierw przeorysza (une prieure) wybrana przez wszystkie uczestniczki bractwa, „które ją będą miłować i poważać jak matkę swoją i słuchać jej będą we wszystkim, co się tyczy dobra i obsługi ubogich, a to wszystko dla miłości Pana Jezusa, który stał się posłusznym aż do śmierci, a śmierci krzyżowej”. Do pomocy zaś przeoryszy wybierano dwie najskromniejsze i najdyskretniejsze z całego towarzystwa—asystentkę i skarbniczkę. A że nie właściwem jest, żeby same kobiety tylko prowadziły zarząd kasą konfraterni, więc sługi ubogich wybiorą prokuratora z pomiędzy pobożnych duchownych lub też cnotliwego a czulego na dobro ubogich mieszkańca miasta, nieobarczonego interesami doczesnymi, który będzie uważany jako członek bractwa i będzie uczestniczył w odpustach, które udzielone będą bractwu; w zgromadzeniach bractwa będzie posiadał głos decydujący w sprawach rozpatrywanych, jako jeden z członków, a to przez cały czas sprawowania urzędu swego prokuratorowskiego. Wszyscy jednak ci: przeorysza, asystentka, skarbniczka i prokurator zostają pod zarządem proboszcza lub wikarego, aby wszystko służyło do podtrzymywania a nie do zamieszania parafii.

Wielkiego znaczenia są wyrazy, wypowiedziane o skarbnicze: „Skarbniczka przechowywać będzie pieniądze, papiery i ruchomości, i zdawać sprawę co roku w drugi dzień Zielonych świątek w obecności proboszcza, przeoryszy, prokuratora i drugiej asystentki. Należy wierzyć tej skarbnicze na samo oświadczenie, które uczyni, że rachunki jej zawierają w sobie prawdę że żadna pozycja tych rachunków nie może być wykreślaną i że ani na niej, ani na jej mężu ani na jej dzieciach nie może być nic dochodzonem a to z przyczyny, że będąc pełną prawości i uczciwości, bo tylko taka może być wybraną, zasługuje na zupełne zaufanie, jako też dla tego, że gdyby miała być przedmiotem dochodzeń, to żadna nie chciałaby się podjąć tego urzędu”.

Lecz najwyższego szczytu dosięga nasz Święty w przepisach o sposobach obchodzenia się z ubogimi. Damy Miłosierdzia do tych tylko iść mają, którzy po zbadaniu przez przeorysę w towarzystwie asystentki i skarbniczki zostali uznani za zasługujących i oto jak mają się one z nimi obchodzić. „Ta która ma iść nawiedzać, weźmie od skarbniczki wszystko, co

potrzeba dla nakarmienia ubogich, przyrządzi obiad, zaniesie go chorem; po przybyciu na miejsce pozdrowi ich wesoło, uprzejmie i miłosiernie, umieści stoliczek przy łóżku chorego, okryje go serwetą, postawi kubek, położy łyżkę i chleb; poda wodę do umycia rąk choremu, odmówi „*Benedicite*” naleje zupy do miseczki i położy mięso na talerz, ustawiając to wszystko na powyżej wymienionym stoliczku. Potem uprzejmie i przyjaźnie zaprosi chorego do jedzenia dla miłości Jezusa i Najświętszej Maryi, czyniąc to wszystko z taką miłością, z jaką by robiła to dla syna swojego, a raczej dla Boga, który przyjmuje jako zrobione dla niego to, co się robi dla ubogiego. Przytem powie choremu parę króciutkich słów o Panu Naszym, starając się go pocieszyć, jeżeli jest bardzo strapiony, niekiedy pokraje mu mięso, poda mu napój. Jeżeli kto z otoczenia chorego jest przy nim, oddali się, aby iść do drugiego i obejść się z nim w ten sam sposób, pomnąc by zawsze poczynać od tego, kto kogoś ma przy sobie, a kończyć na tych, którzy są osamotnieni, a to w celu możności pozostania przy nich przez czas dłuższy. Wieczorem przyniesie wieczerzę i poda w tym samym, co wyżej, porządku”.

„Každy chory dostanie tyle chleba, ile mu potrzeba, ćwierć funta baraniny lub wołowiny, zgotowanej na obiad i tyleż pieczeni na wieczerzę, z wyjątkiem niedzieli i świąt, kiedy można im dać kurę zgotowaną na obiad, lub mięso siekane na wieczerzę dwa albo trzy razy na tydzień. Ci, którzy nie mają gorączki, dostaną półkwarty wina na dzień, część rano a część wieczorem.

„Aby zaś celem tej instytucji było nie tylko samo materialne pielęgnowanie ubogiego, lecz i duchowe, wymienione służebnice ubogich będą się starały i dołożą usiłowań, by nauczyć się skierowywania chorych do lepszego życia, a umierających do dobrej śmierci i uprawiać będą tę praktykę przy odwiedzaniu chorych i same modlić się będą o to do Boga, i często w tym samym celu wznosić myśli i serca swoje. W razie śmierci, rzezione służebnice Miłosierdzia zatroszczą się o pogrzeb zmarłego na koszt bractwa, o całun, o wykopanie mogiły, jeżeli zmarły nie zostawił na to innych środków i o ile możność pozwoli asystować będą przy pogrzebie zmarłego, którego żywiły, gdy był chory, czyniąc tak, jakby uczyniła matka przy grobie dziecka swego”.—„Służebnica ubogich troszczyć się będzie o chorego

z miłością, jaką by otaczała syna swego. Rozpocznie zawsze od tego, który nie jest samotnym, a b y s k o ń c z y ć przytych, którzy są osamotnieni, i mieć możność dłużej zostać z nimi. Asystować będą przy pogrzebie, zajmując przy tem miejsce matek, towarzyszących dzieciom swoim do mogiły”.

Zaiste jak te zalecenia pełne są prawdziwie boskiej delikatności!

Św. Wincenty ustanawia też zebranie miesięczne pod przewodnictwem proboszcza, który wypowie krótką naukę o duchowym postępie stowarzyszenia, potem wskaże ćwiczenia duchowe każdej służebnicy chorych, pomiędzy którymi „te, które będą umiały czytać, przeczytają codziennie powoli i uważnie rozdział z dzieła biskupa Genewskiego, zatytułowanego: „Wstęp do życia pobożnego” (*Introduction de la vie devote*), podniosą ducha do Boga przed czytaniem, błagając Go o łaskę i miłosierdzie dla otrzymania owoców miłości Jego w tem pobożnem ćwiczeniu”.

Po napisaniu tych ustaw św. Wincenty uzyskał aprobatę od Arcybiskupa Lyonńskiego, potem ogłosił je na uroczystem zebraniu 8 Grudnia w święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny i sporządził protokół następujący: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego ósmego Grudnia w dzień Niepokalanego Poczęcia Panny, Matki Bożej, roku tysiąc sześćset siedemnastego, w kaplicy szpitalnej miasta Châtillon, wobec zgromadzonego ludu: my, Wincenty à Paulo, kapłan i proboszcz niegodny rzeczonoego miasta, przedstawiliśmy jako ks. de la Faye, wielki wikaryusz ks. arcybiskupa Lyonu, czcigodnego pralata naszego, aprobował artykuły przepisów napisanych dla ustanowienia bractwa (*confrérie*) Miłosierdzia w rzeczonym mieście, przez co dziś ustanowiliśmy rzeczono Bractwo, podawszy najpierw do wiadomości ludowi, na czem ono polega i że ma na celu pielęgnowanie ubogich chorych miasta, duchownie i materyalnie. Zaprosiliśmy te bogobojne niewiasty, któreby chciały do bractwa przystąpić. Zbliżyły się więc i podały nazwiska swoje, następujące osoby: Franciszka Baschet, Karolina de Brie, Gasparda Puget, Florentyna Gomard, żona p. kasztelana, Dyoniza Benier, żona nieboszczyka Klaudyusza Bourbon, Fiberta Mulger, żona Filiberta des Hugonieres, Katarzyna Patissier wdowa po zmarłym Klaudyuszu Hurdillat, Joan-

na Perra, córka nieboszczyka Perra, Florentyna Gomard, córka nieboszczyka Dyonizego Gomard, Benedykta Prost, córka Edmunda Prost, Thoyne, wdowa po nieboszczyku Idzim Puisseau, które ofiarują się jako dozorcynie ubogich.

„Potem odbyły się wybory na urzędy Bractwa. Wybrane mi zostały: przeorysza panna Baschet; skarbniczka panna Karolina de Brie; asystentka pani Gasparda Puget i prokurator Jehan, syn nieboszczyka szanownego Jehan’a Benier, większością głosów wyżej wymienionych osób, co działo się w powyżej rzeczonoj kaplicy szpitalnej dwunastego Grudnia 1617 P o d p i s a n o V. de Paul i jego dygnitarze”.

W ten sposób ostatecznie ukonstytuowane zostało pierwsze stowarzyszenie miłosierdzia, stworzone przez św. Wincentego à Paulo. Po raz to pierwszy zorganizowano nawiedzanie ubogich i chorych w ich ogniskach domowych i wciągnięto do tego damy ze świata, zostawiając je wolnymi od wszelkich stałych zobowiązań i wszelkich ślubów zakonnych. Pozostawać one miały wśród swoich rodzin, wychodząc do nawiedzania ubogich za pozwoleniem mężów, ojców i matek swoich i łącząc swoje obowiązki rodzinne z obowiązkami miłosierdzia. Św. Wincenty à Paulo od razu wytworzył arcydzieło. Nie wyrzekał się on starego *Hotel-Dieu*, obsługiwanego przez zakonnice, a tak potrzebnego ubogim oraz opuszczonym chorym i w przyszłości sam weźmie się do tego i udoskonali to dzieło. Obok tego a nawet jakby na pierwszym miejscu stawia rodzaj dalszego ciągu szpitala (*Hôtel-Dieu*), szpital u domowego ogniska, obsługiwany przez światowe damy. I pobłogosławił Bóg tej pobożnej instytucji; napelnia ona dziś prawie świat cały.

Pani de Gondi jednak nie zrezygnowała; nie mogła pogodzić się z faktem utracenia swego świątobliwego kierownika. Ponawiała zabiegi o powrót jego. W tym celu prosiła i otrzymała najsilniej nalegające listy od męża swego i od swego szwagra Henryka de Gondi, biskupa Paryskiego i od ojca de Berulle i wysyłała je do św. Wincentego à Paulo przez jednego z najbliższych przyjaciół p. du Fresne, który kiedyś wprowadził był go na dwór królowej Małgorzaty. Ten dobrego serca człowiek tak się przejął posłannictwem swoim i przeprowadził je z taką delikatnością, roztropnością i mocą, że skończyło się na pociągnięciu św. Wincentego. Najpoważniejszym i bodaj decydującym argumentem było przedstawienie Świętemu, że

dobro, dokonane w Châtillon, z konieczności musiało być bardzo ograniczonem, że założywszy stowarzyszenie miłosierdzia, nie mógł już nic zgoła więcej stworzyć, a że przeciwnie wróciwszy do Gondich, wspomagany ich protekcją i ich majątkiem, mógłby rozłoczyć i pomnożyć dzieła miłosierdzia, o których marzył i to nie tylko wśród siedmiu czy ośmiu tysięcy ludzi od nich zależnych, lecz i w Paryżu i daleko po za nim. I było to oczywistą prawdą; św. Wincenty rozmiłowany w ideale swego życia, modlił się gorąco, udał się do Lyonu zasięgnąć rady ojca Bence oratoryanina i skończyło się na doręczeniu p. du Fresno dwóch listów: do jenerała i do jego żony z zawiadomieniem o przyszłej podróży swojej do Paryża i o zamiarze zdania się we wszystkim na o. de Berulle.

Nie będziemy mówili o smutku głębokim mieszkańców Châtillon'u, gdy się dowiedzieli że, utracą swego proboszcza. Było to powtórzenie pożegnalnych scen w Clichy. Na pierwszą wieść o odjeździe wypowiedzianą z ambony wybuchły łkania „Tracimy ojca naszego, tracimy wszystko”, wołano. Ruchomości swoje, odzienie, małe swoje zapasy żywności, wszystko tegoż wieczora porozdawał ukochanym swoim ubogim, z którymi rozstawać się było mu najciężej. Bogatsi odkupywali od nich najmniejsze pamiątki, a jeden z nich Julian Caron musiał wytrzymać rodzaj oblężenia, aby zachować przy sobie stary kapeluszy Świętego.

W dzień odjazdu cała parafia była na drodze. Gdzie się tylko ukazał nasz Święty, wszyscy padali na kolana, wołając: „Votre benediction!” (błogosławieństwa twego). Święty sam, tonąc w łzach, błogosławił ich. Po pięćdziesięciu prawie latach starcy, świadkowie tej sceny, lub ich dzieci i wnuki pod przysięgą oświadczały wobec prawdopodobnej kanonizacyi, że byłoby niemożliwem wyliczyć wszystko, co w tak krótkim czasie (pięć miesięcy) uczynił św. Wincenty i że im samym trudno było uwierzyć temu, gdyby nie byli widzieli tego lub nie słyszeli o tem. A mają pamięć jego w takim poszanowaniu, że nie mówią o nim inaczej jak o Świętym. Wierzą oni, iż to samo, co uczynił w Châtillon, już by było wystarczającym, by go kanonizować, i nie wątpią też wcale, że kanonizacya nastąpi.

Św. Wincenty przybył do Paryża 23 Grudnia 1617; tegoż wieczora widział się z o. de Berulle a nazajutrz w wigilię Bożego Narodzenia wrócił do rodziny Gondich, aby ich już nie

opuścić przez ośm lat, gdy już pięćdziesięcioletni, zupełnie dojrzały po tak długiem przygotowywaniu przystąpił do wykonania największych dzieł swoich.

Pierwszym czynem ze strony pani de Gondi, wśród radości z powrotu Św. Wincentego à Paulo, było zmuszenie go do obietnicy, że nie opuści już jej i że będzie ją sam dysponował na śmierć, której bliskość przeczuwa. Niektórzy historycy myśleli, że po powrocie do domu Gondich św. Wincenty à Paulo nie był już obarczony wychowaniem trzech chłopców; lecz to domniemanie nie opiera się na żadnych dowodach. Pan de Gondi nastawał tak na powrót ks. Wincentego jedynie po to „by on i dzieci, pod wpływem jego stali się dobrymi ludźmi”. Możliwem jest, że przydano mu jakiegoś duchownego czy pobożnego świeckiego, aby, zachowując w zupełności swój nadzór nad wychowaniem, mógł jednak z całą swobodą oddawać się dziełom miłosierdzia, które coraz żarliwiej umiłował.

Ów powtórny pobyt św. Wincentego à Paulo wśród ubogich, skończył się istotnie pozyskaniem serca jego dla nich i stał się wyraźnym drogowskazem na dalsze jego życie. Châtillon było dla niego objawieniem. Tam otrzymał światło, którego jeszcze nie miał w Clichy; to, co się uczyniło w ubogiej i malej parafii w Bresse, czemu by nie miało być dokonaniem wszędzie? Czemu by nie spróbować przynajmniej tego w trzydziestu wioskach, zależących od Gondi'ch? Misye dla oświecania umysłów ubogich i Miłosierdzie dla opatrywania ich ran, oto o czem on marzył. Temu poświęcić postanowił wszystkie dane mu od Boga siły i całe życie swoje. Pani de Gondi słuchała tego rozradowana. Ona tak szczęśliwą się czuła, odzyskując swego światobliwego kierownika, a jeszcze bardziej uszczęśliwiał ją widok jego jeszcze większej światobliwości, jego gorącej miłości ku ubogiej ludzkości wiejskiej, którą i ona tak miłowała! Ofiarowała się mu pomagać swymi wpływami, swymi pieniędzmi a nawet i osobą swoją w powoływaniu do życia dzieł Miłosierdzia. Św. Wincenty à Paulo, opierając się na takiej pomocy przystąpił niezwłocznie do dzieła i w ciągu dwóch czy trzech lat założył je w około trzydziestu wioskach, leżących na ziemiach należących do Gondi'ch, po odprawieniu misyj, na których sam zwykle przemawiał. Przy zakładaniu bractw Miłosierdzia Pani de Gondi pierwsza zwykle dawała swój podpis, a przykład jej pociągał wszystkich. A nie ograniczała się do stawiania na

czele tych bractw, lecz przed przybyciem misjonarzy zjeżdżała do wsi, nawiedzała ubogich i chorych, pobudzała mieszkańców do korzystania z misyi. Widok tej wielkiej damy tak młodej, tak delikatnego zdrowia, tak majątnej, spokrewnionej z wieloma kardynałami, dającej tak piękny przykład pobożności i miłosierdzia, wyciskał łzy u obecnych.

Nie była ona jedyną; towarzyszyły jej w usłudze ubogim i w troskliwości o chorych i inne a między niemi, siostra rodzona jej męża, Małgorzata de Gondi, margrabina de Meignelais, która w dwudziestym roku życia swego została wdową po bohaterskim margrabim de Meignelais, którego ogromnie kochała, a którego książę de Mayenne zdradziecko zamordował, podejrzewając, że był on zupełnie oddanym Henrykowi IV. Wkrótce potem margrabina, straciwszy i jedynego syna swojego, oddała się całkowicie Bogu i uczynkom miłosiernym. „Młoda ta kobieta, piękna, dowcipna, zachwycająca, porzuciła swoje szaty z jedwabów, a przywdziała wełnę koloru szarego lub fioletowego, welon, okrywający większą część głowy i bardzo prosty kołnierzyk; krzyż Ś-go Franciszka zastąpił kosztowny krzyż brylantowy”. Z domu swego usunęła wszelki przepych, wykwent i wszystko, co było zbytkiem. „Pozbyła się wszystkich okazałych powozów, używanych zwykle przez niewiasty jej stanu”, które otaczane były tłumem dworzan i paziów, koniuszych, oraz wielką ilością koni i mułów. Zostawiła jedną tylko karoce, którą kazała obić grubą wełną. I tej chciała się pozbyć, lecz zgodziła się na pozostawienie jej, bo dano jej do zrozumienia, „że nie będzie mogła bez tego odwiedzać więźniów chorych w Hôtel-Dieu”. „Sprzedała swoje naczynia złote i srebrne, pierścienie, brylanty i wszystko co było najkosztowniejsze, nie zachowała nawet ani jednego zwierciadła”¹⁾ Najbardziej opuszczeni ubodzy najdroższymi jej byli, przede wszystkim zaś więźniowie, których kajdany całowała i skazani na śmierć, którym asystowała z niezrównaną czułością.

Pobożność i boleść unosiły ją o wiele dalej; ukryłaby się była pod suknią siermiężną córek św. Franciszka, gdyby nie opór wuja jej kardynała de Gondi i spowiednika ojca de Berulle a nawet papieża Pawła V, którzy nie sądzili, by osoba taka, po-

¹⁾ Chantelauze, 151—152.

siadająca tak ogromną na owe czasy fortunę 350 tysięcy lirów dochodu (co dziś wynosiłoby przynajmniej milion), i zużywająca ją całą na dobre uczynki, nie miała więcej sprawić dobrego, żyjąc wśród świata, niż gdyby się zamknęła w klasztorze. Papież więc zabronił jej wstąpienia do zakonu. Podała się ona temu postanowieniu, lecz aby to sobie wynagrodzić oddała się całą z duszą i ciałem dziełom miłosierdzia. Godna to była bratowa p-ni de Gondi, a obie były przedziwnymi pomocnicami ś. Wincentego à Paulo w wielkich dziełach, które on powoływał do życia.

Nie posiadamy szczegółów o trzydziestu bractwach Miłosierdzia, założonych w pierwszej chwili szczerego zapału, zaledwie jak drobny promień światła, zebrać się da cztery czy pięć przykładów. Pierwszy co do czasu, to fundacya w Villepreux w jednej z wiosek u stóp zamku Gondi'ch. Aprobowaną była w 1616 przez pierwszego kardynała de Retz, wuja pani de Gondi, i otrzymała prawdopodobnie ten sam regulamin, co i bractwo Miłosierdzia w Châtillon. Fundacya w Joigny ustanowiona została w tym samym roku, lecz z większą solennością. Joigny, to główna posiadłość Gondi'ch, z wspaniałym zamkiem, od którego rodzina brała swój tytuł i co roku w jesieni Gondi'owie spędzali tam dwa lub trzy miesiące. Św. Wincenty à Paulo korzystał z pobytu tego, prowadząc w tem małym mieście misję, mającą ogromne powodzenie i po ukończeniu jej fundował bractwo Miłosierdzia. Pani de Gondi napisała sama do Arcybiskupa w Sens, prosząc o potrzebne upoważnienie i 6 września 1618, na zgromadzeniu w kaplicy św. Antoniego, w otoczeniu najpoważniejszych dam z miasta, w obecności hrabiego, syna swego, wójta, prokuratora i wielu innych mieszkańców, przedstawiła proboszczowi pismo potwierdzające Arcybiskupa i pierwsza podpisała protokół erekcyjny bractwa Miłosierdzia i wszystkich pociągnęła przykładem swoim. Św. Wincenty à Paulo zwrócił się ku niej z kilku słowami przemowy i podał jej regulamin, składający się z piętnastu punktów; wyciąg ze statutow Châtillon i Villepreux.¹⁾

¹⁾ Biuletyn towarzystwa nauk historycznych w P'Jonne (rok 1860): „Épisodes de la vie de saint Vincent de Paul à Joigny”, par M. Quatin.

We dwa miesiące potem pan i pani de Gondi przenieśli się do zamku swego w Montmirail. Św. Wincenty à Paulo [korzysta z tego i funduje trzecie bractwo Miłosierdzia (listopad 1618). I tu też pani Gondi czyni usilne starania u biskupa w Soissons, prosząc go „o ustanowienie konfraterni w Montmirail i innych miejscowościach do niej należących w tej dyecezyi i poruczenie rzeczonej instysuryi mistrzowi (maître) Wincentemu à Paulo, kapłanowi, bakałarzowi teologii, swemu kapelanowi.” Posiadamy przyznaną aprobatę prałata, lecz nie zostały jeszcze odnalezione reguły, nakreślone przez naszego Świętego.¹⁾

Następnego 1620 roku rodzina Gondi'ch była w Folleville, dyecezyi Amiens i tam też powstaje wnet bractwo Miłosierdzia, za aprobatą miejscowego biskupa. Pani de Gondi jak zwykle pierwsza podpisała się na liście służebnic ubogich. W tym właśnie peryodzie fundacyi bractw Miłosierdzia powstaje śmiała i bardzo szczęśliwa inowacya. Dotąd nasz Święty tylko niewiasty chrześcijańskie wprowadzał do posługi ubogich; w Folleville, niewiadomo przy jakiej okazji, przyszła mu myśl wprowadzenia do tego i mężczyzn. Myśl niebezpieczna szczególnie na wsi; lecz pan de Gondi, jenerał galer królewskich i pan całej okolicy pierwszy zapisał się i wszystkich pociągnął swoim przykładem. Posiadamy ustawę tego pierwszego stowarzyszenia mężczyzn w dziele Miłosierdzia, aprobowaną 23 października 1620, przez biskupa z Amiens. Jest to pierwowzór wielu innych ustaw, odnalezionych potem. Zarysy ogólne są prawie te same, co i dla zgromadzeń żeńskich. Nazwa ta sama: służebników ubogich; i patron ten sam: Pan Nasz Jezus Chrystus, który tak bardzo miłował ubogich; i cel ten sam: „spełnienie wielkiego pragnienia Jego, abyśmy wzajemnie jedni drugich tak miłowali, jak On nas umiłował”. Mężczyźni mają mieć staranie o ubogich zdrowych, o dzieciach, o młodzieży i o starcach; troska o chorych pozostawioną została kobietom, jako mającym czulszą rękę w obchodzeniu się z cierpiącymi.

Stowarzyszeniu temu daje Św. Wincenty i zarząd podobny do stowarzyszeń żeńskich. Służebnicy ubogich wybierają z pośród siebie trzech, co dwa lata w drugi dzień Zielonych Świątek: najpierw Prezydującego na zgromadzeniach z mianem

¹⁾ Archives de l'hôpital de Montmirail.

komandora; potem skarbnika, którego obowiązkiem jest pilnowanie funduszków małego stowarzyszenia przechowywanych w skrzyni o dwóch kluczach; z tych jeden znajdować się ma u niego, drugi u komandora. Skrzynia ta otwierana być może nie inaczej, jak w obecności proboszcza. Nakoniec trzeci wybierany jest wizytatorem i ma obowiązek bywać w mieście i odszukiwać ubogich nieśmiałych (wstydzących się żebrać), a także wdowy, sieroty, więźniów i podawać o nich do wiadomości stowarzyszonych, którzy będą ich odwiedzać i udzielać im pomocy.

Św. Wincenty à Paulo tak był uszczęśliwiony z tego nowego stowarzyszenia, że pośpieszył założyć go w Joigny, gdzie już było stowarzyszenie dam. Pan de Gondi, hrabia de Joigny wziął na siebie inicjatywę, prosił i otrzymał potrzebną aprobatę Arcybiskupa, w której zarazem dano upoważnienie „dla tej sprawy Panu (sieur) Wincentemu à Paulo, kapłanowi, bakałarzowi teologii i kapelanowi Pana (seigneur) hrabiego”. Hrabia Gondi w dzień ustanowienia 30 maja 1621 roku pierwszy podpisał przyjęcie statutow, a po nim i za jego przykładem podpisali się jego oficerowie, urzędnicy miejscy, adwokaci, mieszcianie (bourgeois) i wszyscy znakomitsi mieszkańcy Joigny. Po nich św. Wincenty à Paulo wpisał kilka słów własnych. Droгоценny ten autograf przechowuje się w mieście Joigny.¹⁾

Wprowadzenie mężczyzn do posługi ubogim chociaż było rzeczą bardzo szczęśliwą i śmiałą, nie było jednak zupełną nowością. Było to tylko zastosowanie ustaw stowarzyszenia dam do użytku mężczyzn. Lecz wchodząc na tę drogę, organizatorski geniusz Św. Wincentego à Paulo uczynił krok naprzód. Zaprawiając damy do posługi ubogich, wymagał tylko starań około chorych i niesienia ulgi ich cierpieniom; wprowadzając mężczyzn, pragnął osiągnąć dalsze rezultaty. Troszczyć się o chorych, to bardzo dobrze; lecz czy nie możnaby było zupełnie usunąć żebractwa: ubóstwa jako następstwo — dzieciństwa, które jeszcze nie może pracować, starości która już nie może, chorób które odbierają siły do pracy i wielu innych przypadków paraliżujących członków społeczeństwa? Wiele bardzo potrzeba starania około nich wszystkich! Ale czyż niema ubo-

¹⁾ Quantin. Épisode, str. 38.

gich, którzyby mogli pracować, a nie pracują, leniwych, wołających żebractwo, próżniaków przynoszących hańbę i niebezpieczeństwo społeczeństwu? Czy ich też żywić należy? Czy datek im udzielony nie staje się zachętą do występku, czy nie jest z ujmą prawdziwych ubogich? W dobrze zorganizowanym społeczeństwie zawsze znajdują się ubodzy; lecz nie powinno być żebraków. Ubodzy powinni być wspomagani, lecz żebracy nie mogą być tolerowani. Oto co przewidywał geniusz Św. Wincentego à Paulo na dwa wieki przed naszymi filantropami nowoczesnymi i w tym punkcie przeprowadził nad wyraz mądre rozgraniczenie. Wszystkich ubogich dzielił na trzy kategorie: 1-o ci, którzy nie mogą zarabiać na życie (dzieci, starcy, kalecy, chorzy); tym stowarzyszenie powinno dawać *wszystko* to, co do życia potrzebne. 2-o ci, którzy pracując, mogą zarobić zaledwie na połowę swych potrzeb; tym trzeba dać drugą połowę. 3-o Nakoniec tym, którzy zarobić mogą zaledwie na czwartą część potrzeb, stowarzyszenie powinno dać brakujące trzy czwarte części. Poza temi trzema kategoriami, są już tylko ludzie zdrowi i silni, którzy mogą i powinni zarabiać na życie przez pracę. Jeżeli nie czynią tego, jeżeli obstają przy żebractwie, to należy ich odrzucać i odmawiać im wszelkiej pomocy. Co do nich nie należy się kłopotować w szukaniu interwencji odnośnych władz administracyjno-sądowych.

Posłuchajmy co on o tem mówi: „Stowarzyszenie Miłosierdzia ustanowione będzie dla pomocy materyjalnej i duchowej ubogim miasta i wsi wymienionej. Duchowa pomoc polega na udzielaniu nauki i pobożności chrześcijańskiej; pomoc materyjalna na dawaniu zarobku tym, którzy mogą pracować i na udzielaniu środków do życia nie mogącym zarabiać. Przez to wypełniamy przykazanie dane od Boga w piętnastym rozdziale Deuteronomium ¹⁾, „abyśmy wcale nie mieli między sobą ubogich żebrających”. Po zrobionym obrachunku ubogich i ilości pomocy w stosunku do ich istotnych potrzeb, „czyni się ubogim zakaz zebrania, pod karą cofnięcia przeznaczonych jałmużny, a mieszkańcom zakaz dawania im”.

Co zaś do przechodniów, to na ich korzyść wytworzył św. Wincenty à Paulo to, co dziś się nazywa przytułkiem noc-

legowym (*hospitalité de nuit*). Przechodniów przyjmuje się, daje się im wieczerza, nocleg i doręcza rano dwa sous i rozkaz dalszej drogi.

Na przedsięwzięcie tak wielkiej pracy wspomagania ubogich w miarę ich nędzy, a także dla wykorzenia żebractwa, potrzebne były środki odpowiednie. Św. Wincenty à Paulo mało się tem zajmował, ustanawiając stowarzyszenia dam; te łatwo znajdują pieniądze potrzebne. Trudniej jest mężczyznom; a nadto dzieło samo w sobie było trudniejszym. Oto więc o czem on marzył: gdy stowarzyszenie będzie założone w małym mieście, we wsi, lub całej okolicy składającej się z rolników, chciał wówczas, aby stowarzyszenie takie posiadało stado owiec, baranów, krów i cieląt, któreby mogły się pasać wspólnie z miejscowymi stadami. Każdy członek stowarzyszenia otrzymywałby jedną czy dwie sztuki tych bydła w swoim chlewie i żywiłby ich z miłosierdzia. „Mieć należy, powiada on w jednym ze statutow swoich, owce, rozdzielane między stowarzyszonych dla żywienia ich bezpłatnie na korzyść rzeczonoego stowarzyszenia, jedni mniej, drudzy więcej, stosownie do możliwości, a potomstwo tych owiec będzie sprzedawane corocznie około Św. Jana przez wizytatora; pieniądze stąd pozyskane zostaną oddane skarbnikowi, w obecności komandora i rektora. Owce naznaczone będą znakiem stowarzyszenia i odnawiane co pięć lat”. Poznajemy tu pastuszkę z okolicy Dax.

W mieście tego źródła dochodu być nie może, więc św. Wincenty à Paulo obmyśla inne. Rękodziela i rzemiosła tak dobrze zorganizowane, że wszyscy mogą zarabiać na życie, nawet dzieci i rekonwalescenci, a tem bardziej młodzież i ludzie dorośli. Posłuchajmy tego zdrowego rozsądku, połączonego z najtkliwszym miłosierdziem: „Wszyscy ubodzy, to albo małe dzieci od 4 do 8 lat, albo chłopcy od 8 do 15 lub nawet 20 lat, albo ludzie dorośli, lecz słabi, albo też starcy; wszyscy oni zarobić mogą zaledwie część jakąś tego co do życia potrzebne; wreszcie ci starcy, którzy wcale pracować nie mogą. Małym, słabym i starcom dawać się będzie to, co im do życia potrzebne na tydzień; tym co część tylko zapracować mogą, stowarzyszenie da część brakującą; a młodym chłopcom da się do rąk jakieś małe rzemiosło, jak tkactwo, co kosztować może zaledwie trzy czy cztery écus (9—12 franków), na każdego ucznia; lub wprowi się go do jakiejś łatwej roboty ręcznej, choćby ro-

¹⁾ Et omnis indigens et mendicus non erit inter vos. (Deut. XV 4).

bienia pończoch wełnianych. Wszystkich tych chłopców zbierze się do czystego, najętego domu, gdzie będą pracować i żywić się pod kierunkiem duchownego i dozorem odpowiedniego majstra, stosownie do ustawy niniejszej”.

Pod naczelnym kierunkiem zarządu stowarzyszenia, będzie właściwie dwóch przełożonych przedsięwzięcia: duchowny i majster-rzemieślnik. Obowiązkiem duchownego będzie nauczanie uczniów i wszystkich innych ubogich zasad nauki i pobożności chrześcijańskiej, w święta w kościele po nieszporych, a we środy i piątki w warsztatach w godzinę po południu, na co przeznaczy się co najmniej 1 godzina. On też prowadzić ma rzeczonych uczniów w porządku, parami na Mszę Świętą i na nieszpory co niedziela i święta, a także na nieszpory w sobotę i w wigilię większych świąt; jego obowiązkiem jest spowiadanie i rozdawanie komunii tak rzeczonym uczniom, jako też i innym ubogim, dostającym jałmużnę w każdą pierwszą niedzielę miesiąca i w święta uroczyste, jako też asystowanie przy obiedzie i wieczerzy uczniów. Nie wolno mu ani wydalać, ani przyjmować ubogich do rzeczonego warsztatu bez zgody zarządu stowarzyszenia Miłosierdzia.

„Obowiązkiem majstra-rzemieślnika będzie nauczanie rzemiosła te dzieci, które przysłane będą do warsztatu przez uczestników Miłosierdzia i nie wolno mu ani przyjmować, ani z jakiegobądź powodu wydalać z warsztatu uczniów inaczej, jak na rozkaz tychże uczestników, do których należy główne kierownictwo warsztatu”.

A wszystko to robić się będzie za darmo. Jedyne akt wdzięczności, jakiego wymaga św. Winc. à Paulo, jest nowym objawem jego miłosierdzia. „Ubodzy uczniowie z ojcami i matkami swymi zobowiążą się słowem i przysięgą, że sami nauczać będą nabytego rzemiosła ubogie dzieci, które po nich wejdą w zakres opieki stowarzyszenia i gdy otrzymają na to rozkaz członków zarządu Miłosierdzia, z tem, że owi uczniowie za udzielaną przez nich naukę, żywieni będą przez stowarzyszenie”.

Następnie św. Winc. à Paulo kreśli regulamin dzienny tego warsztatu chrześcijańskiego, gdzie ubogie dzieci będą wychowywane bez zbytku, lecz posilnie, nie materyalizowane, jak w nowoczesnych warsztatach. „Ubodzy wstawać będą o godzinie 4-ej rano, mają być ubrani o w pół do piątej, modlić się do 5-ej, pracować do dzwonka na pierwszą Mszę

św., na którą idą i z której wracają parami. Śniadanie dostaną o godzinie 8-ej, obiad o 12-ej, zachowując się przytem w ciichości przy czytaniu. Podwieczorek o wpół do czwartej, a wieczerza o 7-ej. Rekreacja do trzech kwadransy na ósmą, potem pacierz i rachunek sumienia i spoczynek o godz. 8-ej.”

Widzimy w tem główne zarysy tego regulaminu: wstawanie o godz. 4; posiłek cztery razy, a zresztą modlitwa połączona z pracą. „Tym sposobem powiada św. Winc. à Paulo, ubodzy nauczą się bojaźni Bożej i sposobu zarabiania na życie, a otoczeni będą troskliwością o ich istotne potrzeby; miasta zaś uwolnione zostaną od tłumu występnych próżniaków”.

Nie zawsze możliwem było znaleźć środki na potrzeby takich instytucyj; św. Winc. à P. gromadził je tysiącnymi sposobami. Tu przez stałe zapomogi, o które upraszał biskupów, kanoników, proboszczów, panów okolicznych i ludzi bogatych; tam przez kwestę w kościele i po domach; gdzie indziej znów przez zawieszanie skarbonek przy drzwiach i bramach domów zajezdnych; niekiedy nawet przez pewne grzywny, które władze miejscowe (merowie i rady miejskie) zgadzały się mu przysądzać i przez pewne opłaty za prawo wejścia, czy wjazdu do miasta, które urzędnicy miejscy zostawiali na jego korzyść. Wiele z tych urządzeń czy zwyczajów dotąd istnieje; ale któż dziś pamięta o tem, że inicjatywa ich zawdzięcza się św. Wincentemu à Paulo?

Wież o tych nowych urządzeniach doszła do Burgundii, gdzie bezowocnie rozprawiano nad trudnościami powstałymi skutkiem zwiększania się liczby ubogich od czasów wojen religijnych. Miasta przepełnione były nimi. Nie znajdowano innych środków dla zaradzenia złemu nad zakładanie zamkniętych szpitali, dokąd ubodzy nie chcieli wchodzić, a policja zbyt słabą była, aby ich tam zatrzymać. Wychodzili z nich z podniesionym głosem, a często z orężem w rękę, wzbudzając trwogę wśród mieszkańców. Wśród takich właśnie trudności rozeszła się wieść, że pewien kapłan, kapelan pana generała galer wynalazł nowe sposoby (formes nouvelles), które już wprowadził w życie w wielu miastach, usuwając tym sposobem oplakane stosunki. Czy to w tym celu proszono o przybycie św. Wincetego, czy też on sam z własnego popędu w drodze z Paryża do Marsylii zatrzymał się w jednym z tych miast, — faktem jest, że w 1623 roku odbył podróż do Burgundii i pozostawał tam przez

czas dość długi. Do tego czasu zdaje się odnoszą się ustanowienia bractw Miłosierdzia w Bourg, Trevaux, Macon, Châlon i w innych sąsiednich miastach. Głęboki cień niepewności pokrywał dotąd te różne fundacje, aż do roku 1848, gdy w archiwach prokuratury w Macon odnaleziono wyciąg z księgi sekretaryalnej (livre secretarial) za rok 1623, zawierający protokół (procès verbal) zgromadzenia, które miało miejsce w tem mieście, z powodu pobytu św. Wincentego. Zbyt ciekawy to protokół, abyśmy nie mieli go tu przytoczyć.

Wszystkie klasy społeczeństwa reprezentowane są na tem zgromadzeniu: jenerałny namiestnik, królewski sędzia miasta, namiestnik kryminalny, prokurator królewski, urzędnicy miejscy, proboszczowie i dziekani, prezydenci trybunału, adwokaci królewscy i wielu innych dygnitarzy, mieszczan i kupców. Pierwszy głos zabrał mer miasta. „Zaznacza on, że przedmiotem zebrania jest opieka nad ubogimi, według rozkazu Bożego; dzieło miłosierdzia, które może być dokonaniem nowymi sposobami, a przez które uniknie się natręstwa ubogich około kościołów i u drzwi domów, gdzie bezkrytycznie otrzymują jałmużnę, co staje się przyczyną, że nawet zdrowi i zdolni nie chcą pracować. Przed kilku laty chciano temu zapobiedz przez urządzenie zamkniętego szpitala ¹⁾, lecz ubodzy nie chcieli tam przychodzić; a że w obecnym czasie ukazał się zakonnik, kapełan pana jenerała galer, który, przejęty pobożnością i nabożeństwem, przedłożył nowe formy, przez które wspomaga się i zaopatruje w żywność ubogich tak w Trévoux, jako też w innych sąsiednich miastach, więc dla dobra miasta należy korzystać z tej sposobności.

„Wtedy namiestnik jenerałny zabrał głos i powiedział, że propozycja ta powinna być z radością przyjęta, jako zbożna i godna zalecenia, i że jeżeli można urządzić bractwo Miłosierdzia, co zdaje się być łatwem, to uniknie się natręstwa ubogich, mając pewność, iż gdy każdy z mieszkańców z dobrej woli da cośkolwiek, będzie to o wiele więcej, niż to, co daje się im przy kościele i u drzwi domów; że trzeba ich nauczać, dać im poznać bojaźń z miłości pochodzącą, katechizować ich i przyprowadzać do komunii św. i że do tego wszystkiego nie potrzeba żadnych budynków, gdzie zresztą nie można ich trzymać w zamknię-

ciu, a trzeba tylko zrobić wybór osób uzdolnionych, które zatroszczą się o zebranie dobrowolnych datków i rozdawać je będą wedle najlepiej ułożonego regulaminu.

„Powstał następnie dziekan kościoła św. Wincentego i powiedział, że jest to największą pociechą, gdy się widzi urzeczywistnienie tego, czego pobożność i nabożeństwo nieboszczyka P. de Macon (M-gr Gaspard Dinet) tak pożyły. Zauważcie, że ubodzy tak bardzo poleceni są w Ewangeli; że chociaż jeszcze następcą się co do tego trudności, to jednak wierzyć trzeba, iż Bóg wszystko ułatwi, ponieważ chodzi tu nie tylko o pożywienie cielesne ubogich, lecz także o pokarm duchowy.

„P. Chandon, były namiestnik kryminalny dodaje, iż nie ma nikogo, któryby nie tylko godził się, lecz nie uchwylił się skwapliwie tego, co tutaj zalecone zostało; a ponieważ chodzi o miłosierdzie i o służbę Bożą, więc wszystko będzie możliwe.

„Prokurator królewski ze swej strony powiedział, że sprawa jest zbożną i podniosłą, iż ubolewa, że zgromadzenie nie jest tak liczne, jakby było pożądanem. Nie znalazłoby się nikogo, któryby się nie zgodził i nie obłożył dobrowolnym datkiem, mając na względzie naukę, jaką odbierać będą ubodzy w modlitwie i służbie Bożej, jako też w rękodzielnach, do których będą użyli.

„Wszyscy następnie mówili w tymże duchu; poczem, aby dojść do tak pięknego i chwały godnego miłosierdzia, za wspólną zgodą postanowiono, że każda warstwa społeczeństwa zamianuje delegatów i że tym sposobem wytworzy się komisya do wynalezienia dróg i sposobów wykonania tego, co przed chwilą zdecydowane zostało. Co też nazajutrz zrobiono.”¹⁾

¹⁾ Drogocenny ten dokument, dotąd nie wydany, opublikowany został przez Henryka Betault w pięknej „Histoire de l'association des dames de la Misericorde de Chalon-sur-Saône”, str. 9. Bada on najpierw początki dzieła pań Miłosierdzia i sądzi że można przypisać je św. Winc. à Paulo; następnie podaje historję tego stowarzyszenia aż do naszych czasów, notując prezydentki, radczynie i dobrodziejki ubogich od trzechset lat. Wszystkie rodziny z Châlon znajdują tam zaszczytne wspomnienie o dobrodziejstwach przez nie spełnionych. Pożądanem by było, aby każde miasto miało podobne roczniki, sporządzane z taką ścisłością i inteligencją. To istnieje złota księga Miłosierdzia w Châlon-sur-Saône.

¹⁾ Zapewne schroniska czy przytułki (Przypisek tłumacza).

Widzimy tu dawną Francję w jedności swojej, w swoim wspaniałomyślnym zapale: namiestnik jeneralny, namiestnik kryminalny, proboszczowie, dziekani, urzędnicy miasta, prezydent trybunału, adwokaci królewscy, mieszczenie i kupcy miejscowi wszyscy się jednoczą, aby zająć się sprawami nie tylko doczesnymi, lecz i duchownymi potrzebami ubogich, słusznie sądząc, że im uczciwsi i bardziej chrześcijańskimi będą ubodzy, tem spokojniejsze będzie miasto.

Nie zdaje się, żeby św. Wincenty był obecnym na tem zebraniu, lecz on je wywołał, on je natchnął. We wszystkich tych powyżej przytoczonych przemowach, słyszy się echo słów jego, wszędzie wypowiedzianych. Od dnia następnego, otrzymawszy upoważnienie, bezpośrednio przystąpił do dzieła.

Wedle swego zwyczaju, aby wprowadzić trochę porządku do tego pomieszanego tłumu prawdziwych i fałszywych ubogich, z których jedni istotnie potrzebowali miłosierdzia, a drudzy wyzyskiwali je tylko, rozpoczął on: 1-o od podzielenia ubogich na zdrowych i chorych; 2-o. chorych powierzył pobożnym damom, aby ich nawiedzały i troszczyły się o nich; 3-o zarządził danie roboty ubogim zdrowym; 4-o urządzenie warsztatów dla dzieci; 5-o rozdawanie jałmużny tym, którzy nie mogą pracować. Ci ostatni musieli się zbierać co niedzielę u St. Nizier, słuchać tam Mszy św. i nauki, poczem rozdzielono pomiędzy nich chleb i pieniądze, w miarę ich nędzy i stosownie do ilości ich dzieci. Jednocześnie zabraniano im żebrać pod karą pozbawienia jałmużny, zalecano zaś wiernym, aby nie dawali żebrzącym na ulicach. Uporządkowano w ten sposób miłosierdzie, by usunąć żebractwo. Co do przygodnych ubogich, to ci mieli otrzymywać nocleg i nazajutrz powinni być wyprawiani w dalszą drogę z małą jałmużną. Wszystkie ostrożności powzięto, aby nie podsycać lenistwa zdrowych. Nigdy nie dawano im środków do życia za darmo, lecz po poważnem zbadaniu ich sił dodawano to, czego zarobić nie byli w możności. Iście boski rozum przewodniczył w układzie wszystkich tych ustaw, któreśmy poznali, a których jeszcze nowe zastosowanie ujrzymy niebawem.

Dla pozyskania źródeł dochodu i możności rozporządzania nimi św. Wincenty wytworzył dwa stowarzyszenia miłosierdzia: męskie i żeńskie. Biskup, dziekan kapituły, proboszcz od św. Piotra, namiestnik jeneralny, weszli do pierwszego; wszyst-

kie zaś najdystyngowańsze i najbogatsze damy, do drugiego. W ciągu mniej niż trzech tygodni wszystko już najświetniej funkcjonowało i więcej niż trzystu ubogich znalazło pomieszczenie, pożywienie i utrzymanie. Fundusze Miłosierdzia wytwarzały się ze składek rocznych duchowieństwa i bogatszych mieszkańców, dawanych już to w pieniądzu, już w naturze; z pewnych opłat, przyznanych dziełu temu; z opłat za prawo wstępu do miasta, ustąpionych przez służbę miejską i z kwesty, co niedziela odbywanej przez panny z Macon. Święty Wincenty wyrobił to, że parafia i gmina wspólnie składały datki, aby tym sposobem lepiej można było nieść pomoc, zaprowadzić ład i wychowywać klasy ubogie.

Po dokonaniu tych wszystkich zarządzeń, Święty nasz zniknął. Uchodzi incognito. Tak postąpić musiał, aby uniknąć publicznych uwielbień. Sam o tem mówi w liście do panny le Gras: „Każdy topniał we łzach radości, i urzędnicy miasta takie mi honory czynili przy odejściu, że, nie mogąc znieść tego, zmuszony byłem ujść potajemnie, aby uniknąć pochwał”¹⁾

W ten sposób po siedemnastu latach szukania dróg, nasz Święty znalazł je wreszcie; znalazł siebie samego. Rozpoczął od dwóch instytucyj tak nowych, tak pełnych mądrości i miary, a zarazem tak śmiałych, że po tych dwóch dziełach mistrzowskich można było przewidzieć, czego dokona wielki organizator, gdy się pokusi o większe rzeczy, rozporządzając poważniejszymi środkami.

A jednak ta wspaniała robota, zaledwie rozpoczęta, omal nie została sparaliżowaną i podcięta w rozkwicie przez ządzrosną podejrzliwość władzy. Pomiedzy papierami prezydentury w Beauvais znaleziono projekt dochodzenia (requisition) przeciw Wincentemu à Paulo, aby przeszkodzić mu w dalszem prowadzeniu dobrych jego dzieł. Dokument ten tak jest ciekawy, że musimy go przytoczyć w całości:

Projekt dochodzenia (*de requisitoire*) i rozkazu P. Namiestnika Jeneralnego z Beauvais przeciwko urzędzeniu konfraterni miłosierdzia w Beauvais, jak tego chce P. Wincenty à Paulo, nie będąc do tego upoważnio-

¹⁾ Lettres I, str. 108, № 101.

n y m. Projekt ten znaleziony został w papierach przydualnych.

„Co do tego, co nam przedstawione zostało przez prokuratorów królewskich rzeczonoj stolicy. Wiadomo, że zakazaniem jest przez dekrety królewskie i postanowienia dworu, każdej osobie kierować czy ustanawiać jakiebądź stowarzyszenia lub konfraternie w tem państwie, bez listów patentowych Jego Królewskiej Mości. A jednak przed około piętnastu dniami przybył do miasta tego pewien kapłan z imienia Wincenty, który wbrew powadze królewskiej, nie porozumiawszy się ani z urzędnikami królewskimi, ani z innem ciałem miejskiem w tem zainteresowanem, zgromadził wielką liczbę kobiet, zachęcał je do zawiązania konfraterni, której nadaje specyalne miano (sic) Miłosierdzia (de la Charité), a od której żądał, aby przychodziła z pomocą i obdzielała żywnością i zaspakajała inne potrzeby ubogich chorych rzeczonoj miasta Beauvais, a także co tydzień chodziła po domach z kwesłą dla zebrania pieniędzy w tym celu. Cała ta działalność podjęta przez rzeczonoj Wincentego i tę jego konfraternię, w której zebrało się trzysta, lub koło tego kobiet, aby wykonywać swoje ćwiczenia i czynności wyżej wymienione, nie może i nie powinna być tolerowaną. Ponieważ zakazy zawarte w dekretach i postanowienia każą temu zapobiedz, zostawszy powiadomionymi o powyższem, podajemy do wiadomości P. królewskiemu prokuratorowi jeneralnemu, mamy zaszczyt i t. d...”¹⁾

Sam tytuł dokumentu: „projet de réquisitoire” zdaje się wskazywać, że nie dano dalszego biegu temu projektowi. Gondi'owie tak potężni w Kościele i w państwie prawdopodobnie osłonili skromnego kapłana i przyczynili się do zaniechania prześladowań.

ROZDZIAŁ VI.

Początek dzieła dla galerników.—Św. Wincenty à Paulo przyjmuje kaidany skazańca.—Podróż do kraju rodzinnego 1622—1623.

W przerwach czasu, spędzonego w Montmirail, Joigny, Folleville, Villepreux, św. Wincenty à Paulo przebywał w Paryżu. Rodzina Gondi'ch tam zwykle spędzała zimę w pięknym pałacu swoim (hôtel) przy ulicy Pavée, w parafii Saint-Sauveur. Tam to właśnie w czasie jednego ze swoich pobytów Święty nasz spotkał się z tą najstraszniejszą nędzą, jakiej nie widział dotąd i o jakiej nie miał wyobrażenia, a która do głębi wzruszyła serce jego i wywołała akty najszczytniejszego miłosierdzia.

Widzieliśmy, że p. de Gondi był jenerałem galer; dziś nazywałby się admirałem flot morza Śródziemnego, bo galery nie opuszczały tego morza, tam pełniąc służbę. W wieku XVI i XVII galera nazywał się statek długi, a płaski, mało wznoszący się ponad powierzchnię wody, a dźwigający na sobie załogę (equipage) około czterechset ludzi, uzbrojony pięciu armatami: jedna 36-calowa, dwie 8 i dwie 4-calowe i tuzin małych armatek. Statek poruszało trzysta wiosłarzy, mieścił on stu dwudziestu żołnierzy. Wiosłarzami byli kryminaliści, skazani przez trybunały na tę ciężką robotę; stąd nazwa galernika oznacza skazańca. Byli oni przywiązani łańcuchami do ław galery i po dwóch przykrępowani do jednej kuli; plecy ich były obnażone, a głowa czapką okryta. Dozorca tych więźniów mianowany „comite”, stał poza nimi w pobliżu kapitana, dla otrzymywania jego rozkazów. Dwóch jego pomocników

¹⁾ Feillet: „La misère au temps de la Fronde”, str. 212.

(sous comites) jeden w pośrodku galery, drugi na jej przodzie stali uzbrojeni w bicz, grożące obnażonym plecom wioślarzy. Gdy kapitan dał rozkaz ruszenia na morze, comite daje sygnał srebrną, zawieszoną u szyi świstawką. Pomocnicy comite'a poczynają długimi biczami wymachiwać po obnażonych plecach wioślarzy, jak to czyni woźnica dyliżansu, ciągniętego przez ośm koni. Gdy który z wioślarzy ustaje, kapitan krzyczy, by podwoić razy, gdy mdleje nad wiosłem swoim, (co często się zdarza), biczują go aż się ocknie lub zamrze. W tym ostatnim przypadku rzuca się go do morza bez żadnych ceremonij.

Nie mówiąc już o tem okrutnem traktowaniu, samo skrepowanie łańcuchem czyniło życie skazańca prawdziwem męczeństwem.

Kapitan galery, Barras de la Penne, powiada: „Gdy nieliłościwe morze Libijskie pochwyti galery z płaskich brzegów rzymskich; gdy gwałtowny akwilon rzuci je na pełne morze, a z Lwiej zatoki wypłynie na wilgotny wiatr Syryi, to wszystko się składa na to, by z galery stało się piekło. Ponury lament załogi, straszliwe krzyki majtków, ryczenie przeraźliwe w więzieniu okrętowem, trzask drewnianego szkieletu statku, połączony z brzękiem kajdan i rykiem burzy, wywołują w najbardziej nieustraszonem sercu uczucie największego przerażenia. Deszcz, grad, błyskawice zwykle towarzyszą tym gwałtownym udręczeniom. Morze, okryte strasznymi bałwanami, pomnaża okropność położenia.” Latem palące promienie słońca i boleśne ukąszenia mustików, straszny odór podnoszący się ze wszystkich stron, urozmaicają cierpienia, nie zmniejszając ich wcale. Tak złą jest organizacya tych galer, że i sami oficerowie nie mają schroniska i w większości wypadków nie wiedzą, gdzie się ukryć.

W owym czasie Francya posiadała dwadzieścia galer pod rozkazem p. de Gondi, poruszanych przez sześć tysięcy galerników, przy dwóch tysiącach pięciuset żołnierzy.

Galery te rozmieszczone były w portach Tulonu, Marsylii, Aignes-Mortes i Narbonne, a wypływały z nich celem służby policyjnej na morzu Śródziemnem, uganiania się za korsarzami tureckimi, ochraniając miasta i wioski pobrażne. Lecz fortyfikacye, osłaniające w XVI i XVII wiekach najmniejsze siedliska ludzkie na brzegu morskim, dostate-

cznie wskazują, że owe dwadzieścia galer zaledwie wystarczyć mogły. P. de Gondi corocznie przepływał z Marsylii do Tulonu w otoczeniu ośmiu, dziesięciu, lub dwunastu dobrze uzbrojonych galer, zwiedzał wszystkie porty i najskrytsze przystanki, łowiąc i zatapiając pochwycone statki korsarskie. Dotąd mieliśmy nie wiele szczegółowych wiadomości o tych wyprawach p. de Gondi, lecz świeżo odnalezione, niektóre niewydane dotąd, dokumenta, wykazują, jaką on czynność rozwijał i ile odwagi ujawniał w tych właśnie latach 1620, 1621, 1622. Przytoczymy tylko, że w r. 1620 widzimy, jak z siedmiu dobrze uzbrojonymi galerami wypływa na morze Śródziemne, odkrywa wkrótce około Oranu dwa okręty korsarskie, które ostrzeliwa tak gwałtownie, powiada *Mercure français*, że te musiały się poddać. Znalezione na nich czterdziestu chrześcian, przykutych do ław i stu pięćdziesięciu uzbrojonych Turków, których uprowadzono w niewolę.¹⁾ W kilka dni potem galery p. de Gondi odkrywają duży okręt, na którym był sławny korsarz algierski, Soliman Rais, z czterdziestu armatami i dwustu żołnierzami. Gondi goni go żwawo w ciągu dwóch dni, aż ten nie mogąc ujść, a bojąc się wpaść żywcem w ręce chrześcijan, ratuje się na łódce żaglowej, paląc przedtem amunicyę i wysadzając w powietrze sam okręt. Ku końcowi września tegoż roku 1620 p. de Gondi wraca do Marsylii z temiz siedmiu galerami nietkniętymi, przyprowadzając z sobą cztery okręty algierskie, wzięte do niewoli, po spaleniu piątego i zatopieniu szóstego.²⁾

Nie mniej świetną była kampania 1621; lecz te obie przeżyły kampania 1622. Gondi otrzymał rozkaz królewski przepłynięcia cieśniny Gibraltarską i stawienia się z całą eskadrą do pomocy flocie francuskiej, dążącej do atakowania La Rochelle, która wystawiła pięćdziesiąt sześć okrętów i przy ich pomocy panowała nad oceanem, zbierając tam wciąż znaczne łupy. Nie będziemy opowiadać tej kampanii. Powiemy tylko, że p. de Gondi dokazywał tam cudów męstwa i zręczności; że ze swymi lekkimi statkami tak dobrze zaczepiał i niepokoił ciężkie okręty nieprzyjaciela i tylu kulami je podziurawił, iż we-

1). *Mercure français* (1620). VI. 470.

2). Chantelauze. „S. Vinc. de Paul et les Gondi”, 139.

dług świadectwa admirała de Guise przyczynił się do powodzenia tej wyprawy więcej, niż ktokolwiek bądź inny i zyskał sławę jednego z najbardziej nieustraszonych marynarzy francuskich.¹⁾

Wśród podobnych okoliczności, podczas długiej nieobecności p. de Gondi, wystawionego na takie niebezpieczeństwa, o czym mogła być mowa w domu wśród rodziny Gondi'ch? Mówiono o jenerale, okrywającym się chwałą, mówiono o żołnierzach umierających przy jego boku, mówiono o nieszczęsnych galernikach, którzy oprócz grozy kul i uderzenia, znosić musieli tak straszne poniżenie. Czy serce czule pani de Gondi mogło nie wzruszać się ich losem? Czyż serce św. Winc. mogło nie odczuwać tego? Przed wyprawieniem do Tulonu i Marsylii galernicy przez czas dłuższy lub krótszy zatrzymywani byli w Paryżu, gdzie już zostawali pod rozkazami zwierzchnimi jenerała galer. Św. Wincenty prosił, aby go zaprowadzono do ich więzienia. W wieku XVII nie znano czułości dla skazańców. Zamykano ich do więzień ciemnych, wilgotnych, niezdrowych; przymocowywano żelaznymi pasami do ściany. Za całe pożywienie mieli chleb czarny i wodę. Długiej nieraz ich choroby nie raczono zauważyć, a robactwo lub gangrena często opanowywała ich rany, wydając odór nieznośny. Widok musiał być straszny, skoro św. Wincenty cofnął się przerażony z oczami łez pełnemi.

Pospieszył do p. de Gondi, będącego wówczas w Paryżu i w żywych barwach przedstawił mu opuszczenie, w którym pozostawali ci nieszczęśliwi tak co do ciała, jako też i co do duszy. A jednak należeli do jenerała, on więc powinien być odpowiedzialnym za nich przed Bogiem. Filip-Emmanuel był człowiekiem prawym i dobrym. Oświadczył swoją gotowość uczynienia wszystkiego, co było w jego mocy; lecz nie widział sposobu zaradzenia złemu, które zdawało się nieuniknionem. Więc św. Wincenty pomyślał o tem; przedłożył plan prosty i praktyczny, który wnet został przyjęty. Dano pozwolenie, aby mógł przebywać wśród skazańców, dodając im odwagi obecnością swoją, pocieszając ich swoją pobożnością, podnosząc ich serca ku Bogu i ucząc ich nosić dźwigane

¹⁾ *Mercure français* (1620) VI. 470; Niewydane listy, Wilhelma de Montolieu, adresowane do syna 4 listop. 1622.

kajdany w duchu pokuty. Najwstrętniejsze choroby, najzaraźliwsze epidemie nie mogły go odstraszyć. W towarzystwie gotowych do poświęcenia młodych kapłanów jak Belin, kapelana Gondi'ch w Villepreux; o. Portail, pierwszego ucznia swego w dziele Misyj, miłosierdzie swoje posuwał do bohaterstwa. A takie zaszły zmiany wśród tych galerników, wczoraj jeszcze zakutych w kajdany, ziejących bluznierstwami, iż można było swobodnie przeprowadzić ich do obszernego szpitala, kupionego i zaopatrzonego w potrzebne sprzęty przez św. Wincentego, przy ulicy Saint-Honoré, w pobliżu świętego Rocha, ku czemu przyłożyli się M-gr de Gondi, biskup Paryski, bratowa jego, p. de Gondi, margrabina de Meignelais i inne wielkie damy stolicy. Wszyscy ci przychodzili też nawiedzać tych nieszczęśliwych nędzarzy. Przy dworze wiele mówiono o cudach, dokonanych przez skromnego księżynę. Król zażądał dokładnych o tem wiadomości z ust pana de Gondi i tak był zdumiony pobożnością, gorliwością i bohaterskim oddaniem się naszego Świętego, że, chcąc dać mu możność rozszerzenia tej cudownej działalności na całe królestwo, wytworzył nowy urząd jeneralnego królewskiego jałmużnika wszystkich galer Francyi.

Oto osnowa patentu królewskiego: „W dniu dzisiejszym 8-go lutego 1619 r. król, będąc w Paryżu wysłuchał, co pan (sieur) hrabia de Joigny, jenerał galer Francyi przedstawił Jego Król. Mości, że byłoby pożądanem dla dobra i pomocy skazańców, będących obecnie i tych, którzy potem znajdą się na galerach, uczynić wybór jakiej osoby duchownej, znanej z prawości i uzdolnień i nadać jej urząd jałmużnika (kapelana) królewskiego, który mieć będzie nadzór i zwierzchność nad wszystkimi innymi kapelanami rzeczonych galer. Jego Król. Mość, mając współczucie dla onych skazańców i pragnąc, aby odnieśli duchowną korzyść ze swej cielesnej kary, zgodził się i nadał powyższą godność jałmużnika królewskiego księdzu Wincentemu à Paulo, kapłanowi, bakałarzowi teologii, na świadectwo dane przez rzeczzonego pana (sieur) de Joigny o jego dobrych obyczajach, pobożności i nieskazitelności życia, aby otrzymał i wykonywał rzeczony urząd z gażą roczną sześciuset liwrów i z tymi samymi honorami i prawami, z jakich korzystają inni oficerowie marynarki Levantu. Jego Król. Mość, chce, aby rzeczony de Paul w charakterze jałmużnika miał odtąd nadzór i zwierzchność nad wszystkimi innymi jał-

mużnikami galer i aby w tym charakterze pomieszczony i zaliczony był do składu onych galer w moc niniejszego patentu, który Jego Królewska Mość podpisać raczył swoją ręką i mnie, radcy Rady Stanu i sekretarzowi rozkazów Jego kontrasygnować rozkazał. (Podpisano): *Ludwik* (i poniżej) *Philippe-aux*". Dnia 12 lutego naczelny kapelan złożył przysięgę wobec M-gra hrabiego de Joigny, namiestnika jeneralnego Jego Król. Mości na morzach Lewantu.

Opatrzony tym patentem, dającym wolny wstęp i powagę we wszystkich więzieniach skazańców, św. Wincenty postanowił zwiedzić je wszystkie. Zaczął od Marsylijskich, najznacześniejszych i najwstrętniejszych ze wszystkich, gdzie spotykali się weterani występku, zatwardziali kryminaliści. Spełniał tam cuda pokory, słodczy, oddania się. Tam to, jak powiadają, miał miejsce jeden z czynów najniezwyklejszych nie tylko w życiu św. Wincentego à Paulo, lecz i w życiu wszystkich innych Świętych; wzruszony rozpaczą młodego skazańca, raptownie oderwanego od żony i dzieci, przyjmuje jego kajdany i dobrowolnie staje w zastępstwie jego. Jakkolwiek czyn wydaje się nadzwyczajnym, nie ulega jednak wątpliwości. Wszyscy historycy poświadczają go i Kościół stwierdza go w uroczystem dochodzeniu swoim. Lecz pokora Świętego przedsięwzięła wszelkie ostrożności, aby ukryć ten fakt przed oczami wszystkich, wskutek czego niepodobna przytoczyć okoliczności i dokładnie określić czasu, w którym miał miejsce.

Posłuchajmy najpierw świadków, przesłuchiwanym przez Kościół w procesie kanonizacyjnym.

Znajdujemy wyciąg (resumé) tej sprawy w specjalnym dokumencie, przedstawionym Papieżowi przez podpromotora wiary, Jana Zuccherini. Świadkowie, wszystko osoby godne szacunku, opowiadają, że słyszenia tylko, gdyż w sto lat po wypadku, niemożliwym było mieć naocznych świadków, lecz ich zeznania stanowcze i dokładne pochodzą oczywiście ze źródeł pewnych i wykluczają wszelkie wątpliwości.¹⁾

¹⁾ Pierwszem jest świadectwo jednego z kapłanów Misyonarzy, przełożonego seminaryum w Tulle, nazwiskiem Cusset, który po powołaniu się na czyny bohaterskie św. Pawła z Nobi, wyraził się w ten sposób: „Upewniano mnie, że pewna uboga niewiasta, której syn zo-

W każdym razie najwyższym dowodem bezwzględnie niezaprzeczalnym jest świadectwo samego św. Wincentego. Jeden z kapłanów zapytał go, czy rzeczywiście zajmował on był kiedyś miejsce skazańca i czy nie stąd pochodzą nadbrzmienia nóg jego. Gdyby to nie było prawdą, co można przypuścić, że odpowiedziałby człowiek tak głęboko pokorny? Bez wątpienia, jak Jan Chrzciciel, zawołałby: *Et confessus est, et non negavit, quia non sum ego Christus*. Zamiast więc z energią powiedzieć: nie, to nieprawda, nigdy nie przyjmowałem kajdan galernika, Wincenty poprzestawał na dobrotliwym uśmiechu i zmianie przedmiotu rozmowy. To też Papież Klemens XII w bulli kanonizacyjnej nie zawahał się zaznaczyć prawdziwości faktu: „Opowiadają, że Wincenty à Paulo, za przykładem św. Rajmunda Nonne, przyjął kajdany; że widząc jednego z towarzyszy niewoli strasznie obciążonego ciężarem kajdan, a niczem innem nie mogąc dopomódz cierpieniom okropnym

stał skazany i uprowadzony na galery za zbrodnię, mylnie mu przypisywaną, żałła się przed Świętym na nieszczęście swoje i ś. Wincenty, nie wiedząc, jak ją pocieszyć i wrócić jej syna, w nadzwyczajnem poruszeniu miłosierdzia i współczucia, poszedł zająć miejsce młodzieńca.

Inny kapłan misyonarz, René Thiercelin, w wieku lat 76 mówi: „że niejaki pan (sieur) Bernière, skarbnik Francji, mieszkający w Caen, cieszący się sławą świętobliwości, namawiając go do wejścia do tej kongregacji, między innymi pochwałami, wygłaszanymi o Wincentym à Paulo, opowiadał mu, że zajął on był miejsce pewnego nieszczęśliwca, skazanego na galery, aby przywrócić mu wolność.

Brat, symlicyanin, Mikołaj Caperon, zakonnik z 'a Merci, 84 lat, zeznał, że mieszkając ze Świętym w domu Saint-Lazare, „słyszał, jak mówiono, iż słabość, jaką cierpiał w nogach ś. Wincenty, była spowodowaną nadzwyczajnem miłosierdziem, które zniewoliło go do zajęcia miejsca pewnego galernika.”

Filip-Ignacy Bucher, kapłan z diecezji Arras, w wieku lat 74, w zeznaniu swoim, dodaje okoliczność następującą, o której wie od pewnego kapłana misyonarza: „Przechodząc pewnego dnia po brzegu morskim, sługa Boży spotyka ubogą niewiastę, tonącą we łzach; po zapytaniu jej, dowiaduje się, że syn jej skazanym był na galery. Wtedy ś. Wincenty poszedł zająć miejsce jego.”

Dokument, z którego to przytaczamy („Memoriale cum restrictu probationum”), cytuje jeszcze dobrze znane świadectwo Abelly'ego.

tego nieszczęśliwego, oddał się sam w więzy służebnictwa, aby go wykupić z niewoli, ceną własnego ciała."

Lecz chociaż fakt jest niezaprzeczony, to jednak nieznanymi są dokładnie ani czas, ani miejsce, kiedy i gdzie był dokonany. Abelly, opowiadając o nim we cztery zaledwie lata po śmierci Świętego, nie mówi o nim przy podróży do Marsylii; a bez daty podaje go w rozdziale o cnotach.¹⁾ Collet, najdokładniejszy z historyków Wincentego à Paulo, mieści ten fakt w Marsylii 1622 roku; tylko domyśla się, że Święty, aby lepiej wszystko poznać, przybył był do Marsylii incognito, co nie wyklucza pewnych trudności.²⁾ Inni opierając się na tem, co mówiono, że Wincenty cierpiał na obrzęk nóg w ciągu 45 lat, z powodu kajdan więziennych, — odnoszą sam fakt do roku 1615. Był wówczas już od dwóch lat w rodzinie Gondi'ch i nie byłaby wykluczoną podróż jego do Marsylii w roku 1615, może z jenerałem galer, a ten czyn nadzwyczajnego miłosierdzia mógł mieć miejsce po odpłynięciu jenerała na morze. Lecz w historii niema żadnego śladu tej podróży. Nareszcie bulla kanonizacyjna wspomina o wyzwoleniu „jednego z towarzyszków niewoli”, co zdawałoby się odsyłać ten fakt do czasów, gdy był w niewoli w Barbaryi. Lecz tam był wciąż w niewoli, nie na wolności a więc trudno przypuścić dobrowolne pozbycie się własnej wolności na korzyść drugiego, skoro sam jej nie posiadał. Należy więc wrócić do daty wskazanej przez Collet'a t. j. do roku 1622. Żaden poważny zarzut przytem się nie nastrecza, wszystko zdaje się składać na wielkie prawdopodobieństwo a nawet prawie na pewno. Istotnie w roku 1622 król Ludwik XIII wyjechał z Paryża 20 marca na zakończenie świetnej kampanii z 1621 r., prowadzonej przeciw protestantom. W Nantes siadł na statek dla zbadania stanu floty, składającej się ze wszystkich statków, sprowadzonych z Normandii i Bretanii, z pomocą której miał walczyć przeciwko protestantom w la Rochelle. Znajdując flotę tę za słabą, nieliczną i źle wyekwipowaną, powziął myśl sprowadzenia na pomoc galer z morza Śródziemnego przez cieśninę Gibraltarską. Dotąd nigdy nic podobnego nie przedsiębrano. Była to kwestya poważna, czy lekkie statki odpowiednie będą na oceanie

¹⁾ Abelly, III, IX.

²⁾ Collet II, 101.

i czy będą mogły zmierzyć się z wielkimi okrętami nieprzyjaciela. Na rozkaz królewski p. de Gondi udał się bezpośrednio do Marsylii, dla osobistego czuwania nad ostatniem uzbrojeniem galer i objęcia nad nimi dowództwa. Wziął ze sobą starszego syna swego, Piotra, mając na względzie zamiar ustąpienia z czasem na jego korzyść tytułu jenerała galer, i chcąc, przy tej sposobności, aby pierwsze wojenne kroki syna w niebezpiecznej kampanii odbyły się pod jego okiem. Św. Wincenty był z nimi w Marsylii, uważając to za dobrą sposobność rozpoczęcia swych wizytacyj galer, jako jeneralny jałmużnik. Po skończeniu niezbędnych przygotowań p. de Gondi z synem wypłynęli na morze, prowadząc ze sobą dziesięć galer o tysiącu dwóchset żołnierzach, przy trzech tysiącach wiosłarzy galerników. Zostawiali w Marsylii i Tulonie tylko tyle czasu, ile trzeba było na uzbrojenie i utrzymanie w gotowości statków do połączenia się na dany sygnał z innymi galerami. Nic więc nie przeszkadza domyślać się, że czyn nadzwyczajny św. Wincentego, o którym mowa, mógł mieć miejsce w przeciągu tych sześciu miesięcy czasu, kiedy p. de Gondi przebywał Gibraltarcie i bił się około la Roshelle. Uzbrojono jeszcze drugie dziesięć galer, pozostałe w porcie, a badający historię wiedzą, z jakimi trudnościami walczyć musiano, aby zgromadzić potrzebną ilość skazańców do wiosłowania. Potępiające wyroki trybunałów nie wystarczały, brano więc więźniów z wszelkich innych więzień. Urzędy miały rozkaz zamieniać większe kary pieniężne na kilkumiesięczną służbę na galerach. Wśród tych okoliczności pociągnięto młodego człowieka, bez wątpienia winnego, lecz któryby w innych czasach nie był odesłany do galer. Widząc płacz i łkanie skazańca, tem więcej, że musiał opuścić żonę i dzieci i zostawiał ich w nędzy, św. Wincenty wzruszył się litością. Ale czyż trzeba było koniecznie przyjąć na siebie kajdany jego?

Abelly powiada, że był on wzruszonym tak wielkiem współczuciem dla strasznej nędzy, na jaką skazaną została cała rodzina, że postanowił „szukać i użyć wszystkich sposobów, aby im dopomódz”. To wymagało czasu i nie szło tak łatwo. Nie znajdując innych sposobów, mówi dalej Abelly, litościwe serce Świętego i jego gotowość do poświęcenia siebie popchnęły go do kroku tak niesłychanego, jak podstawienie siebie na miejsce tego biednego człowieka, aby,

wyprowadzając go z niewoli, wrócić stroskanej rodzinie. Jak wziął się św. Wincenty à Paulo do wykonania tego czynu, tego nie wiemy. Abelly powiada dalej: „Trzeba było rozwinąć całą zręczność i przemyślność, jakie tylko miłosierdzie wynaleźć potrafi.” Na czym polegała ta zręczność,— nie wiemy. Co mu mogło przeszkadzać ukryć swoje nazwisko, a nawet zrzucić sutannę? Spędzał on uprzednio czas na dziesięciu galerach przed odpłynięciem ich z p. de Gondi. Czy był równie znanym i na tych innych dziesięciu, które teraz uzbrajano? Czy nie mógł tu ukryć nazwiska swego i swojej godności? Czy nie można sądzić, iż pewna niespodzianka mogła go spotkać ze strony jednego z oficerów? A gdyby nawet prawdą było, że oficer okazywał wątpliwości, to bywają przecie czyny tak wzniosłe, iż wobec nich jest się obezwładnionym i bezbronnym. Właściwym jest wielkiemu czynowi, że widok jego przeobraża tych, którzy na nich patrzą w podziwie, w pewnego rodzaju współników. A czyż może być podnieślejszy widok nad to, gdy się widzi człowieka, poświęcającego siebie na ofiarę w zastępstwie drugiego? Widok kapłana dobrowolnie stającego się skazańcem przez miłosierdzie! Wobec takiego zjawiska nadziemskiego nie prowadzi się badania, odwraca się, by nie patrzeć i nie stawia się przeszkód.

Zresztą ta niewola nie trwała długo. Prędko poznano Świętego a i ten wówczas śpiesznie opuścił Marsylię, by przez skromność ukryć swój postępek cnotliwy, jak inni starają się ukryć swoje występki.

W czasie powrotu Wincentego do rodziny Gondi'ch wielkie nieszczęścia napelniały żałobą ten dom, dotąd tak świetny i tak szczęśliwy. 13 sierpnia 1622 umarł kardynał Henryk de Gondi, arcybiskup paryski, pierwszy minister Ludwika XIII-go. Asystował on królowi przez cały czas kampanii 1621—1622 r., jako prezes Rady a będąc przy królu w czasie oblężenia Béziers, zapadł „w gorączkę obozową” (fièvre d'armée). Miał zaledwie pięćdziesiąt lat wieku. Był to człowiek bogobojny i łagodny a w życiu jego trudno nie widzieć bezpośredniego wpływu św. Wincentego. „Mianowany na biskupstwo jako dwudziestoczteroletni młodzieniec, posiadacz ogromnej fortuny, zostawszy kardynałem i pierwszym ministrem, bogactw swoich

i wpływów używał na zakładanie nowych lub rozwój wielu istniejących zakładów religijnych.¹⁾

Św. Wincenty musiał głęboko odczuć tę stratę. Na szczęście nastąpił po nim rodzony brat jego, Jan Franciszek de Gondi, przedtem kapucyn, potem dziekan z Notre-Dame de Paris. Umysł dość pospolity, charakter trochę słaby, wahający się pomiędzy przeciwnymi sobie stronnictwami; lecz usprawiedliwia go wobec potomności wielka gorliwość w popieraniu dzieł ś. Wincentego — Missyonarzy i użycie całej władzy swojej i całego swego wpływu na założenie dwóch seminariów: św. Mikołaja-du-Chardonnet i św. Łazarza. Zaczynano pojmować, dlaczego Bóg wyrwał ś. Wincentego z małych parafij Clichy i Châtillon, a dwukrotnie umieścił go, rzec można wbrew jego chęci, wśród rodziny Gondi'ch.

Lecz o wiele straszniejsza boleść nad tą spadła na panią Gondi. Drugi jej syn, Henryk de Gondi, synowiec zmarłego kardynała, zachwycającej piękności młodzian, podobny do matki, zmarł niespodziewanie. Ośmioletni, jechał konno na polowaniu dworskiem, koń się potknął i zrzucił go pod siebie, a gdy się ten zaczął wydobywać z pod konia, ów wierzgnął i uderzeniem kopyta roztrzaskał mu głowę. Trupa już przyniesiono do matki. Św. Wincenty był przy niej, i trzeba bardzo żałować, że nie doszło nas żadne szczegółowsze sprawozdanie ani o boleści takiej matki, ani o pociesze, jaką podawał taki kapłan. Wiadomo tylko, że stratę tę opłakiwała aż do śmierci, którą prawdopodobnie ta boleść przyspieszyła.

W miesiąc zaledwie po stracie drogiego syna, następuje wielki niepokój o syna starszego, Piotra. Ten, towarzysząc ojcu w kampanii przeciw La Rochelle, wykazywał męstwo; właściwe jego wiekowi i jego rodowi; na wyspie Reé (w pobliżu La Rochelle) ubito pod nim konia i wystrzałem z muszketu strzaskano mu ramię. Bez wątpienia radość ze spełnionego obowiązku, honor rodziny Gondi'ch, duma matki, słyszanej o bohaterstwie syna, musiały nieco złagodzić boleść p. de Gondi; lecz w jakim też stanie ujrzy swego pierworodzonego syna? Tak niedawno szła za trumną Henryka, czy nie będzie musiała wkrótce i tego pochować? A jeżeli i nie umrze

¹⁾ Patrz wyżej str. 51.

z tak ciężkiej rany, to czy nie zostanie kaleką na całe życie? Długie dni spędziła w dręczącym utrapieniu i niepewności i nie przeżyłaby ich, gdyby św. Wincenty nie był przy tem, nie pocieszał jej, nie podnosił jej męstwa. Nakoniec wrócił p. de Gondi, przywożąc ze sobą drogiego rannego, jeszcze bladego i osłabionego, lecz już przychodzącego do zupełnego zdrowia, uratowanego od niebezpieczeństwa życia i kalectwa.

Wskutek tych wszystkich wypadków w zimie z r. 1622 na 1623 rok pan i pani de Gondi tak bogobojni, tak pełni żywej wiary, powzięli postanowienie, którego następstwa były szkodliwe dla Kościoła. Jak się to stało, że św. Wincenty przy powadze, jaką posiadał w tej rodzinie, przy swojej świętobliwości, nie zdołał odwrócić tego nieszczęścia? Zabity syn Henryk de Gondi przeznaczonym był na służbę Kościołowi. Już chłopcem będąc, marzył, a rodzina jeszcze więcej, o purpurze kardynalskiej dla niego. Po śmierci młodzieńca rodzina marzenia swoje przenosi na trzeciego syna, Franciszka-Pawła, przeznaczonego przedtem do stanu rycerskiego. Trudno wyobrazić sobie człowieka mniej usposobionego do stanu kapłańskiego. Ale czyż łatwo było wyrzec się marzenia o arcybiskupstwie paryskim, o purpurze kardynalskiej, o pierwszym miejscu, zajmowanem w Kościele przez Gondich od ośmdziesięciu lat? Nie obwiniajmy nad miarę Filipa-Emmuela i bogobojnej małżonki jego; ona wkrótce umarła najświętobliwiej, on po śmierci żony rzuca ogromną swoją fortunę, wspaniałe godności i tytuły, by zostać zwykłym zakonnikiem-oratoryaninem, ukrytym w skromnej celi klasztornej. Obwiniajmy raczej ducha czasu. ¹⁾

Gdy Gondi'owie ochłonęli nieco po opowiedzianych przed chwilą nieszczęściach, św. Wincenty powziął zamiar, o którym wiele myślał od roku, mianowicie: wytworzenie misyi na wszystkich galerach, zostających w zależności od p. de Gondi. Galery te przebywały zwykle na morzu Śródziemnem (było bowiem regułą zarządu marynarki, że ocean dla okrętów, a morze Śródziemne dla galer) ²⁾, jednak w wyjątkowych wypadkach wypływały i one na ocean, gdzie, jak widzieliśmy, wyżej stanowiły

znaczną pomoc do zniszczenia floty protestantów. Teraz, gdy nastał pokój, po zapewnionem zwycięstwie, galery te zmuszone były zimować w portach oceanu. ¹⁾ Zdawało się, iż nadeszła chwila, aby dla tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy przez męstwo swoje zrehabilitowali się wobec ziemi i doczesności, urządzić rekolekcyje i dać im sposobność usprawiedliwienia się wobec nieba i wieczności. Św. Wincenty zwrócił się do kardynała de Sourdis, arcybiskupa w Bordeaux, człowieka bogobojnego i gorliwego, pędzącego swój żywot na wzór św. Karola Boromeusza, wystawionego na oszczerstwa ze strony protestantów, lecz tem bardziej wielkiego. Dał on do rozporządzenia naszemu Świętemu dwudziestu zakonników, których ten po dwóch przeznaczył na każdą galere, zachowując sobie kierownictwo misyi. Przechodził on z jednej galery na drugą, wzruszając do głębi tych nieszczęśliwych słowem swoim prostem, pokornym, a dziwnie czulem, i osiągnął nadzwyczajne powodzenie. Pewien turek, uparty w swoim zaślepieniu, wreszcie uległ potędze słowa jego i aż do końca życia swego pozostał najwierniejszym towarzyszem Świętego, oddanym mu we wszelkich przygodach.

Misya ta trwała prawie przez cały miesiąc i zyskała wielki rozgłos. Przyciągnęła też do Bordeaux niektórych z przyjaciół naszego Świętego z lat jego dziecinnych, którzy zaklinali go, by nie wracał do Paryża, nie odwiedzwszy rodziny swojej. Był tak blisko, zaledwie kilka mil francuskich. Od dwudziestu dwóch lat nie widział matki swojej; nie znał swych siostrzanów. Czy nadarzy się kiedy podobna okazja? Św. Wincenty dał się wzruszyć i podążył do Pouy. Tam był ochrzczony, tam przyjął pierwszą komunię; tam pod tymi wielkimi dębami, na brzegu stawu upłynęło pobożne dzieciństwo jego. Stary proboszcz, który błogosławił przyjście jego na świat, spoczywał już pod krzyżem na cmentarzu, lecz zastąpił go krewny i przyjaciel ś. Wincentego świętobliwy kapłan Dominik Dussin. U niego zamieszkał nasz Święty. Pierwszym czynem jego przed Mszą św. w kościele, gdzie go ochrzczono, było głośne odnowienie obietnic na chrzcie uczynionych i publiczne upokorzenie się w wyznaniu niegodnego dotąd ich spełniania.

¹⁾ Patrz str. 55.

²⁾ Littre, ob. wyraz galère.

¹⁾ Galery P. de Gondi popłynęły na zimę do Tonnay-Charente (*Mercure français*). Okręg Rochefort-sur-Mer, departament Charente-Inferieur, 3208 mieszkańców.

Dla uczczenia go dobry proboszcz codziennie zapraszał na obiad po kilku z jego krewnych, lub też sąsiednich proboszczów. Zauważono, że nasz Święty nigdy nie pił wina inaczej, jak dobrze rozcieńczywszy je przedtem wodą; a wieczorem, kładąc się spać, wyciągał przedtem z siennika ile mógł słomy aby spać prawie na ziemi. (Widziałem sam, jak coś podobnego robił proboszcz z Ars). W czasie dzieciństwa ś. Wincentego kaplica Najśw. Panny w Buglose była w ruinie; statua zatopiona w stawie; teraz od trzech lat ks. Dominik Dussin odnalazł statwę, odbudował kaplicę i wznowił pielgrzymki. Św. Wincenty zdecydował się w tem sanctuarium zebrać wszystkich krewnych swoich i tam pożegnać się z nimi. Wszyscy się przygotowali do solennej pielgrzymki. Św. Wincenty szedł boso w towarzystwie krewnych swoich, a za nimi kroczył znaczny tłum ludzi. Z wielką pobożnością odprawił Mszę św. i przemówił z gorącą wiarą i miłością. Po Mszy przy skromnym stole zasiedli wszyscy najbliżsi jego sercu. Po skończonym obiedzie podniósł się, zabierając się do pożegnania. Instynktownie wszyscy padli na kolana, prosząc o błogosławieństwo. „O! tak, rzekł on z wielkiem wzruszeniem, błogosławie was; lecz błogosławie ja pokorny i ubogi i błagam Boga o łaskę świętego ubóstwa dla was. Nie wychodźcie ze stanu, w którym On chciał, byćście się urodzili. To jest moje obecne dla was zalecenie, które, proszę was, abyście przeleli jako dziedzictwo dzieciom waszym. Żegnam was na zawsze!” To powiedziawszy, oddalił się.

Dotąd ś. Wincenty mężnie wstrzymywał się od łez, lecz skoro został sam na drodze, łzy popłynęły obficie. Gdy się zwrócił jeszcze w stronę ubogiej wioszciny rodzinnej, serce jego stopniało. Myślał o ubogich krewnych swoich, których zostawiał w nędzy prawie; z niewielkim wysiłkiem ze swej strony mógł im przyjść z pomocą materyalną, więc doświadczył pewnego rodzaju wyrzutów. „Spędziwszy ośm czy dziesięć dni z krewnymi swoimi, aby pouczyć ich o drogach zbawienia, a odciągnąć od pożądania dóbr doczesnych, posuwając się aż do wypowiedzenia, by niczego pod tym względem nie oczekiwali ode mnie, że gdybym nawet posiadał pełne skrzynie złota i srebra, to jednak nie bym im nie dał, bo duchowny, jeżeli co posiada, to winien oddawać Bogu i ubogim, w dzień odejścia, czułem tyle boleści z powodu opuszczania biednych krewnych moich, że przez całą drogę płakałem tylko i płą-

kałem nieustannie.” Wśród tego płaczu jednak, dobry nasz Święty nie zmienił postanowienia swego. Zamiast zostawiania swych krewnych w ubóstwie, łatwoby mu było przyjść im z pomocą! Czemuby nie miał tego uczynić?

Posłuchajmy, co mówi dalej: „Po tych łzach nastąpiła myśl, aby przyjść im z pomocą materyalną, aby poprawić ich byt; rozrzucone serce moje i podniecony umysł dzieliły wśród nich wszystko, co miałem i czego nie miałem nawet. Mówię o tem ku zawstydzeniu mojemu, a mówię dla tego bo może Bóg pozwolił przy tej sposobności poznać doniosłość rady ewangelicznej, o ubóstwie. W ciągu całych trzech miesięcy zostawałem pod wpływem natrętnych myśli o poprawieniu bytu braci i sióstr moich; była to ciężka troska, trapiąca umysł mój. W przeciągu tego czasu, gdy się czułem wolniejszym, prosiłem Boga, aby raczył uwolnić mnie od tej pokusy; i tak gorąco prosiłem, że nakoniec zlitował się nademną i usunął ode mnie te nadmierne rozczulanie się nad moimi krewnymi. I gdyby nawet doszli do stanu żebraczego. Bóg dał mi łaskę polecenia ich Jego Opatrzności i uważania ich za szczęśliwszych, niż gdyby mieli dostatki.” Tu widzimy w całej wysokości cnotę kapłańską, która pożąda, by ten kto się na to poświęcił, opuścił ojca, matkę, braci, siostry, i podobny Melchizedechowi, zostawał w zupełnem oderwaniu się od więzów tego świata. Św. Wincenty nigdyby nie zdołał odrodzić kleru, gdyby sam nie dawał mu takich przykładów. I nie trudno mu było teraz podnosić te przykłady na najwyższe szczyty, aby lepiej były zrozumianymi i każdemu rzucały się w oczy. Św. Wincenty wytrwał w tem przez całe życie. Pewnego razu, gdy był w swoim pokoju, odzwrotny oznajmił mu, że źle odziany włościanin, mianując się siostrzanem jego, żąda rozmówić się z nim. Św. Wincenty z początku się zarumienił i prosił jednego ze swoich (towarzyszy zgromadzenia), aby poszedł przyjąć młodego wieśniaka. Lecz wkrótce zawstydził się i wyszedł sam aż na ulicę, gdzie czekał siostrzan jego, czule go uściskał i ująwszy za rękę, wprowadził na dziedziniec kolegium. Potem kazał zebrać wszystkich księży swego zgromadzenia i przedstawiając im onieśmielonego wieśniaka, powiedział: „Panowie, oto najdostojniejszy z mojej rodziny.” A zwracając się do młodzieńca, rzekł: „Siostrzeńce mój, ukłoń się tym Panom.” I przez dzień cały w po-

dobny sposób przedstawiał go, jakby wielkiego pana, wciąż w tym skromnym wieśniaczym ubiorze, wszystkim dostojnikom i damom, które przychodziły go odwiedzić. Lecz wyrzuty z powodu fałszywego wstydu w sercu pozostały. Czuł więc potrzebę pozbyć się tego ciężaru przy pierwszych rekolekcyach, jakie odbywał ze swoimi. „Panowie i bracia moi, mówił publicznie, módlcie się za pewnego pyszałka, który chciał sekretnie wprowadzić do siebie siostrzana swego; ponieważ ten był włościaninem i źle odzianym.” Co zaś do tego siostrzana, to ten musiał pieszo, jak przybył, wracać do domu, otrzymawszy dziesięć tylko écus wsparcia na długą drogę. A i tę skromną sumkę św. Wincenty otrzymał od margrabiny de Meignelais; jedyna jałmużna, o jaką kiedykolwiek prosił dla rodziny swojej.¹⁾

W ten sam sposób traktował innych krewnych swoich, odbierając im ochotę przybywania do Paryża. „Myślicie, mówił raz, że ja nie kocham krewnych moich? O! zaiste tak, ja kocham ich; lecz należy posłusznym być łasce, a nie naturze, i w pierwszym rzędzie stawiać ubogich, najbardziej opuszczonych”. Innym razem, gdy mówiono mu o krewnym jego, który skutkiem wojny, musiał żyć z jałmużny, powiedział: „Oto jest stan biednych moich krewnych: z jałmużny, z jałmużny. I ja sam, gdyby Bóg nie dał był mi łaski kapłaństwa, musiałbym żyć też z jałmużny. Ale cóż robić? Dobra zgromadzenia nie należą do mnie i dawałbym zły przykład, gdybym chciał dowolnie rozporządzać się niemi.” I całe pół stulecia miało przed oczami widok taki człowieka, zaszczycanego zaufaniem króla, królowej, książąt Kościoła, największych panów w kraju, przez którego ręce przechodziły ogromne sumy, rozporządzającego milionami dla wspierania całych prowincyj, a nie odrywającego ani grosza na korzyść biednych krewnych swoich, uprawiających ziemię i niekiedy doprowadzonych do ostatniej nędzy, z powodu nieszczęśliwych czasów. To też mógł głośno odzywać się i mówić do kapłanów: Zaprzyjcie się wszystkiego, jako słudzy tego, który dla was zaparł się siebie do najwyższego stopnia.

ROZDZIAŁ VII.

Fundacya dzieła Misyj. — Śmierć hrabiny de Gondi. — Mąż jej Filip-Emmanuel wstępuje do Oratoryanów. — Św. Wincenty à Paulo usuwa się do kollegium des Bons-Enfants. — Po pięćdziesięciu latach przygotowania gotów do przedsięwzięcia wielkich dzieł swoich. 1624—1625.

We dwa lata po tej podróży, po tych rekolekcyach, odbytych ze skazańcami, po próbie ewangelizacyi wśród ubogich w Châtillon-les-Dombes i in., założona została Kongregacya kapłanów Misyjonarzy dla wiosek (*la Congregation des prêtres de la Mission pour les campagnes*). Stowarzyszenie to, rozpowszechnione teraz po świecie całym, powołane wyłącznie do ewangelizacyi wiosek, założone zostało, powiedzieć można, przez jedną kobietę, czego nie zaprzeczyłby mi św. Wincenty. Trzeba było zręczności i delikatnych zabiegów, by doprowadzić go do stanięcia na jej czele. Anielska pani de Gondi była pierwszą założycielką Kongregacyi Misyjonarzy.

Posiadała ona serce iście kapłańskie i apostolskie. Idea, powzięta wśród obszarów jej posiadłości z siedmiu czy ośmiu tysiącami ludzi ciemnych, przygnębionych pracą około ziemi, zapominających nieraz o sprawie zbawienia, dręczyła ją we dnie i w nocy. Jak ich nawrócić? Jak podnieść ich ku niebu? Marzyła ona o misjach, któreby co pięć lat odnawiać się mogły w każdej wiosce. Zgromadzała na to fundusz, złożyła już szesnaście tysięcy liwrów, to jest prawie pięćdziesiąt tysięcy franków, lecz gdzie znaleźć kapłanów, którzyby podjęli się tej skromnej posługi duchownej? Zwróciła się początkowo

¹⁾ Maynard I, 16.

do Jezuitów; ci odmówili. Myślała następnie o Oratoryanach; lecz zgromadzenie to zaledwie rozpoczęło działalność swoją i cała ich uwaga zwróconą była na kollegia. Próbowwała kołatać do wielu innych zgromadzeń duchownych, lecz wszędzie spotykała się z niepowodzeniem. Wśród tylu bezowocnych zabiegów przyszła jej nowa myśl: poco szukać daleko? Czyż nie miała pod ręką wszystkiego, co tylko pożądać mogła? Czyż nie z najlepszym powodzeniem pracował św. Wincenty na misjach w Folleville, Villepreux, w Montmirail? Czyż nie zainteresował był tam świątobliwych kapłanów, nawet doktorów Sorbonny, pragnących wyrwać się z nieużytecznego życia tylu kapłanów, a przystąpić do pracy nad zbawieniem dusz? Wszystko to było dorywczem, czasowem; czyżby nie było sposobu uczynić to stałem? Prawda, że na to trzeba kapłanów ze szczególnem poświęceniem, którzyby się wyrzekli nauczania i kazania po miastach. Gdy się ma wokoło swojej kazalnicy piękne koło intelligencji miejskiej, to trudno się nagiąć i przyzwyczaić do prostaczego audytoryum wiejskiego; trzeba więc było kapłanów, którzyby byli gotowi wyrzec się wszelkich ambicij ludzkich, bo inaczej trudno się oddać duchowej posłudze ubogich wieśniaków. Po nich niewiele czego można się spodziewać, a bardzo często, gdy kto się nimi zajmie, już przez to samo zyskuje opinię, że niezdolnym jest zająć się czem innem. Nie wyobrażajmy sobie, że w tej posłudze duchownej wśród wsi, wystarcza miernota; tu właśnie trzeba ludzi o wiele więcej odznaczających się, niż zdolnych do przemawiania do ludzi zamożnych i oświeconych; trzeba tu i powagi i pokory zarazem, trzeba ubóstwa i zaparcia się wszystkiego! Wielka dusza pani de Gondi ważyła to wszystko i byłaby zrozpaczoną, gdyby nie mogła rachować na św. Wincentego à Paulo, pokorniejszego, niż ktobądź inny, gotowego do poświęcenia się, tak uzdolnionego do przekonywania innych i udzielania im tego świętego ognia, który go pożerał.

Zajęta tym projektem, mówiła o nim często z panem de Gondi. Filip-Emmanuel nie doszedł był jeszcze wtedy do tego stopnia cnoty, na jakim zobaczymy go później, jednak, jak i wielu ludzi ze świata ówczesnego, kwestye miłosierdzia i dobroczynności zajmowały go bardzo. Nie tylko pochwalał zamiary bogobojnej i świątobliwej małżonki swojej, lecz chciał im współdziałać. Do złożonych przez nią szesnastu tysięcy

liwów dołożył resztę do stu tysięcy franków.¹⁾ Z tem już można było rozpocząć, pod warunkiem posiadania domu, na któryby nie trzeba było z tej sumy wydawać. Pani de Gondi udała się z tem do Jana-Franciszka de Gondi, arcybiskupa paryskiego, zapytując, czyby pomiędzy podlegającymi mu zakładami nie znalazło się takiego, któryby mógł posłużyć za centrum i rdzeń mającej powstać kongregacyi. Jakoż istotnie w pobliżu bramy św. Wiktora było stare kollegium des Bons-Enfants, którego przełożony Ludwik de Tuyard świeżo usunął się; arcybiskup paryski mógł właśnie niem dysponować. Nie można było zrobić z tego lepszego użytku, nad oddanie zakładu tego do rozporządzenia św. Wincentego. To byłoby jądrem kongregacyi, z której korzystać będzie mogła cała jego dyecezya.

W ten sposób wszystko się składało pomyślnie dla powstania kongregacyi. Był dom na pomieszczenie i gotowe środki na utrzymanie; było więc ciało, trzeba tylko tchnąć w nie duszę; duszą tą był Wincenty à P. Lecz jak go skłonić do przyjęcia na siebie tego brzemienia? Troje fundatorów: pani de Gondi, mąż jej Filip-Emmanuel i blizki ich krewny, arcybiskup paryski, połączyli razem usiłowania swoje, by tego dokonać. We troje może łatwiej przełamać pokorę jego. Pokora ta była ogromna, lecz w danym razie miłosierdzie zwyciężyło. Chodziło tu przecież o tych drogich mu ubogich; tu będzie mógł także się im poświęcić; nie go odrywać nie będzie; będzie mógł dokoła siebie zebrać, zgrupować świątobliwych kapłanów i nimi się zająć.

Jak niegdyś św. Jan Chrzciciel, spotkawszy Pana Naszego, w uniesieniu radości zawołał: *In hoc ergo gaudium meum impletum est*, tak też przyjął to św. Wincenty. Do urzeczywistnienia tego projektu zabrał się z taką żarliwością, że aż powstawały w nim pewne skrupuły. Tak był tem wciąż zajęty i zachwycony, że aż się obawiał, by nie obrazić Boga. W czasie jednych rekolekcyj powziął postanowienie nic już nie przedsiębrać, „o ile w zapale swoim odczuwać będzie nadmiar nadziei i pociechy z widoków dobra, które go unosiło.” Zauważmy dobrze te wyrazy, które dają nam możność oglądania jednego z najwyższych szczytów cnoty. Obawa przed tem,

¹⁾ T. j. summe 45,000 liwów.

by nawet w dobrem nie szukać siebie samego, obawiać się zadowolenia i ukontentowania własnego nawet z troski o nędzę, z opatrywania ran i kalectwa! Tylko Bóg sam może natchnąć człowieka podobnymi uczuciami, jak również on sam tylko może je wynagrodzić.

Akt fundacyjny nosi datę 17 kwietnia 1625. Zawarto go w pałacu de Gondi, przy ulicy Pavée, w parafii Saint-Sauveur, w imieniu pana de Gondi i żony jego, którzy byli założycielami tej fundacji. Św. Wincenty à P. zaledwie tam wspomniany, lecz chociaż się ukrywa w cieniu, domyślić się łatwo, że on dzierży tu pióro i że cały kontrakt jest tłumaczeniem jego myśli, powoli lecz doskonale dojrzewających.

Kontrakt wskazuje przede wszystkim cel dzieła. Mówi się w nim: „że Bóg natchnął pana i panią Gondi przed kilku jeszcze laty pragnieniem rozszerzenia czci Jego, wśród ziem do nich należących i innych. Uważali oni, że podobало się Bogu, aby w nieskończonym miłosierdziu swem przychodzić z pomocą w duchowych potrzebach mieszkańcom miast, przez wielką ilość doktorów i zakonników kazających i katechizujących, pobudzających i pielęgnujących ducha pobożności. Zostawał ubogi lud wiejski, jakby zupełnie opuszczony. Dla tego też zdawało się im (t. j. tym państwu), że możnaby temu zaradzić przez pobożne stowarzyszenie niektórych kapłanów, znanych z nauki i pobożności, którzyby zechcieli rzec się i warunków życia miejskiego i beneficjów, urzędów, godności kościelnych, aby za zgodą władzy biskupiej a na koszt wspólnej kasy swojej, całkowicie i jedynie oddać się sprawom zbawienia ubogiego ludu, przechodząc ze wsi do wsi, kazać, nauczać, katechizować i upominać tych biednych ludzi, nakłaniać ich do odbycia spowiedzi generalnej z całego przeszłego ich życia, nie pobierając za to wszystko żadnego wynagrodzenia w jakiegokolwiek formie, a bezwzględnie rozdawać dary, które darmo otrzymują z łaskawych rąk Boga.”

Następują wskazówki dróg i środków do urzeczywistnienia tej wielkiej myśli ewangelizowania ubogich po wsiach. „Aby dojść do tego, rzeczeni pan i pani Gondi, odwdzięczając się za dobra i łaski otrzymane i codziennie otrzymywane od Boskiego majestatu, dla zadosyćuczynienia gorącemu pragnieniu zbawienia biednych dusz, dla uczczenia tajemnicy

wcielenia, życia i śmierci Jezusa Chrystusa, przez miłość ku Najświętszej Matce Jego i dla otrzymania łaski tak cnotliwego życia w ciągu reszty dni swoich, aby mogli wraz z rodziną spodziewać się doświadczenia do chwały wiekuistej; umyśliли stać się patronami i fundatorami tego dobrego dzieła, i w tym celu rzeczeni pan i pani dali i ofiarowali sumę czterdziestu pięciu tysięcy liwrów, która obecnie została wyliczoną na ręce Wincentego à Paulo, kapłana dyciezyi d'Acqs, licencyata prawa kanonicznego.

Następnie kontrakt ustanawia podziwu godne zastrzeżenia i warunki fundacji, w których objawia się praktyczny rozum św. Wincentego.

1-o. „Pan i pani Gondi nadają władzę rzeczonemu Wincentemu à Paulo obrać i wybrać w ciągu roku sześć osób duchownych, lub też taką liczbę, jaką dochód z obecnej fundacji utrzymać zdoła, których nauka, pobożność, dobre obyczaje i całe ich życia są mu znane, a którzyby pracowali w rzeczonym dziele pod dożywotnim jego kierunkiem. Tego wymienieni pan (seigneur) i pani (dame) wyraźnie chcą, zarówno z powodu zaufania do pracy jego, jako też i doświadczenia, nabytego przez niego w sprawie rzeczonych misyj, którym dotąd Bóg tak błogosławił.” Ale ustanawiając św. Wincentego, jako zwierzchnika i przełożonego księży Misyjonarzy pan i pani de Gondi dobrze pomyśleli o tem, aby on ich nie opuścił. „Nie zależnie od takiej dyrekcyi, w każdym razie pan i pani Gondi rozumieją, że rzeczony pan (sieur) de Paul na stałe i rzeczywiście osiadł w ich domu, aby prowadzić dalej sprawę duchownej pomocy dla nich i dla ich rodziny, jaką prowadzi od długiego już czasu.”

2-o. „Suma czterdziestu pięciu tysięcy liwrów (100,000 franków) będzie przez rzeczonego pana (sieur) de Paul, za zgodą pana (sieur) i pani Gondi zabezpieczoną na ich ziemi, lub w rencie ustanowionej i dochód z niej służyć ma na utrzymanie, żywność, odzież i inne potrzeby członków zgromadzenia. Suma i dochody z niej płynące pozostaną pod ich zarządem i administracją, jako ich własność. Dla uwiecznienia rzeczonego dzieła, ku większej chwale Boga, zbudowaniu i zbawieniu bliźniego, po zejściu rzeczonego pana de Paul, ci, którzy zostali przez niego przyjęci do misyjnego dzieła i w niem wytrwali, większością głosów wybiorą z pośród siebie przeło-

zonego na miejsce pana (sieur) de Paul, i z tego prawa wyboru korzystać będą co trzy lata, lub też w razie śmierci wybrańca.

3-o. „Rzeczeni pan i pani Gondi pozostaną łącznie oboje fundatorami wymienionego dzieła, i jako tacy zarówno oni, oraz ich następcy w rodzinie, na wieczne czasy korzystać będą z praw i prerogatyw przynależnych patronom, wedle prawa kanonicznego, za wyjątkiem prawa mianowania na urzędy zgromadzenia, którego się zrzekają.

4-o. „Duchowni zgromadzenia oddawać się będą całkowicie trosce o biedny lud wiejski i w tym celu zobowiążą się nie kazać, ani administrować żadnych sakramentów po miastach, gdzie będzie arcybiskupstwo lub biskupstwo, chyba w razie nieodzownej potrzeby; wyrzekną się wszelkiego urzędu, beneficjów i godności, za wyjątkiem jednak wypadku, gdyby który patron lub prałat żądał powierzenia jakiegoś probostwa jednemu z nich, dla dobrego onem administrowania. Ten, który zostanie na to przedstawiony przez dyrektora lub przełożonego, będzie mógł to przyjąć i obowiązki pasterskie wykonywać, jeżeli przedtem przebył w rzeczonem zgromadzeniu najmniej ośm lub dziesięć lat, chyba, że przełożony stowarzyszenia uzna za właściwe dyspensować go co do czasu.

5-o. „Duchowni ci żyć będą wspólnie, pod posłuszeństwem panu de Paul w sposób niżej wskazany, a po jego śmierci pod posłuszeństwem przyszłych superyorów i nosić mają miano zgromadzenia ojców lub kapłanów Misyjonarzy. Ci, którzy przyjęci zostaną do zgromadzenia, będą obowiązani co pięć lat przechodzić wszystkie ziemie pana i pani Gondi, aby tam wśród wsi kazać, spowiadać, katechizować i wykonywać wszystkie poniżej wymienione dobre uczynki. Co się tyczy reszty pozostającego im czasu, to używać go będą stosownie do woli swojej w sposób możliwie najpożyteczniejszy i w miejscu, które im zdawać się będzie najwłaściwszem ku chwale Boga, nawróceniu i zbudowaniu bliźniego. Zając się też mają duchowo biednymi skazańcami, aby ci mogli odnieść korzyść duchowną ze swej kary fizycznej, a ku czemu pan generał Gondi czuje się ze wszechmiar obowiązany z tytułu urzędu swego. Miłosierdzie względem tych skazańców, jak mają nadzieję, wykonywać się będzie zawsze przez rzeczonych duchownych z należytą powagą i roztropnością.

6-o. „Praca misyjna ma się odbywać od początku Października do Czerwca w ten sposób, że po dziewięciu lub około tego miesiącach, spędzonych na misjach, wrócą na dni piętnaście do wspólnego domu, lub do innego miejsca przez przełożonego wskazanego i w jednym z tych miejsc pierwsze trzy lub cztery dni z powyżej rzeczonych piętnastu użyją na rekolekcje lub skupienie się duchowe, a resztę poświęcą rozważaniu przedmiotów przyszłej misyi, do której niebawem się zabiorą. Że zaś miesiące Czerwiec, Lipiec, Sierpień i Wrzesień nie są odpowiednimi dla misyi, z powodu tego, że wieśniacy zbyt forsownie są zajęci pracą fizyczną, więc rzeczeni ojcowie zużytkują ten czas na pomaganie proboszczom, którzy o to zgłaszać się będą, jako też na studia, aby się stać bardziej uzdolnionymi do posługi bliźnim i tym sposobem posunąć naprzód sprawę chwały Bożej.”¹⁾

Takim jest ów sławny kontrakt, który wypłynął z serca i podniosłych natchnień wiary rodziny chrześcijańskiej, która dała Kościołowi nowy zastęp apostołów, służących Mu z niezrównaną gorliwością w ciągu nie tylko następnych lat trzydziestu, ale aż do naszych czasów, bo gdy Św. Wincenty à Paulo ku końcowi życia swego, po długich latach rozważań, doświadczenia i modlitwy, zdecydował się ułożyć konstytucje dla swego stowarzyszenia, to jednak w tych nowych ustawach zachował wszystkie ich główne zarysy, a dodał tylko niektóre szczegóły.

Pani de Gondi, zakładając fundamenta dzieła tego, kończyła zarazem inne, nad którym pracowała od dłuższego już czasu: było to nawrócenie męża. Po tem wszystkim, cośmy dotąd mówili o Filipie-Emmanuelu, dziwnym się wydać może wyraz „nawrócenie”, bo ani wiara, ani obyczaje jego nigdy nie podlegały rozbiciu. Poważał świątobliwą towarzyszkę życia, daną mu od Boga; a nawet wśród niebezpieczeństw wojny zachował zawsze niezachwianą dla niej wierność, lecz był on posiadaczem wielkiej fortuny, nosił wielkie imię, pełnym był ambicji, jak wszyscy Gondi'owie, rzuconym w wir intryg i zabaw dworskich. Otóż pani de Gondi pragnęła odciągnąć go od tego wszystkiego, aby poważniej się zwrócił

¹⁾ Maynard I, 344—348.

ku rzeczom niebieskim. Nie dosyć było dla niej sprowadzić do domu swego takiego kapłana, jak św. Wincenty i pomimo wszelakich przeszkód utrzymać go w tym domu; spokojnie, ostrożnie starała się, by mąż poznał i innych w tym rodzaju ludzi. Postarała się o spotkanie z o. de Bérulle; zaprowadziła go do Karmelitanek — do wielkiej przyjaciółki swojej, matki Małgorzaty od Najśw. Sakramentu, drugiej córki pani d'Acarie. Ta ostatnia nie opuściła była jeszcze świata, lecz przed wstąpieniem do Karmelu, w skromnym charakterze siostry konwarski, dała się wyprzedzić tam trzem córkom swoim. Starsza była przeoryszą Karmelu w Orleanie, druga przeoryszą Karmelu Paryskiego, a trzecia przeoryszą Karmelu w Chartres. Wszystkie trzy obdarzone nadzwyczajnymi darami, lecz druga przewyższała inne i nawet matkę swoją. „Pani d'Acarie, mówiła margrabina de Meignelais, świętą była, lecz córka jej, matka Małgorzata była jeszcze świętszą”. Ojciec Binet to samo myślał.¹⁾ Czyniła cuda, posiadała dar proroctwa. Najwyżsi dostojnicy przybywali, by ją ujrzyć. O. de Berulle kierował jej sumieniem; Anna Austriacka prosiła o jej rady; świętej Chantal przepowiedziała godzinę śmierci.²⁾ Do takiej to osoby pani de Gondy od czasu do czasu chodziła z mężem swoim, pragnąc, by widok takiej świętości poruszył serce jego. Z początku p. de Gondy dawał się w to wciągać tylko;³⁾ chodził jedynie dla przypodobania się żonie i ażeby uniknąć niezadowolenia siostry swojej margrabiny de Meignelais. Lecz stopniowo zasmakował w tem i ta surowa zakonnica, unikająca parlatorium, która umiała powiedzieć królowej Annie Austriackiej, aby nie tak często przychodziła, ponieważ blaskiem swych wizyt sprawuje siostronom roztargnienie, do przyjęcia pana de Gondy zawsze była gotową. Pewnego razu spotkał się on tam z o. de Bérulle; świątobliwa zakonnica rzekła do p. de Gondy. „Widzisz pan przed sobą czcigodnego ojca de Bérulle, którego nie znałeś; lecz poznasz go kiedyś bliżej. Stanie się on najskuteczniejszym narzędziem, którem posłuży się Bóg dla zbawienia pańskiego. Teraz śmiesz się pan ze mnie, lecz kiedyś poznasz, że prawdę mówię”. Kardynał de Retz

¹⁾ „Vie de M-me d'Acarie II, 170.

²⁾ Ibid. II, 177.

³⁾ Chanteluze 179.

powiada: „nieskończoną ilość razy sły s z a ł e m o d n i e b o s z c z y k a o j c a m o j e g o t o o p o w i a d a n i e, g d y b y ł j u ż o r a t o r y a n i n e m, l e c z p r z y p o m i n a m s o b i e, ż e i w c z e ś n i e j s ł y s z a ł e m t o o d n i e g o, g d y n i e b y ł o j e s z c z e m o w y o w s t ą p i e n i u d o O r a t o r y a n ó w”.

Inym znów razem, gdy świątobliwa ta zakonnica mówiła mu o potrzebie chrześcijańskiego życia wśród otoczenia światowego,—on odpowiedział w sposób zwykły u tych, którzy, jak p. Gondy zajmują wysokie stanowiska i godności, mówił o trudnościach życia po chrześcijańsku, wśród tylu przeszkód. Dobra matka jeszcze mocniej poczęła nalegać na potrzebę zerwania wszystkich więzów, które uznawał za tak niebezpieczne dla siebie, a gdy się ten nie mógł zdecydować, rzekła mu: „Nie opieraj się dłużej, Bóg zostanie Panem wypadków; czego nie chcesz uczynić sam, aby Mu się podobać, On to sprawi jako Najwyższy Władca. Nie będzie cię zmuszać wcale, lecz pociągnie cię czarem miłosierdzia swojego, w ten sposób, że wola twoja podda się Jego natchnieniom. Powoła On w swoim czasie z tego świata żonę twoją, a po jej śmierci zaprowadzi cię do OO. Oratoryanów; tam otrzymasz święcenia, tam zostaniesz kapłanem; myśl o tem poważnie.” Usposobienie, w jakim wówczas zostawał p. de Gondy, sprawiło, że słuchał on tego wszystkiego, jak wizyi, a to, co mu mówiono, uważał za nieprawdopodobne. Uśmiechnął się i nie myślał już o tem. Po kilku miesiącach wyjechał do Marsylii, dokąd powoływały go czynności urzędu.

Uniósł jednak ze sobą pewne wrażenia, które go przewyciężyły i skłoniły do prowadzenia życia zupełnie chrześcijańskiego. Gdy był na morzu, na galerach państwowych, utrzymywał korespondencję z tą karmelitanką, w której ta zalecała mu wciąż, by myślał o zbawieniu duszy swojej. On zaś czuł dla niej tyle czci, że raz wśród burzy, która go zaskoczyła na morzu, widząc się w niebezpieczeństwie życia, wzywał ją, jak świętą, a ocalony, głośno wyznawał, że to jej ocalenie zawdzięcza.

Powiedzieliśmy wyżej, że pani de Gondy oczekiwała tylko końca tych dwóch wielkich spraw, założenia kongregacyi Misyonarzy i nawrócenia męża swojego, by uwolnić się z więzów życia ziemskiego. W gruncie rzeczy ona nigdy naprawdę nie należała

do ziemi. Delikatny jej organizm zaledwie utrzymywał ją przy życiu, a żarliwa dusza dążyła do nieba. Wiedziała dobrze, że te nieustanne wycieczki do łoża chorych, te długie czuwania przy umierających, wyczerpywały ją; tem nie mniej nie zaniechała ich. Dogadzać ciału, było cierpieniem dla duszy. Szła więc wciąż dalej, coraz słabsza, coraz więcej znużona fizycznie. Nie raz trzeba ją było podtrzymać; sił jej brakło. Dziś to się nazywa anemią, i ta stopniowo, łagodnie, lecz nieubłaganie prowadziła ją do mogiły. Wiedziała to sama i nie skarżyła się. Duszą była już w niebie. Nie posiadamy szczegółów o ostatnich jej chwilach; wiemy tylko, że największe życzenie jej życia urzeczywistnionem zostało: przy śmiertelnem łożu asystował jej św. Wincenty. Podtrzymywana i ośmielana przez modlitwy jego, upewniana przez pełne wiary i ufności w Boga jego słowa, wydała ostatnie tchnienie 23-go Czerwca 1625 roku. Odeszła dusza wielka, subtelna i czysta, lecz lekliwa i wstydliva, godna błogosławieństwa, podpory i otuchy w ostatniej godzinie, przez tak wielkiego Świętego. W testamentie poleciła, by ją pochowano przy kościele Karmelitanek, przy ulicy du Chapon, w pobliżu świątobliwej przyjaciółki, matki Małgorzaty od Najśw. Sakramentu. Św. Wincenty sam odprowadził jej ciało na miejsce spoczynku i przewodnińczył ceremoniom pogrzebowym, odśpiewał Mszę św. żałobną, odczytał ostatnie modlitwy, i nie odszedł, aż powierzył ten skarb święty pobożnej matce Małgorzacie od Najśw. Sakramentu i wszystkim jej córkom.

Niepowetowana to szkoda, że tak wiele cienia okrywa to życie tak czyste, doskonały wzór damy ze świata. Lecz Abelly słusznie ocenia prawdziwe tego przyczyny: „Historja tego bardzo świątobliwego żywota mogłaby zapełnić tom cały, ku wielkiemu zbudowaniu potomności; ale że to tylko św. Wincenty mógł podać najlepsze o tem wspomnienia, posiadając najdokładniejsze wiadomości wielkich przymiotów i rzadkich cnót zmarłej, jego zaś pokora sprawiała, iż zawsze starał się ukrywać pod zasłoną milczenia wszelkie dobro, w którym sam udział przyjmował, było to więc przyczyną, że unikał ujawniania tego, co wiedział, aby przez to nie ujawnić tego, co od niego pochodziło. Bo wszystko, co ta świątobliwa i pełna cnót niewiasta znaczniejszego uczyniła ku służbie i chwale Boga, było ze współudziałem św. Wincentego, a więc mogłoby wywo-

łać pochwały dla niego; a tego się obawiał najbardziej, i zawsze przed tem uciekał, o ile mógł.”¹⁾

Pan de Gondi nie był przy śmierci żony, ani na jej pogrzebie. Śmierć nastąpiła tak prędko, że nie można go było w czas zawiadomić a on nie spodziewał się tego nieszczęścia. Św. Wincenty sądził, że obowiązkiem jego i potrzebą serca było osobiście zawiadomić p. de Gondi o niepowetowanym nieszczęściu, jakie go dotknęło; a może też było w tem spełnienie polecenia zmarłej. Admirał był wtedy daleko od Paryża, w Marsylii. Nasz Święty przedsięwziął tę podróż cały wzruszony zaszłą katastrofą, rozmyślając nad tem, w jaki sposób będzie mógł oznajmić panu de Gondi o tem strasznem nieszczęściu. Mówiliśmy już o tem, lecz trzeba powtórzyć raz jeszcze, o uczuciach, które żywił pan de Gondi ku swojej drogiej, zachwycającej i niezrównanej małżonce, a te uczucia łączyły się z czcią głęboką dla niezwyklej niewiasty. Nie przychodziło mu jeszcze na myśl, iż może rozłączyć się z nią na zawsze. Czuł to Wincenty i to czyniło misję jego jeszcze boleśnieszą. Pomodliwszy się gorąco, stanął przed panem de Gondi. „Bądź pan gotów, powiedział aby nie przeciągać oczekiwania pełnego udręczenia, zgodzić się ze świętą wolą Bożą?” I spokojnie z nieskończonemi ostrożnościami opowiedział o chorobie pani de Gondi, o ostatnich jej chwilach, nakoniec o jej śmierci tak pobożnej, tak chrześcijańskiej, o jej poddaniu się wreszcie woli Bożej. Samo słuchanie tak tkliwego opowiadania było nie małą pociechą dla serca zranionego. Rana jednak była nieuleczalną i p. de Gondi po rozłące z żoną, czuł się oderwanym od wszystkiego.

Św. Wincenty przywiózł ze sobą testament pobożnej nieboszczki. Doręczył go panu de Gondi. Jeden z punktów tego testamentu brzmiał tak: „Błagam o. Wincentego dla miłości Pana Naszego Jezusa Chrystusa i świętej Matki Jego, aby raczył nigdy nie opuszczać domu mego małżonka, ani też, po jego śmierci, dzieci naszych. Upraszam też męża, aby raczył zatrzymać przy sobie ks. Wincentego i aby nakazał to dzieciom naszym, prosząc ich, by pamiętali o tem, i szli za świątobliwemi wskazówkami jego, wiedząc dobrze,

¹⁾ Abelly I, 71—72.

że gdy je spełnią, to odniosą korzyść dla dusz swoich, i błogosławieństwo Boże spłynie na nich i na całą rodzinę." Zalecenie to w zupełności odpowiadało życzeniom p. de Gondi, to też nastawał on z całych sił swoich na jej spełnienie dla ziszczenia tak wielkiego dobrodziejstwa. Lecz Wincenty czuł, że przyszedł już czas na niego, że śmierć pani de Gondi zrywała te delikatne więzy, łączące go z ich domem; że czas już, aby odzyskał wolność i niezależność swoją, dla oddania się tyłu dziełom, do których powoływał go Bóg. Z wielkim szacunkiem przedstawił to panu de Gondi, który już nie nastawał więcej.

Zresztą i sam Filip-Emmanuel nie długo już miał pozostać wśród świata. Miłość, jaką czuł, ku świątobliwej małżonce swojej, należała do tych, które nie znajdują po stracie pociechy na ziemi. Sam tylko Jezus Chrystus mógł zająć miejsce w opustoszałym sercu. Wziął więc dymisyę z urzędu jenerała galer, na korzyść starszego syna; drugiego, który miał z czasem zostać sławnym kardynałem de Retz, umieścił teraz dla dokończenia wychowania u Jezuitów i wolny od wszystkiego, przypominając sobie przepowiednie matki Małgorzaty od Najśw. Sakr., udał się do ojca de Bérulle, prosząc o przyjęcie go do Oratoryum. Po długich i poważnych próbach, nakazywanych przez poważnego seniora, a pokornie przyjmowanych przez męznego nowicyusza, przyjął tonsurę i sutannę. Wyświęcony w swoim czasie na kapłana, prymicyę odprawił wobec ogromnego tłumu ludzi, a następnie zagrzebał się w głębokiem osamotnieniu, z którego nic go wyrwać nie zdołało, ani widoki na kapelusz kardynalski, ani następstwo po czcigodnym ojcu de Bérulle, jako jeneralnym superyorze Oratoryanów. Znikł zupełnie z widowni i zaledwie dostrzedz go można we mgle, wśród której pragnął zgasnąć, żyjąc w pokorze, rozmiłowany w życiu ukrytem; nosił włosienicę, pościł często o chlebie i wodzie, zachowując głęboką cześć dla św. Wincentego, z którym czule więzy łączyły go aż do śmierci.

Podczas, gdy p. de Gondi wyrwał się ze świata, by wstąpić do Oratoryanów, św. Wincenty usunął się do collegium des Bons-Enfants z o. de Portail, pierwszym swoim wiernym uczniem i przygotowywał się do rozpoczęcia wielkich dzieł swoich. Miał wówczas lat pięćdziesiąt.

Jak przedziwne są drogi Boże! Gdy chce, aby kto był uczonym, doktorem, prowadzi go na uniwersytety, umieszcza

przy mistrzach sławnych i tym sposobem powstaje taki św. Bonawentura, lub też św. Tomasz z Akwinu. Gdy chce wytworzyć służebnika ubogich, inne drogi wybiera dla niego; daje mu urodzić się w ubóstwie, paść trzody w dzieciństwie, wzrastać wśród niedostatku i poświęceń się. Taką też była pierwsza szkoła św. Wincentego. Drugą szkołą była kaźń jego w Tunisie. Zakosztowawszy chleba ubogich, nosi kajdany więźnia, uchyla karku przed biczem gospodarza swego. Sprzedany trzykrotnie na placu publicznym, targowany, jak bydłę, dwa całe lata pozostaje w twardej tej szkole i tam, wśród rozpalonych piasków Afryki, w ciężkiej pracy więźnia, poznaje, ile boleści i upokorzeń przynoszą pewne warunki życiowe.

I nie koniec jeszcze na tem: zakosztował on chleba ubogich, lecz ubogich uczciwych, w domu ojcowskim; dźwigał kajdany więźnia, lecz więźnia, który trafił do kaźni w Tunisie tylko wskutek nieszczęścia. Zostawało mu jeszcze dźwigać kulę u nogi wśród skazańców w Marsylii. Znał dotąd li tylko boleści ubóstwa, trzeba, by poznał hańbę, by żadna rana nie była mu nieznaną. Ale, jak zejść do tych miejsc zarażonych, wstrętnych, pełnych przekleństw? Gdy pójdzie tam, jako kapłan, jako dobrodziej dla pocieszenia nieszczęśliwych, to nie zbliży się do nich dostatecznie, nie zazna upokorzenia. Zstępuje więc tam jako skazaniec, z kulą u nogi i wiosłem w ręku. Obлека się w hańbiącą odzież galernika. Bóg tak chce. Trzeba, aby ten wielki Święty poznał nędzę we wszelkich jej postaciach, by można było o nim powiedzieć, jak powiedziałano o Panu Naszym: „Mamy najwyższego kapłana, który może współczuć wszystkim słabościom naszym, ponieważ sam doświadczył ich wszystkich” *Tentatum autem pro omnia*.

Lecz przeprowadzając go po wszystkich szczeblach ubóstwa, jak wielki artysta, który po potraceniu najniższych tonów instrumentu, uderza też i w tony najwyższe, Bóg wiedzie go do zamków szlacheckich, do pysznych salonów mieszczan-bogaczów i nawet do pałaców królewskich, aby przy rozpoczęciu wielkich dzieł swoich, miał do rozporządzenia nie tylko złoto i srebro, bogactwa i sympaty, lecz również i współpracowników bogobojnych, pokornych a świetnych, na którychby mógł oprzeć się w działalności swojej wśród wszystkich klas społeczeństwa. Szlachetna i bogobojna hrabina de Gondi, pobożna margrabina de Meignelais, pani Acarie, pani de Bérulle—są

oporą i pomocą pierwszych kroków jego, a jak wnet zobaczymy przy tworzeniu innych wielkich dzieł, spotkamy przy nim podziwu godną księżnę d'Aiguillon, prezydentową Goussault, prezydentową de Herse, panią de Lamoignon, panią de Miramion, wszystko to osoby, których szlachetność i wspaniałość serca przewyższały znakomitość imienia. A i wy również Filipie-Emmanuelu de Gondi, znakomity prezydencie Mole, bogobojny baronie de Renty, komandorze de Sillezy; a także i wy, których nie mógłbym zapominać i pominąć, żarliwa gromadko pierwszych kapłanów-Misyonarzy, anielski chórze pierwszych sióstr Miłosierdzia z p. le Gras na czele; wy wszyscy nakoniec, którzyście podtrzymywali wyteżone usiłowania jego, a przy których pomocy dokończył on wielkiego dzieła swojego, chwały Kościoła i zbawienia społeczeństwa — przez miłosierdzie!

Księga II.

Prace św. Wincentego à Paulo nad reformą kleru.

ROZDZIAŁ I.

Święty Wincenty à Paulo osiada w kolegium des Bons-Enfants. — Stamtąd przenosi się do św. Łazarza. — Początek kongregacyi Misyonarzy. 1625 — 1628.

Przybywający do Paryża, przy ulicy Saint-Victor spostrzeżga pod Nr. 36 stary budynek o wielkiej ilości małych okienek. Jeszcze przed dziesięciu laty istniała, usunięta dziś z powodu przedłużenia ulicy, stara brama. Do tego to budynku schronił się św. Wincenty à Paulo w 1625 roku. Miał przy sobie tylko jednego kapłana: dobrego ks. de Portail pierwszego swego najukochańszego ucznia. Urodzony w Beaucarire 1590 r., więc o lat czternaście młodszy od św. Wincentego, przybył do Paryża w 1610 jako dwudziestoletni młodzian, z zamiarem studyów na sławnym Uniwersytecie. Opatrznościowo spotkał się z naszym Świętym, który również wówczas przybył był do Paryża i bezpośrednio oddał się pod jego kierownictwo. Obdarzony doskonałą niewinnością, żądny upokorzeń i ubóstwa poczuł jak się dusza jego rozwijać poczęła pod tchnieniem sługi Bożego i poprzysiągł sobie, że nigdy go nie opuści. Ze swej strony nasz Święty przywiązał się do tego młodego kleryka i nie wiedząc jeszcze do czego będzie mógł go użyć potem, zaczął posługiwać się nim, jako przyjaciele, do którego miał pełne

zaufanie. W czasie podróży do Marsylii 1622, do Bordeaux i Mâcon 1623, jemu powierzał troskę o „ukochanych swoich galernikach” w Paryżu pozostających. A gdy na początku tegoż 1623 roku dano mu kollegium des Bons-Enfants, nie mogąc jeszcze sam tam się udać, ponieważ nie opuścił był odtąd państwa de Gondi, posłał tam ks. Portail, aby objął dom i tam go oczekiwał (6 Marca 1624). Połączyli się ze sobą dopiero w roku 1625 i odtąd już w ciągu lat trzydziestu pięciu nie rozstawali się. Jeden był głową, drugi ręką. Jeden stwarzał dzieła swoje, drugi prowadził je. Ten równie pokorny uczeń, jak tamten pokorny mistrz, a obaj zapaleni najświętszą gorliwością o chwałę Boga i o pomoc ubogim.¹⁾

Wnet po przybyciu św. Wincenty a Paulo chciał, aby rozpoczęto misye. Ponieważ zaś było ich dwóch tylko, więc przyłączyli do siebie zacnego kapłana O. Gambarti i przeznaczyli mu trzydzieści écus na rok na osobiste potrzeby.

Rozrzewniające są te pierwsze misye ówczesne. Poszli do arcybiskupa, dla otrzymania błogosławieństwa; następnie uporządkowawszy wszystko w starym kollegium des Bons-Enfants, starannie zamknęli bramę, zostawiając klucze u jednego z sąsiadów, ponieważ nie mieli środków na utrzymanie stróża. Potem wyszli każdy z workiem na plecach, w którym mieli wszystkie rzeczy swoje. Zatrzymywali się przeważnie w najuboższych wioskach, nocując często na słomie. Bóg błogosławił temu ubóstwu. „Szlśmy powiada nasz Święty, poprostu, posłani przez naszych ks. ks. biskupów; szlśmy przepowiadać ewangelię ubogim, podobnie jak czynił to Pan Nasz. Miałem przygotowane jedno tylko kazanie, które przerabiałem na tysiące różnych sposobów, a było to o bojaźni Bożej. Takie było nasze położenie, gdy kilku kleryków, będących świadkami błogosławieństwa Bożego, spływającego na pracę naszą, domagało się przyłączenia do nas, na cośmy się chętnie zgodzili. O Zbawicielu! kto kiedy mógł myśleć, że dzieło nasze dojdzie do takiego stanu, w jakim jest teraz? Gdyby mi to kto wtedy zapowiadał, to sądziłbym, że żartuje sobie ze mnie; tem nie mniej jednak w ten właśnie sposób podobało się Bogu zapoczątkować Zgromadze-

¹⁾ Notice sur les prêtres, clères et frères defunts de la Congregation de la Mission. I-e serie. Compagnons de saint Vincent. I vol. Paris Pillet et Dumoulin 1881.

nie nasze. Więc czyż nazwiecie ludzkim dziełem to, o czym żaden człowiek nie myślał? Bo ani ja, ani biedny Portail nie marzyliśmy o tem i byliśmy bardzo od tego dalecy”.¹⁾

A tyle pociechy rozsiewał Bóg na te pierwsze misye, że nasz Święty nie mógł się od nich oderwać. Gdy, wyczerpany zmęczeniem, wrócił do Paryża, by trochę wypocząć, „to zdawało mi się, powiada, że bramy miasta muszą zawalić się nademną, by zmiążdżyć mię; in astępnie za każdym powrotem najczęściej z misyi doznawałem podobnego uczucia. Przyczyną zaś tego była myśl, że oto ty wracasz do Paryża, a tam tyle wiosek oczekuje ciebie, abyś wśród nich dokonał tego coś dokonał tam i ówdzie. Gdybyś tam nie był, to prawdopodobnie te i owe osoby, umierające w stanie, w jakim je zastałeś, byłyby zgubione i zostałyby potępione. Jeżeliś znalazł takie grzechy popełnione w tej parafii, to czyż nie masz powodu do myślenia, że podobne grzechy i błędy popełniają się i w parafii sąsiedniej i że tam oczekują na przyjście twoje, abyś z nimi uczynił to, co uczyniłeś w ich sąsiedztwie? Oni oczekują misyi, a ty uchodzisz, opuszczasz ich; a jeżeli jednak oni umrą i umrą w grzechach, ty niejako będziesz przyczyną ich zguby i powinieneś obawiać się, że Bóg zażąda od ciebie rachunku za nich.”²⁾

Pelen takich myśli, pomnażał modlitwy swoje, aby niemi zastąpić, chwilowo zawieszone misye. Z uczniami swoimi chodził do miejsc cudami słynących, błagając o ducha pokory i ubóstwa. „Zgromadzenie, które było w zawiązku, składało się z trzech czy czterech osób, które poszły do Montmartre (nędzny człowiek, który wam to mówi, był wówczas słabym) prosić Boga, za wstawiennictwem się świętych Męczenników aby wstąpić zdołali na drogę ubóstwa, i na niej pozostali, dopóki zgromadzenie istnieć będzie. O Zbawicielu duszy mojej! daj nam łaskę, abyśmy nie pożądali i nie posiadali nic, prócz Ciebie”.³⁾

Po roku widzimy przybyjących jeszcze dwóch towarzyszy: o. Franciszek de Coudray, pochodzący z Amiens, doktor Sorbonny, znający hebrajski, mówiący wielu językami, który po-

¹⁾ Avis et conférences spirituelles. 288.

²⁾ Tamże 259.

³⁾ Id. 3572.

ciągnięty został widokiem pokory i ubóstwa naszego Świętego, i o. Jan de la Salle, również z Pikardyi pochodzący, człowiek niezrównanej roztropności i poświęcenia się.¹⁾ W następnym 1627 roku przybyło czterech innych: o. Jan Becu, trzydziesto-czteroletni kapłan z dyecezyi Amiens, o. Łukasz z dyecezyi Paryskiej; ten nie był jeszcze kapłanem; o. Bronet z Riom w Overnii, o złotem sercu, lecz słabego zdrowia i o. d'Horny de Noyon, najmłodszy ze wszystkich, który miał przeżyć mistrza i administrować mu ostatnie Sakramenta. Razem siedmiu. Była to mała garstka, świadczająca, możnaby mniemać o niepowodzeniu. Zdawałoby się, że oni mogliby się zniechęcić, lub zwątpić, lecz św. Wincenty przeciwnie, cieszył się z tego. 16 Października 1635 r. pisał do o. Portail, po przybyciu sześciu ostatnich, którzy w ciągu lat dziesięciu pomnożyli liczbę uczniów jego do liczby trzydziestu trzech: „Liczba przybyłych do nas po naszym odjeździe jest sześciu. O! ojcze, jak ja się obawiam wielkiej ilości i rozpowszechnienia; a jak powinniśmy chwalić Boga za to, że zaszczyca nas małą liczbą uczniów, których i Syn Jego miał niewielu”.²⁾

Na czele tej nielicznej gromadki Św. Wincenty prowadził dalej i rozszerzał zakres misyj swoich. Na nieszczęście mało mamy szczegółów o tem. Prawie wszystkie listy Świętego, które mogłyby rozjaśnić tę epokę, zaginęły. Widzimy jednak, że on i jego uczniowie dochodzili z jednej strony do Chelles, Verneuil, Croissy, Maubuisson, Passy i aż do Beauvais; z drugiej zaś strony do Mesnil, Villeneuve-Saint-Georges aż do Lyonu, gdzie zapewne pociągało ich Châtillon-les-Dombes. Od 1627 roku, we dwa zaledwie lata po powstaniu, echo ich kazań rozbrzmiewało szeroko po czterech prowincjach południowych. Pewien znakomity kapłan, którego nazwiska, wspominający o tem autor (Collet), nie wymienia, pisał: „Przybywam z wielkiej podróży, odbytej w czterech prowincjach. Odczułem już tę woń wspaniałą rozlaną *po wszystkich tych miejscach*, gdzie są ślady przejścia świątobliwego Zgromadzenia waszego, pracującego nad oświecaniem i zbudowaniem ubogich po wsiach. Istotnie, nie sądzę, żeby mogło być w Kościele Bożym coś bardziej budującego, i godniejszego nad was, którzy kroczyć

¹⁾ Id. 95. i 117.

²⁾ Lettres № 106. I. 112.

drogami, wskazanemi przez Pana naszego Jezusa Chrystusa. Trzeba prosić Boga, aby wzmocnił i utwierdzał dążenia tak pożyteczne dla dobra dusz, którym tak niewielu z pośród poświęconych służbie Bożej, oddaje się należycie”.¹⁾

Misyje odbywały się przedewszystkiem w ciągu zimy, gdy z powodu zimna przerywały się roboty ludu wiejskiego. Lud pracował latem przy żniwach i winobranii, a nasi ojcowie studyowali teologię i przygotowywali się do nauczania. W roku 1628 sw. Wincenty à Paulo pisał z Beauvais:

Beauvais 1628.

„Jak się miewa Zgromadzenie? Czy każdy w dobrem jest usposobieniu i czy zadowolony? Czy zachowywany jest nasz mały regulamin? Czy studyują, czy wprawiają się do rozpraw? Czy zachowuje się przepisany porządek? Upraszam was, ojcze, aby troskliwie pracowano nad tem; aby starano się o dobre zaznajomienie się z Bécan'em.²⁾ Trudno wypowiedzieć jak pożyteczną jest ta mała książeczka. Podobało się Bogu posłużyć się mną niegodnym do nawrócenia trzech osób, od czasu wyjazdu z Paryża, lecz wyznać muszę, że łagodność, pokora i cierpliwość w obejściu z tymi wykolejonymi biedakami, jest jakby duszą tego dzieła. Dwa dni czasu użyć musiałem do nawrócenia jednego z nich; dwaj inni nie kosztowali tyle czasu. Bardzo chciałem ci to powiedzieć, ku zawstydzeniu mojemu, aby Zgromadzenie widziało, że jeżeli podobało się Bogu posługiwać się największym ignorantem i najnędzniejszym z twojego grona, to jeszcze skuteczniej posługiwać się będzie każdym innym”.³⁾

Prawie sześć już lat płynęło to życie tak skromne, tak owocne, gdy pewnego dnia ks. de Lestocq, proboszcz od św. Wawrzyńca w Paryżu, przyprowadził do naszego Świętego pewnego doskonałego zakonnika, ojca Adryana le Bon, superyora Zgromadzenia kanoników regularnych od św. Wiktora, osiadłych u Św. Łazarza w starej trądowni, leżącej przy drodze

¹⁾ Collet 131.

²⁾ Marcin Bécan, jezuita ur. 1550 w Brabancie. Spowiednik Ces. Austr. Ferdynanda II, był autorem Summy teologicznej in folio, z której ułożone skrócenie, nazywane *le Petit-Bécan*.

³⁾ Lettres № 9.

z Paryża do Daint-Denis. Bogaty klasztor, otoczony murem na wielkiej przestrzeni, wielkie ogrody, wspaniałe zabudowania, ale duszy tam nie było. Fundowany był przed dwustu przeszło laty w r. 1404, jako pobożna ofiara wiernych, na przytułek dla trędowatych. Teraz gdy już trędowatych nie było, żadna instytucja dobroczynna dla pomocy czy to fizycznej, czy duchowej tam nie działała. Pomieszczono więc w opustoszałym klasztorze kanoników regularnych od św. Wiktora; lecz było ich tylko ośmiu, żyjących w bezczynności, nie mogących porozumieć się ze swoim superyorem, który pragnął pociągnąć ich do wyższego życia. Martwił on się zaniepokojony tem i chcąc się usunąć, zadawał sobie pytanie, czyby nie dało się zużytkować na jakieś dzieło dobroczynne tych obszernych budynków. Udał się z tą myślą dla porozumienia się do sąsiada i przyjaciela swego ks. de Leitoqa, proboszcza u św. Wawrzyńca (S-t Laurent). „O! powiedział mu ten, zamiar ten musi z nieba pochodzić, niebo to bowiem wytworzyło tych dobrych kapłanów”; i zaczął mu opowiadać to, o czem już wiemy, jak to ubogim opowiadana jest ewangelia, jak naprawiane są złe spowiedzi, jak wszystkie duchowne nawet i materialne potrzeby ubogiego ludu wiejskiego są zaspokajane. „Zresztą, dodał, pójdź ze mną a sam osądzisz. Przedewszystkiem pragnę abyś zobaczył ich superyora, człowieka iście Bożego”.

„I poszli razem do collegium de Bons-Enfants. Po pierwszym przywitaniu ojciec le Bon powiedział świętemu Wincentemu, że po tak pochlebnem opowiadaniu, jakie słyszał o pracach jego Zgromadzenia, za szczęśliwego by się uważał, gdyby mógł czemkolwiek przyczynić się do jego rozwoju i że w tym właśnie celu przyszedł ofiarować mu swój klasztor św. Łazarza. Słowa te ucieszyłyby niepomierne każdego innego, pokorny Wincenty zaś został niemi zdumiony. Nie wiedział co ma odpowiedzieć. „Co to, księżu, drżysz, powiedział mu ks. le Bon.—Tak, ojcze, odrzekł ś. Wincenty, propozycja wasza przeraża mnie; zdaje mi się ona tak wysoce ponętną, że nie odważam się podnieść myśli moich ku niej. Jesteśmy ubogimi kapłanami, żyjącymi w prostocie; nie mamy innych zamiarów, prócz słu-

żenia ubogim wieśniakom. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, mój ojcze, za dobrą radę i dziękujemy najpokorniej; lecz pozwól nie przyjąć twej ofiary”.¹⁾

Taka pokora wzruszyła ks. le Bon. Czuł, że stoi wobec kapana o wiele wyższego od tych, których znał. Tem gorętszą złapał żądzą urzeczywistnienia swego projektu i zaklinał św. Wincentego, aby nie odmawiał stanowczo przed upływem sześciu miesięcy, zostawiając mu ten czas do rozważań.

Sześć miesięcy upłynęło i czcigodny ks. le Bon w towarzystwie ks. de Lestocq znów przyszedł do collegium des Bons-Enfants. Obaj wznowili nalegania swoje i zaklinali św. Wincentego, aby raczył przyjąć ofiarowany klasztor. Ks. le Bon upewniał, że to z natchnienia Bożego chce go oddać św. Wincentemu; a poważny i praktyczny proboszcz od św. Wawrzyńca przedstawiał, jak wielkie korzyści może mu przynieść przyjęcie tego daru. „Po pierwszej mojej bytności, mówił ks. le Bon, już otrzymałem zgodę swoich zakonników, dziś potrzeba tylko twego przyzwolenia: jedno słowo twoje i sprawa będzie skończoną”. Na to odparł św. Wincenty: „Widzicie w jak małej jesteśmy liczbie; Zgromadzenie nasze powstaje zaledwie. Ten mały i ubogi domek, wystarcza nam. Ja się obawiam blasku i wrzawy, jakie ta zmiana sprowadzi. Zresztą nie zasługujemy na taką łaskę. Zostawcie nas w ukryciu i spokoju, który tak nam przystoi”.

Zadzwoniono na obiad, więc ks. le Bon, chcąc podnieść sprawę rzecze Świętemu: „Pozwól mi, ojcze, żebym zjadł obiad z wami i ze Zgromadzeniem waszem”, co nasz Święty przyjął z właściwą sobie dobrocią i pokorą. Skromność misjonarzy, czytanie przy stole, porządek ściśle zachowywany, wszystko to tak się podobało ks. le Bon, że poczuł wielką cześć i miłość ku temu Zgromadzeniu i wyszedł ze stałem postanowieniem przyprowadzenia do skutku wspaniałomyślnego projektu swego.

W ciągu następnych sześciu miesięcy, więcej niż dwadzieścia razy przychodził „aż doszło do tego, że zostawszy wielkim przyjacielem św. Wincentego, powtarzałem mu, iż sprzeciwia się Duchowi Świętemu i że odpowiedzialnym będzie przed Bogiem za odmowę; bo przy ofiarowanych środkach będzie mógł ustalić byt kongregacyi”.

¹⁾ Przedmieście Saint-Denis № 117.

¹⁾ Maynard I 370—371.

Ks. de Lestocq nie mógł powstrzymać zniecierpliwienia swego. „Chciałem powiada, na plecach własnych przenieść tego ojca misjonarzy do Św. Łazarza, aby skusić go pięknoscą miejsca i widokiem oczywistych korzyści; lecz był on nieczułym na rzeczy zewnętrzne i przez całe ośmnaście miesięcy napastowania, ani razu nie zaszedł spojrzeć przynajmniej na klasztor”.

Łagodny i świątobliwy ks. le Bon wreszcie stracił cierpliwość. Po całorocznym napastowaniu powiedział raz św. Wincentemu: „Co za człowiek z ojca? Jeżeli boisz się sam decydować w tej sprawie, to powiedz mi przynajmniej, czyje zdanie wystarczy, w kim pokładasz zaufanie, kogo z przyjaciół masz w Paryżu, któryby mógł być pośrednikiem pomiędzy nami w tej sprawie. Ja się nie obawiam jego decyzji; bo niema osoby, któraby życząc wam dobrze, nie doradzała przyjąć mojej ofiary.” Tak przyciśnięty do muru św. Wincenty wskazał ks. doktora Duval’a, spowiednika i zwykłego doradcę swego i zobowiązał się być mu posłusznym, tak jak Bogu..

Dr. Duval był jednym z najznakomitszych kapłanów w Paryżu; teolog, kaznodzieja znakomity, a cnota jego przewyższała talenta które posiadał; wychwalany i podziwiany przez św. Franciszka Salezego, doradcę św. Chautal, matki Magdaleny, pani Acarie; człowiek, wedle świadectwa kardynała du Perron, najzdolniejszy do rozstrzygnięcia wątpliwości sumienia i do rozproszenia udręczeń umysłu, o którym zresztą sam św. Wincenty à Paulo mówił, że „wszystko w nim jest świętem”.¹⁾

Ks. Andrzej Duval nie wahał się i oświadczył, że św. Wincenty powinien przyjąć proponowaną mu ofiarę. Pokorny i posłuszny jak dziecko Święty przyjął, nie widząc nawet klasztoru, który pierwszy raz zobaczył dopiero w kilka godzin po skończeniu wszystkiego.

Był tam w głębi ogrodu domek, w którym trzymano pięciu czy sześciu obłąkanych, których zebrali zakonnicy, aby o ile można spełnić intencję fundatorów. Pokazano ich św. Wincentemu à Paulo, który do łez się wzruszył ich widokiem. Może to przeważało ostatecznie szalę jego postanowienia.

Lecz kończmy opowieść naszą. Ks. le Bon chciał nie-

tylko ustąpić swój dom św. Wincentemu, aby tym sposobem fundusze, przeznaczone na biednych trędowatych, mogły być użyte na dzieła Miłosierdzia, chciał też zreformować swoich zakonników, przez zetknięcie ich z naszym Świętym i jego uczniami, i w tym celu zamierzał zlanie się w jedno obydwóch zgromadzeń. Uczniowie św. Wincentego à Paulo będą nosić ubiór, używany przez kanoników od św. Wiktora, zajmą odpowiednie miejsce w chórze i sypiać będą w tym samym dormitarzu. „Wasi uczniowie nie ucierpią na tem, a moi zakonnicy nie będą mogli uniknąć zbawiennych wpływów tej ciszy, milczenia, ścisłego porządku i skromności, które wśród waszego Zgromadzenia panują. Z podziwu i uwielbienia łatwo przejdą do naśladowania”.

Św. Wincenty à Paulo zanadto był roztroptym i zawiele miał doświadczenia, aby przyłożyć rękę do podobnego projektu, przez który ryzykowało się, że prędzej misjonarze przeobrażą się w kanoników, niż kanonicy w świętych. Energicznie więc i stanowczo zaprotestował przeciwko przyjęciu ubioru i miejsc w stallach chóru, a przede wszystkim przeciwko wspólnej sypialni. „Ustawa nasza, mówił, wymaga zachowania milczenia od modlitwy wieczornej, aż do pory poobiedniej następnego dnia; wtedy mamy godzinę rozmowy, po której zachowujemy znowu milczenie aż do wieczora. Po wieczery następuje druga godzina rozmowy, potem już wielkie milczenie, milczenie tak ścisłe, że przerywamy je tylko w razie bezwzględnej potrzeby i to nie inaczej jak tylko po cichu się odzywając. Otóż, dodał, gdyby Zgromadzenia w jakikolwiek sposób osłabiło te reguły, jużby tem samem wprowadzało nieporządek i zamieszanie, które trudno sobie przedstawić. Pewna świątobliwa osoba, widząc zgromadzenie jedno ściśle zachowujące milczenie, powiedziała, iż można być pewnym, że równie ściśle zachowuje i inne wymagania reguły; a przeciwnie, widząc inne zgromadzenia w którym milczenie nie jest obserwowanem, twierdziła, że nie podobnem jest, by inne wymagania reguły były należycie przestrzegane. Trzeba się więc bardzo obawiać, że gdy ci kapłani nie zechcą zobowiązać się do tego i nie będą tego wykonywać, to my pozbywając się tak niezbędnej praktyki, którą staraliśmy się zachować dotąd, doznamy wielkiej szkody”.

Ks. le Bon, którego postępowanie w całej tej sprawie było podziwu godnem, ustąpił; za wspólną zgodą ułożonym został

¹⁾ Vie de M-me Acarie I, 138.

układ 7 Stycznia 1632 r. pomiędzy ks. Andrzejem le Bon i zakonnikami od św. Łazarza z jednej strony, a Wincentym à Paulo i jego misjonarzami z drugiej.

Akt rozpoczyna się w ten sposób: „Choroba trądu nie jest już tak częsta, jak dawniej, i obecnie niema żadnego trędowatego u św. Łazarza. W tym stanie rzeczy, będzie zgodnem z intencją ofiarodawców użycie dochodów klasztoru na niesienie pomocy ubogiemu ludowi wiejskiemu, oddalonemu od miast i zarażonemu trądem grzechu. Gdy zaś kapłani misjonarze poświęcili się i poświęcają codziennie i bardzo owocnie temu doskonałemu dziełu, będzie więc dobrze przyczynić się do ich umocnienia i powiększenia, aby z większą odpornością mogli znosić trudy i dalej prowadzić praktyki i prace swoje ku lepszemu pożytkowi religii i społeczeństwa. Wskutek czego zakonnicy od św. Łazarza wyjednaawszy zgodzenie się Papieża i arcybiskupa Paryskiego, króla i parlamentu, rezygnują z klasztoru i łączą się wiekując z Misjonarzami”. Przypomnijmy sobie, że te względy skłoniły ks. le Bon do ofiarowania klasztoru swego św. Wincentemu à Paulo. Po tym wstępie, przyszła kolej na uregulowanie wzajemnego współżycia; mowa więc: 1-o o przeorze, który zatrzyma dożywotnio mieszkanie swoje z dawnym tytułem przeora, prawem asystowania przy nabożeństwie, w kapitule i w refektarzu, z zachowaniem rangi swojej, z pensją dożywotnią zahypotekowaną na klasztorze i na wszystkich dobrach zgromadzenia i dwa kawałki ziemi, których używanie czcigodny o. de Gondy (dawny generał galer), poręczył. 2-o O zakonnikach: daną im będzie pensja roczna pięćset liwów, zagwarantowanych również przez czcigodnego o. de Gondy, z których dwieście liwów będzie wypłaconych niezwłocznie, jeżeli zechcą żyć wspólnie z misjonarzami. Mają oni swobodę pozostawania u św. Łazarza jak dotąd, pod warunkiem jednak uznawania jurysdykcji arcybiskupa Paryskiego; pensja wskazana będzie im również wypłacana, jeżeli zechcą żyć gdzie indziej.

3-o. O przeorze i zakonnikach; zapewnienie pomocy w infirmaryi na koszt Misji; pogrzeb z ceremoniami właściwymi dla dobrodziejów; na wieczne czasy coroczne nabożeństwo za przeora i nabożeństwo przy końcu roku za każdego zakonnika.

Z pociechą serdeczną i wdzięcznością spostrzega się tu podpis Filipa-Emmanuela, który wstąpiwszy do Oratorium

zwał się wówczas czcigodnym Ojcem de Gondy. Zachowawszy dobro swoje, staje jako poręczyciel za dawnego a zawsze drogiego przyjaciela św. Wincentego. Brat jego Jan Franciszek de Gondy, arcybiskup Paryski nie mniej okazuje się wdzięcznym i wiernym. Nazajutrz po zawarciu tego układu, dnia 8 stycznia 1632 r. wydaje on dekret, zatwierdzający przyłączenie św. Łazarza do Misjonarzy, i na wstępie wypowiada wspaniałą pochwałę dla św. Wincentego. „Bóg w wielkim miłosierdziu swoim pobudził w naszych czasach w tym królestwie francuskiem mistrza Wincentego à Paulo i uczniów jego, ludzi prawdziwie apostoelskich, wielkich miłośników pokory chrześcijańskiej, którzy z iście Bożego natchnienia opuścili mieszkańców miast, gdzie widzą wielką liczbę kapłanów tak świeckich, jako też zakonnych, przykładających się do zbawienia dusz, przebiegają różne wioski naszej dyecezyi i tam, troszcząc się jedynie o sprawę Jezusa Chrystusa (przez przemowy w wyrazach przekonywających, opartych nie na ludzkiej mądrości, lecz na objawianiu ducha i mocy bożej) zachęcają do spowiedzi jeneralnej, zalecają częstą komunie, nauczają ciemnych, poprawiają i niszczą złe obyczaje, za upoważnieniem naszym ustanawiają konfraternie Miłosierdzia we wszystkich parafiach, przygotowują lud do owocnego przyjmowania naszych wizytacji pasterskich, słowem, doprowadzają go pracą swoją i przykładem do unikania występków, a rozwoju cnót, co mogą poświadczyć wszyscy wielcy tego królestwa francuskiego”.

Arcybiskup dalej prowadzi rzecz w ten sposób: „Obowiązkiem naszym było składać dziękczynienie Sprawcy wszelkiego dobra za zesłanie nam tak pożytecznych współpracowników, a pasterska przezorność nasza zniewala nas prosić tegoż najlepszego i najwyższego Boga, aby ich nie opuszczał w potrzebach. Bóg usłyszał błagania nasze i w nieskończonej dobroci swojej przyjął prośby nasze. Przez długi czas na próżno szukaliśmy w dyecezyi naszej instytucji stałej i trwałej, gdy człowiek bardzo pragnący zbawienia dusz ks. Adryan le Bon i zakonnicy jego opactwa, widząc obfite owoce pracy tych Misjonarzy, prosili nas o zatwierdzenie ich zgody na połączenie trądowi św. Łazarza z kongregacją Misjonarzy. Gdy zaś mamy pewność, że wszystkie warstwy społeczeństwa, a szczególnie wioski odniosą stąd wielką korzyść, więc skłaniamy się ku słusznej ich prośbie, za zezwoleniem

papieża i króla, pod warunkami przez nich ustanowionymi. Ponadto chcemy, aby następcy nasi korzystali jak przedtem u św. Łazarza z przywilejów wszelkiej jurysdykcji i powagi, z prawem wizytacji w sprawach duchownych i doczesnych; aby księża Misyonarze odprawiali officya w chórze; nabywając fundacyę, aby w dalszym ciągu przyjmowali trędowatych do św. Łazarza, a rezydując w liczbie przynajmniej dwunastu kolejno, kosztem kongregacji, przebiegali wioski dyecezyi naszej, gdzie stosownie do potrzeby pozostawać będą miesiąc lub dwa. Nakoniec co kwartał nie przerywając misyi, przyjmować będą kandydatów do święceń dyecezyi Paryskiej, przysyłanych przez nas, których bezpłatnie utrzymywać mają przez dni piętnaście, odbywając z nimi ćwiczenia duchowne".¹⁾

Nazajutrz św. Wincenty objął w posiadanie opactwo św. Łazarza. Arcybiskup Paryski M-gr Jan Franciszek de Gondi, chcąc wobec całej dyecezyi dać dowód poważania i szacunku, jaki żywił dla tego skromnego kapłana, sam go instalował. Nie mamy protokołu tego solennego aktu; pamiętniki współczesne ograniczają się do zaświadczenia, że wszystko odbyło się ku ogólnemu zadowoleniu.

Gdy się to wszystko skończyło, zdawało się, że św. Wincenty powinien był w spokoju już tylko korzystać z tego klasztoru św. Łazarza, na którego przyjęcie tak trudno było zyskać zgodę jego, a w samem przyjęciu wykazał tyle bezinteresowności. Lecz są ludzie, którzy gotowi sprzeciwiać się wszystkiemu. Zaprzeczano wtedy ks. le Bon prawa ustąpienia z klasztoru swojego i grożono św. Wincentemu procesem, jeżeli nie zrzecze się ofiary. Na jedno słowo „proces”, nasz Święty nienawidzący zatargów, oświadczył gotowość opuszczenia wszystkiego. Na szczęście bardzo poważne osobistości wdały się w to, zwracając jego uwagę, że w sprawach gdzie idzie o chwałę Boga i zbawienie dusz, o wspomóżenie ubogich i o przyszłość kongregacji, która mogła przysporzyć tyle dobra Kościołowi, zniechęcać się i łatwo ustępować nie wolno. Zgodził się więc na proces, a w czasie gdy oskarżano go w wielkiej sali pałacu Sprawiedliwości, on w świętej kaplicy klęczał u stóp ołtarza i gorąco się modlił. Prosił Boga nie o swój własny tryumf, lecz o tryumf sprawiedliwości i o ducha

¹⁾ *Archives Imperiales*, cytowane przez Maynard'a I, 375—376.

poddania się zupełnego świętej Jego woli. W czasie długiej modlitwy swojej przyszła mu myśl zapytać siebie: czegoby najwięcej żałował z tego klasztoru, gdyby mu przyszło przegrać proces? Nie żałowałby wcale ani obszernych zabudowań, ani pięknego otoczenia i obmurowania, ani bogatego klasztoru, ani tylu korzyści, wynikających z tych posiadłości, dla powstającego Zgromadzenia; żałowałby biednych obłąkanych, zamkniętych w domku w ogrodzie stojącym.¹⁾

Wypowiedział to „naiwnie” osobie zaufanej. Naiwność i podniosłość doskonale się wzajem jednoczą.

¹⁾ Abelly, I t. rozdz. XXII str. 103.

ROZDZIAŁ II.

Ćwiczenia duchowne kandydatów do święceń. — Konferencye środowe. —
Początek reformy kleru. 1628—1635.

W akcie, którym M-gr Jan Franciszek de Gondi upoważniał św. Wincentego do objęcia klasztoru św. Łazarza, pod pewnymi warunkami, był, jak wiemy, warunek następujący: „Nakoniec chcemy, aby w czasie kwartalnych Suchych dni dorocznych, nie przerywając misyi, mistrz Wincenty à Paulo i uczniowie jego przyjmowali kandydatów do święceń dyecezyi Paryskiej przysyłanych przez nas, utrzymywali ich bezpłatnie przez dni piętnaście, odbywając z nimi ćwiczenia duchowne”. Kto wprowadził tę, tak doniosłą klauzurę, zajmującą poważne miejsce w historii Św. Wincentego i Kościoła Francuskiego? Czy to sam M-r de Gondi o tem pomyślał? A może raczej św. Wincenty sam go prosił o to? Zdawałoby się to ostatnie bardzo prawdopodobnem. W istocie, im więcej odbywano misyi, tem widoczniejszem się stawało, że nie przyniosą one należytego pożytku, jeżeli nie zostanie przeprowadzona reforma kleru samego. Co pomogą wysiłki misyonarza dla obudzenia wiary i cnoty wśród ludności wiejskiej, jeżeli nie zostanie ona następnie pod kierownictwem pobożnego i gorliwego kapłana! Nawet i przy dobrych pastarzach, jak prędko niestety! zacierają się wrażenia misyi? A cóż dopiero będzie, gdy wierni pobudzeni przemowami misyonarzy, nie znajdują następnie żadnego oparcia w proboszczu niedbałym, albo występny? A tego rodzaju proboszczów było wówczas bardzo wielu. Zepsucie obyczajów w wieku XV, wojny protestanckie XVI wieku stopniowo usunęły z widowni szkoły zakładane w wiekach średnich dla wychowywania kleru. Nie zajmowano

się prawie wcale ani rozpoznawaniem powołania, ani przygotowaniem do święceń. W pojęciach wielu kapłaństwo było jednym z zawodów chlebobajnych, który obierano sobie dla tego, że wydawał się łatwiejszym i pewniejszym od innych.

Prawda, że zostawała Sorbona i inne wielkie uniwersytety Francyi, lecz one podawały przedewszystkiem tylko naukę, a ta nie jest jeszcze cnotą. Co więcej, przystępnymi one były tylko dla niektórych, dla wyboru kleru, dla tych co mieli odpowiednie środki do prowadzenia przez dłuższy czas studyów w Paryżu, lub w innych wielkich miastach. Na domiar nie-szczęścia, ci, którzy się wykształcili w uniwersytetach, czuli się zanadto uczonymi, by mieli osiąść na wiejskiem probostwie; posługa tego rodzaju nie przypadła im do smaku.

Tym sposobem po wioskach był tłum kapłanów ciemnych, nieokrzesanych, źle wychowanych, a niekiedy występnych. A po miastach? Tam widywano po większej części kapłanów światowych, młodsze rodzeństwo znakomitych rodzin, którzy wstępowali do stanu duchownego nie z własnego wyboru; ubiegali się o wyższe posady, aspirowali do biskupstw, do kardynałskich godności, nie zawsze posiadając cnotę, dorównyującą ambicyom.

Dzięki boskości i owocności samej instytucyi Kościoła, było jednak wśród duchowieństwa bardzo wielu świątobliwych kapłanów, którzy szczerze boleli nad poniżeniem stanu kapłańskiego, było wielu pobożnych biskupów, zadających sobie udręczające zapytanie, w jakiby sposób mogli wyjść z tego położenia? Lecz nikt nie znalazł był do tego odpowiednio skutecznego środka.

Plakać się chce, czytając żywot świątobliwego biskupa, który przejęty gorliwością o uświętobliwienie kapłaństwa, wymagał, aby kandydaci do święceń jego dyecezyi mieli wolne popołudnie w wigilię wyświęcenia, dla przygotowania się do niego przez spowiedź jeneralną. Około trzech godzin wypowiadał im wspólne wszystkim upomnienie, a wieczorem rozsyłał wizytatorów do miejsc ich zamieszkania; ci mieli dowiadywać się o tych, którzy się źle sprawowali i tacy wykresłani byli na ten raz z listy mających odebrać święcenia.¹⁾

¹⁾ *Vie de messire de Donnadieu, évêque de Commiges* ks. III, rozdz. XXXIII.

W tym samym czasie (1628) inny świątobliwy pasterz Mgr Potier, biskup Beauvais, nie mniej boleśnie utyskiwał na smutny stan kleru. Przyszedł on raz dla pomówienia o tem ze św. Wincentym i usilnie go prosił o wskazanie lekarstwa na tak wielkie zło: „Ekscelencyo, odpowiedział Święty, idźmy wprost do źródła. Niepodobna poprawić duchownych zatwardziały w nieporządkach życia, bo zły kapłan prawie nigdy się nie nawraca. Więc do odrodzenia kleru dążyć trzeba przez podniesienie aspirantów do stanu duchownego, a nie tych, którzy już szaty kapłańskie oblekli. Do święceń trzeba przyjmować tylko tych, którzy nabyli odpowiednią naukę i posiadają wszystkie znamiona prawdziwego powołania, a i tych jeszcze trzeba możliwie najdłużej przygotowywać, aby stali się najgodniejszymi sprawowania świętych obowiązków swojego urzędu”. Biskup przyszedł do niezłomnego przekonania, że istotnie niema innego sposobu. Lecz jak przystąpić do tego z widokami powodzenia? Dzień i noc myślał, obawiając się, żeby cała powaga jego urzędu biskupiego nie rozbiła się wobec złej woli kandydatów. Gdy się to dzieje, w Lipcu 1628 r. biskup i nasz Święty razem odbywali podróż i wrócili do tego samego przedmiotu rozmowy. Oczy biskupa zamknęły się i zdawał się pograżać w sen głęboki, lecz wkrótce ocknął się i rzecze: „Ja nie spałem; poważnie myślałem o najlepszych środkach przygotowania młodych kleryków do święceń. Na razie nic lepszego uczynić nie mogę jak przyjąć ich u siebie i zatrzymać dni kilka, a zarządzić przez ten czas konferencye o rzeczach, które oni wiedzieć powinni i o cnotach jakie praktykować mają.” „O! Ekscelencyo, przerwał w świętem uniesieniu św. Wincenty”, a podnosząc głos nad zwykłą miarę skromności swojej, zawołał: — „to właśnie myśl od Boga pochodząca. To najwyborniejszy środek, aby powoli, stopniowo cały kler dyecezyi przyprowadzić do porządku”. Rozmowa w tym kierunku toczyła się długo; Św. Wincenty starał się zachęcać biskupa, a biskup coraz więcej zapalał się do swego projektu. W końcu przy rozstaniu Mgr Portier powiedział: „Ojciec mi dopomożesz do wykonania tego projektu. Ja przygotuję wszystko, a ksiądz napiszesz porządek ćwiczeń tych rekolekcyj i zarys przedmiotów, które mają być traktowane. Następnie zobaczyć się musimy w Beauvais na piętnaście lub dwadzieścia dni przed przyszlęciem wyświęceniem”. „Będę posłusznym, odpowiedział św. Wincenty, bardziej wierząc, że Bóg tego ode mnie

wymaga, gdy słyszę to z ust biskupa, niż gdyby anioł mi był to objawiał.”¹⁾

Istotnie na piętnaście dni przed wrześniowem święceniem św. Wincenty przybył do Beauvais w towarzystwie dwóch doktorów teologii: o.o. Duchesne i Messier’a. Miał ze sobą program ćwiczeń rekolekcyjnych, przygotowany w ciszy i wśród modlitwy, który odrazu był doskonałym, tak, że rekolekcyje w Beauvais służyły za wzór do wszystkich następnych, jakie prowadził. Biskup sam przewodniczył przy rozpoczęciu rekolekcyj. Dwóch doktorów teologii mówiło kazania; św. Wincenty zostawił sobie konferencyę, w których tłumaczył Dekalog w sposób tak jasny i pełen siły i namaszczenia, że prawie wszyscy odbywający rekolekcyje pragnęli odbyć u niego spowiedź jeneralną. Sam nawet Duchesne, na odpoczynek po głębokich kazaniach swoich przesiadujący u stóp ambony, tak czuł się wzruszony słowami św. Wincentego, że ku wielkiemu zbudowaniu rekolektujących kleryków, odbył przed św. Wincentym spowiedź z całego życia swego.

Co się tak dobrze udało w Beauvais, czemu by nie miało być pożytecznem w Paryżu? biskup z Beauvais mówił o tem z arcybiskupem de Gondi i ten wobec nalegań ks. Bourdoise rozkazał pismem z dn. 21 Lutego 1631 r., aby wszyscy aspiranci do święceń w jego dyecezyi obowiązani byli przygotowywać się do nich przez dziesięciodniowe rekolekcyje. O. Bourdoise myślał z początku zebrać kandydatów u siebie, lecz że dom jego był zaszczupły, więc prosił św. Wincentego, aby się tem zajął. Nasz Święty wahał się z początku, lecz w końcu przystał. W ten sposób rozpoczęły się ćwiczenia kandydatów do święceń w klasztorze Bons-Enfants, zmierzające ku odnowieniu kleru i ku wielkiemu dobru Kościoła. Odbywały się one co kwartał w czasie Suchych dni, na dni dziesięć przed święceniami. A były nawet lata, że trzeba było je pomnażać, tak wielki bywał napływ kandydatów, którzy nietylko z Paryża lecz i z sąsiednich prowincyj przybywali, nie chcąc otrzymywać święceń przed przygotowaniem się do nich pod kierunkiem św. Wincentego. Liczono ich od 80 do 100 przy każdych rekolekcyach, które odbywały się pięć i sześć razy do roku.

Nie starczyłoby środków na tyle wydatków, gdyby pobożne

¹⁾ Meynard, t. 25—26.

damy, znajome naszego Świętego nie przyszły z pomocą. Przy żywej wierze, z przeczuciem właściwym niewiastom chrześcijańskim, rozumiały one, że ze wszystkich dzieł pobożnych, to było najwyższem i najpotrzebniejszem. To też śpieszyły z chętną ofiarą. Prezydentowa de Herse przyjęła na siebie koszta rekolekcyj w ciągu lat pięciu; Margrabina de Meignelais, z domu de Gondi, zapisała w testamencie ośmnacie tysięcy liwrów na utrzymanie kandydatów, nie licząc tego, co wydawała na ten cel za życia; damy Miłosierdzia złożyły znaczną sumę. Nakoniec sama królowa Anna Austriacka wciągnięta została przez swoje damy honorowe na jedno z ćwiczeń rekolekcyjnych kandydatów do święceń. A gdy wyszła mocno wzruszona, jedna z dam powiedziała: „O, Pani, to właśnie należałoby zamienić w trwałą instytucję!” Królowa obiecała pomyśleć o tem, a tymczasem zobowiązała się po upływie zapowiedzianego przez panią de Herse pięciolecia, przyjąć na siebie utrzymanie kandydatów przez następne lat pięć.

W ćwiczeniach tych pociągała ku sobie sama osoba ś. Wincentego. Nieznany jeszcze nikomu wczoraj, ukazuje się na widowni w całym blasku pobożności, pokory, miłości Boga, świętobliwej wymowy. „To wszystko wzbudzało zachwyt. Śpieszono codziennie na Mszę św., przez niego odprawianą. Jak gorąca wiara! jakie skupienie! jak głębokie i czułe zjednoczenie się z najczcigodniejszą Ofiarą! Jakie przeobrażenie się wyrazu twarzy i całej nawet postaci w czasie komunii! Wszystko to starczyło za kazanie.”

Z drugiej zaś strony jaka skromność i delikatność w obejściu się z ordynandami! Jak on uspasabiał swoich braci misyonarzy do troszczenia się o nich i do posługi kapłanom, przybywającym na ćwiczenia! „Oddawać się posłudze dobrym kapłanom, mawiał on, jest to służyć Jezusowi Chrystusowi, który przez czas swego ziemskiego życia miał największą troskliwość o wyrobienie dwunastu dobrych kapłanów, którymi byli apostołowie; w tym też celu kilka lat pozostawał z nimi, aby ich nauczyć i przygotować do Boskiej służby... My zaś powołani zostaliśmy przez Boga do pracy nad tem arcydziełem; bo istotnie co na świecie jest równie wielkiem, podniosłem i ważnem jak kapłaństwo? Księstwa i Królestwa nie wyrównają mu. Król nie może, tak jak kapłan, przemienić chleb w Ciało Pana Naszego, nie może odpuścić grzechów, nie posiada tych

wielkich skarbów, przewyższających wszelkie doczesne bogactwa. Oto posłannictwo nasze. Lecz my sami, czem jesteśmy wobec dzieła tego? Jesteśmy słabymi, ułomnymi ludźmi, biednymi wyrobnikami, chłopami; co za stosunek pomiędzy nędzą naszą, a tym urzędem tak świętym, tak świetnym tak niebiańskim posłannictwem?... A jednak nam to dał Bóg tę wielką łaskę przyczyniania się do podniesienia i odnowienia stanu duchownego? Nie poruczył Bóg tego ani uczonym doktorom, ani tylu zgromadzeniom zakonnym i religijnym, pełnym nauki i świętobliwości, lecz zwrócił się z tem do tego naszego ubogiego i nędznego Zgromadzenia, ostatniego z pomiędzy istniejących, i niegodnego tej łaski Jego. Co znalazł w nas Bóg godnego do spełnienia tak wielkiego dzieła? Gdzie są piękne czyny nasze? Gdzie czynności świetne, przez nas wykonane? Gdzie wielkie zdolności do tego potrzebne? Niczem poszczycić się nie możemy, a jednak nam nędznym biedakom, głuptaskom, Bóg w niezbadanej swej woli porucza dzieło naprawienia szczerb w dziele królestwa Syna swego i w stanie duchownym. O! bracia! dobrze zachowujmy tę łaskę uczynioną nam przez Boga, przez wybór nas przed tylu innemi osobami, pełnemi nauki i świętości, którzy o wiele więcej od nas na nią zasługiwały. Jeżeli przez niedbalstwo nasze stanie się ona nieużyteczną, to odejmie ją Bóg od nas, a da ją innym, a nas ukarze za wiarołomstwo nasze. Kto z nas będzie przyczyną tak wielkiego nieszczęścia, kto pozbawi Kościół tak wielkiego dobra? Może ja nędzny? Niech każdy z nas zajrzy do sumienia swego i zapyta siebie: Czy nie ja będę tym nieszczęśnym? Niestety! dość jest jednego nędznika takiego, jakim ja jestem, który obrzydliwością swoją odwróci łaski nieba od domu całego i sprowadzi nań przekleństwo Boże. O, Panie! który widzisz mnie całego pogrążonego i przepełnionego grzechami obciążającymi mnie, nie pozbawiaj z mego powodu łask Twoich tej małej gromadki. Spraw, niech ona dalej wiernie służy Tobie w pokorze, a niech współdziała zamiarom, które zdaje nam się, że masz, abyśmy w spełnieniu służby Twojej użyli wszystkich sił naszych ku podniesieniu i odnowieniu czei Twojej w Kościele Twoim”.

„Na szczęście, mówi dalej, mamy modlitwę; z nią wszystko możemy. Człowiek najbiedniejszy, najnędźniejszy modląc się może dać Kościołowi dobrego kapłana. Może się też to stać przez modlitwy brata, który się nawet nie zbliży do ordynan-

dów. Będąc zajętym zwyczajną pracą swoją, może się często wznosić myślą ku Bogu, i błagać Go, by raczył błogosławić przyszłym święceniom i stać się może, iż gdy się wcale tego nie spodziewa, Bóg wypełni prośbę jego ze względu na dobre usposobienie serca jego. Czytamy przecież w psalmach: *Desiderium pauperum exaudivit Dominus...* W tem miejscu raptownie Wincenty zatrzymał się, nie przypominając sobie dalszego ciągu wiersza i wedle swego pokornego zwyczaju, w sposób poufały i wzruszony, zarazem, zwraca się do swoich asystentów z zapytaniem: „Kto mi podpowie dalszy ciąg?” Jeden z nich skończył: *„Praeparationem cordis eorum audivit auris tua. „Niech ci Bóg błogosławi, mój bracie!”* odpowiedział Święty. Była to zwykła jego podzięką. I zachwycony pięknością tego ustępu, powtórzył go kilka razy z uniesieniem radości i pobożności, a nasyciwszy się niejako tem dodał, aby własny zapal udzielić uczniom swoim: „Cudowna to mowa, godna Ducha świętego: „Wysłuchał Pan pragnienia ubogich, usłyszał przygotowanie serca ich”, wskazuje nam ona, że Bóg wysłuchuje prośby dobrze usposobionych, a wysłuchuje je nawet przedtem, nim Go proszą o to. Wielka w tem jest pociecha i powinniśmy istotnie zachęcać się do służby Bożej, chociaż widzimy w sobie samą nędzę i ubóstwo”.

Żądał, aby modlitwa łączyła się z pokorą i serdecznością. „Odnosmy się do ordynandów z poważaniem i względnością, nie okazujmy im swojej wyższości, lecz obsługujmy ich serdecznie a pokornie... Miejmy szczególną bacność na to, by otrzymali od nas niezwłocznie to wszystko, co może ich zadowolnić; bądźmy uważni a nawet domyślni w opatrywaniu ich potrzeb, odgadując, o ile można, ich skłonności i żądania i uprzedzajmy ich chęci, aby zadosyć im uczynić, o ile będą słuszne”. Gdy przybywali na miejsce, żądał aby u bramy spotykał ich jeden z kapłanów, przyjmował od nich pakunki małe i odprowadzał do przeznaczonego pokoju, a następnie często tam zaglądał, aby się dowiedzieć, czy czego nie potrzebują. Sam w tem wszystkim dawał dobry przykład. Lubił wychodzić na ich spotkanie, szedł przed nimi po korytarzach ze światłem w ręku; zatrzymywał się, by ostrzegać przed stopniami schodów, aby uprzedzać możliwe potknięcie się. Widziano nawet niekiedy jak oczyszczał obuwie ordynandów, gdy liczba posługujących lub braciszków nie wystarczała.

Podczas rekolekcyj odbywały się dwie konferencje z ordynandami: zrana o najpotrzebniejszych i najpraktyczniejszych punktach służby kościelnej, a wieczorem o cnotach wymaganych do przyjęcia święceń. Św. Wincenty chętnie się podejmował tych nauk wieczornych. Jakimi wyrazami podnosił wielkość i świętość kapłaństwa! Jak malował spustoszenia, które sprowadzają na świat źli kapłani! „Tak, my jesteśmy przyczyną tego spustoszenia, które nawiedza Kościół; tego oplakanego uszczuplania się dzieci Kościoła, jakie widzimy w tylu miejscach. Wyparto nas prawie zupełnie z Azji i Afryki, nawet ze znacznej części Europy, jak ze Szwecyi, Danii, Anglii, Szkocyi, Irlandyi, Holandyi i w innych prowincjach, a także po części z Niemiec. A iluż to heretyków widzimy we Francyi!... Tak, o Panie, my to wyzwaliliśmy gniew Twój; nasze to grzechy sprowadziły te klęski: to klerycy i ci którzy aspirują do stanu duchownego, to subdyakoni, to dyakoni, to kapłani, my którzy jesteśmy kapłanami: to my sprawiliśmy to spustoszenie w Kościele”. A wchożąc w bliższe szczegóły przebiega różne stopnie stanów kościelnych swego czasu. „Jedni są nieużyteczni: odmawiają brewiarz, odprawiają Mszę św. i to jeszcze bardzo lichy; niektórzy administrują opieszale święte Sakramenta — i to wszystko. Lecz wielka liczba takich, którzy żyją w występku i rozproszeniu”. I mówił o kapłanach całej jednej prowincyi tak oddanych pijaństwu, że trzeba było zebrać zgromadzenie biskupów, aby wyszukać lekarstwo na to hańbiące zło, a nie można go było znaleźć. Dla pocieszenia zaś siebie i swoich, dodaje: „Nie znaczy to, żeby wszyscy kapłani żyli w takim upadku. Nie, o Panie! jest wielu prawdziwie świętobliwych duchownych. Tylu z nich przybywa tu na rekolekcje; proboszczowie i inni kapłani umyślnie zdaleka tu podążają, by zaprowadzić u siebie ład wewnętrzny. A iluż to jest dobrych i świętobliwych kapłanów w samym Paryżu! Wielka ich liczba i pomiędzy odbywającymi rekolekcje, zgromadzającymi się tu, żadnego nie ma, któryby nie był człowiekiem godnym naśladowania; wszyscy pracują w winnicy Pańskiej i owoce przynoszą. Jeżeli zaś są na świecie źli duchowni,—a ja jestem najgorszym, najniegodniejszym i największym ze wszystkich grzesznikiem,—natomiast są tacy, którzy chwalą Boga świętobliwością żywota swego”. ¹⁾

¹⁾ Maynard, t. II, 33—34.

Tak trzeba mówić o sobie, aby mieć prawo mówić o innych w podobny sposób.

W takich warunkach, nic dziwnego, że ze wszystkich stron dążono na konferencye do św. Łazarza. Przechodziło tą drogę corocznie pięć czy sześć setek młodych kapłanów, a pomiędzy nimi wybór kleru francuskiego. W tej liczbie wymienić musimy o. Olierą, który wkrótce ufunduje Saint-Sulpice. ¹⁾ Armand-Rancé, ²⁾ który zreformuje Trapistów (1648), opata Fleury, przyszłego autora historyi Kościoła, Bossuet'a który wkrótce napisze do Papieża Klemensa XI: „Od młodości naszej poznaliśmy się z czcigodnym kapłanem Wincentym à Paulo i w pobożnych jego rozprawach czerpaliśmy prawdziwe zasady pobożności chrześcijańskiej i dyscypliny kościelnej: wspomnienie o tem, nawet i w późniejszym wieku, ma dla nas cudowny urok”. ³⁾

A wielu to jeszcze moglibyśmy przytoczyć! Więcej niż ośmdziesięciu biskupów, a doktorów bez liku. „O! Ojcowie, mówił św. Wincenty do swoich księży, nie przez naukę przyniesiecie im korzyść, ani przez te piękne rzeczy, które moglibyście im powiedzieć; bo oni uczeńsi są od nas. Większa ich część to bakalarze, a niektórzy licencyaci teologii, inni znów doktorowie prawa i mało jest takich, którzyby nie znali filozofii i jakiejś części teologii. Prowadzą oni codzienne dysputy i nic prawie z tego, co można im powiedzieć, nie będzie dla nich nowością; czytali już to, lub słyszeli o tem. Sami powiadają, że nie to ich wzrusza, lecz wzruszają ich praktykowane tu cnoty”.

Te pierwsze lata ćwiczeń ordynandów, miały wielki i głęboki, choć początkowo ukryty, wpływ na Kościół Francuski. Wzbudziły one ogień żarliwości kapłańskiej, wytworzyły zapal. Wielu przywiodły do tego, że już się nie rumieniono wstydlawie ze swego miana kapłańskiego, z wykonywania świętych obrzędów, lecz chlubiono się niemi. P. de Gondi dawny jenerał galer, p. de la Rochefoucauld, tak wielki człowiek, p. Olier, Bossuet, spełniali po parafiach paryskich skromne funkcje dyakonów, subdyakonów akolytów, ku wielkiej radości o.

¹⁾ M. Faillon. *Vie de M. Oliver* I, 62.

²⁾ Dubois. *Vie de l'abbé Rancé* I, rozdz. X.

³⁾ Floquet, *Études sur la vie de Bossuet*, t. I, 163.

Bourdoise, w oczekiwaniu, że w dyecezyach i na probostwach ich zakwitnie pobożność i dyscyplina kościelna.

„Trzeba, żebyście wiedzieli, pisał św. Wincenty w 1633 r., że w pięć lat zaledwie po zaprowadzeniu tych ćwiczeń, podobało się Bogu zesłać na te tak szczególne błogosławieństwo, jakiego żadną miarą nie mogliśmy się nawet spodziewać. Wszyscy, którzy przez nie przeszli, a przynajmniej większość ich część, prowadzą życie, jakie przystoi dobremu duchownemu. Wielu jest obdarowanych od Boga szczególnymi darami i przymiotami; wiedzą oni żywot tak uregulowany, jak nasz i oddani są więcej od wielu z nas życiu wewnętrznemu; ma się rozumieć, że więcej ode mnie. Czas ich jest ściśle uporządkowany, oddają się częstej modlitwie myślniej, pobożnie celebrują Mszę Świętą, codziennie jak my czynią rachunek sumienia; przykładają się do odwiedzenia szpitali i więzień, gdzie katechizują, miewają kazania, spowiadają; uczęszczają też do kolegów, a wszystko to ze szczególnem błogosławieństwem Bożem. Pomiedzy wielu innymi, dwunastu czy piętnastu jest w Paryżu, którzy, żyjąc w podobny sposób, zajmują poważniejsze stanowiska; o czem sława rozchodzi się już wśród publiczności”. ¹⁾

Ten duch pobożności kapłańskiej zaczął przynosić owoce. Nietylko zaprzestano rumienić się wstydlawie z powodu miana i czynności tego świętego stanu, lecz poczęto spostrzegać wielkich panów, opuszczających najwyższe stanowiska swoje, a zostających prostymi kapłanami. Pan de Gondi dał pierwszy przykład; komandor de Sillery wstąpił w jego ślady; następnie tą drogą poszedł P. de Ventadour. „Był księciem, a został księdzem”, ²⁾ powiedział św. Wincenty. „Wielu zaczyna ich naśladować. Pan de la Marguerie, przed tem pierwszy prezydent prowincji, przed dziesięciu dniami przyjął święcenia. Pomiedzy ordynandami mamy członka wielkiej Rady i ministra skarbu, którzy z ducha pobożności pragną być prostymi kapłanami. P. de Mégrigny adwokat jeneralny najwyższego trybunału wraz p. Brandon usunęli się do Saint-Mauv w tym samym celu.” ³⁾

¹⁾ Lettres de Saint Vincent de Paul I, 77 № 64 à M. du Couray 5.VII 1633.

²⁾ Lettres I № 77.

³⁾ Lettres I № 275.

Z tegoż grona zaczęli występować na widownię biskupi. Św. Wincenty pisze: „Zgromadzenie duchownych miasta Paryża ¹⁾ robi jak mi się zdaje, coraz większe postępy. Trzech biskupów wyłoniło się zeń: ks. Godeau do Grasse; ks. Fouquet do Bayonn'y; ks. Pavillon do Alet; a ks. Barreau²⁾ świeżo został mianowany przez króla na koadjutora do Sarlat, bez uprzedniego zgodynia się ks. biskupa. Bóg dobrze usposobił ks. de Seausse; żył on świętobliwie i taka też była śmierć jego”.

Ćwiczenia te chociaż były bardzo pożyteczne i zrobiły wiele dobrego, to jednak nie mogły jeszcze wystarczyć. Ogień zapłonął, trzeba go było rozniecać i podtrzymywać, trzeba było wynaleźć coś takiego, co by dawało możność tym młodym kapłanom zdobywać sobie zahartowanie u samych źródeł kapłaństwa. Św. Wincenty myślał o tem, ale że był to człowiek który wcale się nie śpieszył, więc uprzedził go inny, czego jednak on zgola nie żałował.

Pewnego dnia przyszedł do niego młody kapłan, jeden z tych, którzy się kształcili na ćwiczeniach ordynandów i zapytał, czy nie uważałby za dobre, aby wszyscy ci którzyby chcieli zachować się w łasce otrzymanej przy wyświęceniu, zgromadzali się co tydzień u Św. Łazarza dla usłyszenia kilku słów budujących celem odnowienia swych dobrych postanowień”. „O, mój synu, odpowiedział św. Wincenty, myśl ta z nieba pochodzi. Jednak trzeba jeszcze rozważyć i modlić się”. Poszedł niezwłocznie do arcybiskupa Paryskiego ks. de Gondi rozmówić się, a nawet napisał do Papieża, który pochwalił projekt i błogosławił mu.

Kto to był ten młody człowiek, który powziął piękną inicjatywę konferencji środowych? Niektórzy sądzą, że był to ks. Olier. ³⁾ To tylko jest pewnem, że wszyscy historycy współcześni wymieniają go na pierwszym miejscu wśród uczestników tych konferencji i że nikt nie przyczynił się tyle co on do dobrej ich organizacyi, pod kierunkiem św. Wincentego. ⁴⁾

¹⁾ Zgromadzenie nazywano środowem. Uczęszczali nań najprzykładniejsi kapłani i z niego też za radą św. Wincentego wybierano po większej części biskupów.

²⁾ Ks. Barreau był koadjutorem Ludwika II de Salignac z Lamothe-Fenelon, lecz nie nastąpił po nim.

³⁾ Faillon. *Vie de M. Olier*. I. 68 i 78.

⁴⁾ Abelly powiada inaczej ks. II rozdz. III.

Konferencye te, z których pierwsza wypadła 25 czerwca 1633, a druga 9 lipca, odbywały się co środa. Przychodzono na nie ze wszystkich dzielnic Paryża. Ale nie trzeba sobie wyobrażać, że były to tylko poprostu konferencye, na które przychodziło się, pragnąc posłuchać św. Wincentego. Nasz Święty obdarzony największym darem organizacyjnym, sam nakreślił ich regulamin.

Pod dyrekcyą jeneralnego superyora Misyi, zostawał prefekt, dwóch asystentów, sekretarze; oni składali biuro, którego obowiązkiem było zarządzać konferencyami. Dla przystąpienia wyomagana była oficjalna rekomendacya trzech członków i przyjmowano li tylko po zebraniu poważnych informacyi. Dyrektor wprowadzał sam na zgromadzenie nowo przybywającego, na klęczkach ściskając go, co też czynili wszyscy członkowie. Od tej chwili nowoprzybywający zostawał pod dyrekcyą prefekta, który mówił mu o wadach jego, odwiedzał go, lub polecał odwiedzać w czasie choroby oraz w innych potrzebach zwłaszcza w godzinę śmierci, i ze wszystkimi współbraćmi asystował przy pogrzebie jego. Wszyscy członkowie konferencyi powinni się uważać za związanych wzajemnie w Jezusie Chrystusie mnogimi węzłami miłości, powinni się wzajemnie kochać, nawiedzać, pocieszać jedni drugich i pomagać sobie, aby się stać godnymi Pana Naszego. Zgromadzenie ogólne odbywało się co tydzień, we środę o godzinie drugiej w domu św. Łazarza. Ci, którzy przybyć nie mogli, musieli wytłumaczyć się z powodów nieobecności przed prefektem. Zebranie rozpoczynało się przez odśpiewanie *Veni Creator*, zaintonowanego przez klęczącego dyrektora; poczem mówiło się o przedmiocie wskazanym na poprzedzającej konferencyi; każdy miał prawo przyjęcia udziału w dyskusyi. Potem dyrektor streszczał rozprawy, podawał rady, które mu się zdawały pożyteczne i kończył kilku słowami „prostymi a wzruszającymi”. To ostatnie zadanie spełniał zwykle św. Wincenty z niesłychanem powodzeniem. Nie miał pretensyi do krasomówstwa; lecz przed każdym przemówieniem, wiele się modlił, głęboko rozważał Pismo Św., serce miał przepełnione miłością Boga i ludzi, a wynikiem tego wszystkiego były słowa proste, gorące, żarliwe, które zachwycały umysły i porywały serca. Gdy na konferencyę przychodził biskup jaki, a św. Wincenty à Paulo jak zwykle, jemu ustępował słowa, słuchacze żalowali tego. Często nawet po przemówieniu biskupa, wszyscy upraszali

Świętego, aby przemówił, co zwykle budziło w nim zaniepokojenie, a słowem jego nadawało nowego powabu. Bossuet pisze: „Uczestniczyliśmy w tem Zgromadzeniu pobożnych duchownych, którzy zbierali się co tydzień, aby rozprawiać o rzeczach Bożych. Wincenty był autorem i duszą tych zebrań. Gdy chciwie słuchaliśmy słów jego, to nie było nikogo, któryby nie czuł spełniających się słów Apostoła: „Mówi kto z was, niech słowo jego będzie jako od Boga”. A o. Tronson drugi z kolei superyor od św. Sulpicyusza, tak spokojny, tak surowy, tak poważny, nie mógł powstrzymać uniesień swego zachwyty: „Oto, mówił, człowiek całkiem Bogiem napełniony!” Ostatniem słowem zgromadzających się kapłanów, było po każdej śródowej konferencji wyznanie przed ks. ks. Misyonarzami: „O jak szczęśliwi jesteście, codziennie widując i słysząc słowa człowieka tak przepełnionego miłością Boga!”

Lecz oprócz pierwszego wielkiego skutku słów św. Wincentego, rozgrzania serc wszystkich i przygotowania w ten sposób reformy kleru, był jeszcze owoc inny, nie tak doniosły, który jednak nie powinien być pominięty. Prostota charakteryzowała słowa Św. Wincentego: „przedziwna jego prostota”, jak mówi Bossuet, a z nią tkliwość jego, miłość ku Bogu i ku ludziom, a również czystość źródeł, z których płynęły te słowa: Pismo Święte, przykłady i słowa Jezusa Chrystusa, głęboka znajomość potrzeb i namietności serca ludzkiego. Otóż tego wszystkiego bardzo brakowało w przemówieniach ewangelicznych tej epoki. Zamiast przytaczania słów Pisma Świętego na potwierdzenie podawanej nauki, przytaczano poetów pogańskich. Ojciec Cotton spowiednik i kaznodzieja Henryka IV, aby dowieść potęgi śmierci, przyzywa Homera, Virgila, Horacego i bez wyboru i smaku miesza razem ze wszystkimi odkryciami medycyny, tyczącemi się niedomagań i słabości ciała ludzkiego. Ojciec Senault nie mniej przytacza tekstów greckich i łacińskich, dla dowiedzenia potęgi szatana. Mówiono po łacinie, a długi czas przemawiano wobec kobiet i skarbników parafialnych po grecku. Aby tak źle mówić, trzeba było wiele nużyć swoją pamięć. ¹⁾ A gdy nie zaczęli poetów starożytnych, to uciekano się do scholastyków; i wtedy powsta-

wały podziały, rozdziały i podrozdziały, co sprawiało, że Ojciec Rapin powiedział, iż czytanie św. Tomasza, tak poważnego i metodycznego, tworzyło więcej złych kaznodziei, niż dobrych. A co już mówić o stylu? „o tej nastroszonej i napuszonej” formie, której wytworny smak i geniusz św. Franciszka Salezego zaledwie zdołał uniknąć, a która rozwinęła się była w pełni w dziełach najukochańszego ucznia i przyjaciela jego, ks. Camus, biskupa z Belley.

Gdy tylu kapłanów zbierało się na owe śródowe konferencje, gdzie rozprawiano o przedmiotach dogmatu i moralności, niemożliwem było, aby nie wnosili też tam czegoś z tego złego smaku, panującego powszechnie. Lecz św. Wincenty był nieubłagany pod tym względem. Prostota święta i boska prostota,—ją tylko uwzględniał. Ganił i niekiedy surowo ganił tych, którzy się z niej wyłamywali. „Proszę sobie wyobrazić, pisze on, że podczas jednego wyświęcenia, musiałem dwa razy rzucać się do stóp jednego z kapłanów, i prosić go, by się nie błakał po tej pięknej drodze, a on nie chciał mię usłuchać. Lecz Bóg uwolnił nas od tego czczego i próżnego ducha”. ¹⁾ „A jeszcze Bogu wiadomo, że trzy razy, w ciągu trzech dni z rzędu na kłęczkach prosiłem innego kapłana, który wówczas należał do Zgromadzenia, a dziś już w niem nie jest, a prosiłem na wszystko możliwe, aby kazał z ambony i mówił z prostotą, i nie mogłem tego wyprosić u niego. Mówił on o święceniach, i mówił bezowocnie, a całe to wyszukane nagromadzenie myśli i misternych peryodów z dymem ulatywało; bo istotnie tak jest, że nie przepych słów działa na dusze, lecz prostota i pokora pociągają ku sobie i sprowadzają do serc łaskę Jezusa Chrystusa”. To też w prędkim czasie prostota słów stała się siłą i prawem u św. Łazarza. „Zgromadzenie externów, którzy przybyli na konferencje do św. Łazarza, złożyło obietnicę, że będą traktować przedmiot z pełną prostotą, a gdy tylko który poczynął mówić nazbyt uczenie lub językiem kwiecistym, wnet skarżono mi się i proszono o zapobieżenie; ostatnio prosił o to o. Tristan, doktor teologii, należący do zgromadzenia naszego. Pan Nasz pozwala, aby każdy chciał być z nami.” ²⁾ „Czy uwierzylibyście, Ojcowie, pisał Święty z tego powodu, że aktorzy teatralni poznawszy to, zmienili sposób

¹⁾ Lettres III № 121.

²⁾ Lettres I 397.

mówienia i nie recytują już wierszy swoich podniosłym głosem, jak to dawniej było we zwyczaju, lecz deklamują umiarkowanie, jakby zwyczajnie przemawiali do słuchaczy. Mówiła mi to pewna osoba, która była niegdyś aktorką. Otóż jeżeli dla większego przypodobania się światu można to było wyrobić w aktorach teatru, to wstyd by było kaznodziejom Jezusa Chrystusa, gdyby nie miało nad nimi mocy uczucie gorliwości o zbawienie dusz".¹⁾

Często biskupi przychodzili na te konferencje i zabierali głos. Jeżeli który z nich wpadał w ów ton „nastroszony i napuszony”, to dobry nasz św. Wincenty w milczeniu zagłębiał się w ławce swojej i młodzi księża z tej postawy jego poznawali, jakiej przykrości doznawał. Jeżeli zaś przeciwnie biskup mówił z prostotą, to św. Wincenty rozjaśniał się. Biskup z Sarlat przyszedł do św. Łazarza dla wypowiedzenia nauki; nasz Święty poszedł do jego pokoju i powiedział mu: „Ekscelencyjo, nawróciłeś dziś mnie. Jakim to sposobem, Ojczy? Bo wszystko, co mówił było wypowiedzianem z taką dobroduszością, z taką prostotą, że przez to do głębi mnie wzruszyłeś; to też chwaliłem i błogosławiłem za to Boga”. „Ach, ojczy, rzecze biskup, muszę wyznać z równą prostotą, że mógłbym wypowiedzieć coś bardziej gładkiego, bardziej wzniosłego, lecz obraziłbym Boga, gdybym to był uczynił”. Zbudowany tem coraz bardziej św. Wincenty nie omieszkiał, wedle zwyczaju swego, napisać do nieobecnych swoich Misyonarzy o tej przemowie i o swej z biskupem rozmowie. To też czytamy dalej w przytoczonym powyżej liście: „Ordynandzi nasi oddalili się stąd i dzięki Bogu oddalili się w wielkim zadowoleniu, budując nas tem. Ks. biskup z Sarlat przemawiał wieczorem cudownie; bliżej rozważając przyczynę tego powodzenia, widzę, że sprawiła to skromność i ścisłe trzymanie się projektu przemówień, bez dodawania myśli ciekawych lub słów nowych, jak to przedtem niektórzy czynili, psując wszystko przez odstępstwo od zwykłej metody i prostoty, i przez zboczenia od właściwego przedmiotu”.²⁾

Nikt nie był większym nad Bossueta przyjacielem tej prostoty, nikt lepiej od niego nie korzystał z tych szacownych wskazówek. To też Floquet powiada: „Szczytą p r o s t o t a

św. Wincentego głęboko wzruszała Bossuet'a, który i sam ją posiadał; dokońca też życia codziennie mówiąc o nim, o cudach jego miłosierdzia, o tylu nadzwyczajnych przymiotach jego, którym miał szczęście zbliżka się przyglądać, zawsze powracał do podnoszenia ze szczególnym zachwytem tego, co go wzruszało najwięcej: prostota, przedziwna prostota, powtarzał z wyraźnym wzruszeniem; i wiadomem było od tych, którzy bliżej z nim żyli, że ten znamienity przymiot Świętego kapłana, był niewyczerpanem źródłem rozważań wielkiego biskupa”.¹⁾ Zachował on żywo głębokie wspomnienie o tem przez całe swe życie, i miał to za stałą regułę w swoich przemowach.

Konferencje te, na które schodzili się ludzie wysoko wykształceni, elita kleru, gdzie było i przemawiało tylu najlepszych biskupów, nie mogły nie poruszyć całego Paryża. Wiadomość o nich doszła do Richelieu'go; ten po części z pobożności, po części z polityki, nie chcąc, żeby cośkolwiek poważniejszego po części z polityki, nie chcąc, żeby cośkolwiek poważniejszego dziać się mogło bez jego wiadomości, zaważwał do siebie św. Wincentego i zażądał zdania sobie sprawy z natury, celu i postępów jego konferencji. Zachwycony tem, co usłyszał, prosi go o wytrwałość we wszystkich dziełach, obiecał mu swoją protekcję, zalecając przy tem, aby zobowiązał się przychodzić do niego od czasu do czasu. Przy końcu rozmowy prosił go o spis członków konferencji z oznaczeniem tych, których uważał za najodpowiedniejszych do zajęcia katedr biskupich. Sam zapisał ich nazwiska celem przedstawienia ich królowi. Potem go pożegnał. Wnet po tej wizycie powiedział księżnie d'Aiguillon: „Miałem wyobrażenie o o. Wincentym wysokie, lecz po ostatniej z nim rozmowie, uważam go za człowieka zupełnie niezwyklego”. Richelieu dotrzymał słowa i wypromował na biskupstwa wielu uczniów św. Wincentego.²⁾

Co rozpoczął Richelieu, to po jego śmierci chciał dalej prowadzić Ludwik XIII. Po wiele razy tajemnie posyłał do naszego Świętego, domagając się spisu kapłanów, których on uważał za godnych biskupstwa. Święty chętnie udzielał spisu żądanego, lecz pod warunkiem zachowania bezwzględnej tajemnicy przez króla i przez ministrów. „Bo w przeciwnym razie,

¹⁾ Id. 228.

²⁾ Meynard II, 43.

¹⁾ Floquet. Vie de Bossuet I, 167.

²⁾ Maynard II, 74.

konferencye środowe zamiast urabiania świątobliwości zaludniać się będą hypokrytami i karyerowiczami.

W ten sposób rozpoczęła się reforma kleru; w ten sposób kopano pierwsze fundamenta pod budowę wielkiego Kościoła Francyi. Powiadam pierwsze fundamenta, bo jakkolwiek bardzo ważnemi były te ćwiczenia ordynandów i konferencye środowe, to jednak nie mogły jeszcze one wystarczyć. Wywierały one swój wpływ li tylko na duchowieństwo Paryża i jego okolic, a nawet przeważnie na sam tylko wybór tego duchowieństwa; zaledwie zaś znane były na prowincyi. Dla odrodzenia duchowieństwa francuskiego trzeba było czegoś głębszego, czegoś powszechniejszego, co by mogło w sposób odżywczy objąć wszystkie dyecezye. Trzeba było wypełnienia tego co concylium Trydenckie przewidywało, co św. Karol Boromeusz próbował, choć po części, urzeczywistnić, to przed czem cofał się jako przed rzeczą zbyt trudną św. Franciszek Salezy; trzeba było tego, co po urzeczywistnieniu wytworzyło wielkość, potęgę i obfitość Kościoła francuskiego, — słowem, trzeba było seminaryów.

ROZDZIAŁ III.

Seminarya. 1635—1642.

Pomiędzy dyscyplinarnymi dekretami Św. soboru Trydenckiego niema może ważniejszego, mającego zbawienniejszy wpływ na Kościół wogóle, a w szczególności na Kościół Francuski, nad dekret o ustanowieniu Seminaryów. Podpisując go Ojcowie wydali okrzyk radości i oświadczyli, że gdyby Sobór nie wydał był innych prócz tego owoców, to już czuliby się dostatecznie wynagrodzonymi za trudy swoje. Jeżeli oni tak mówili, to cóż powiemy my, którzyśmy oglądali urzeczywistnienie tego dekretu, po przełamaniu tylu trudności nieskończonych, którzyśmy widzieliśmy przygotowanie duchowieństwa coraz lepszego, coraz pobożniejszego?

Przytoczmy przedewszystkiem słowa św. Soboru Trydenckiego: „Mając na względzie, że młodzież jeżeli nie jest dobrze wychowaną, zostaje skłonną do pożądliwości świata i że bez wszechmocnej i szczególniejszej pomocy Bożej nie może nieustannie utrzymywać się i wytrwać w karności kościelnej, jeżeli od najwcześniejszego wieku swego nie będzie przykładając się do pobożności i religii, przedtem nim przyzwyczajenia występne opanują ją całkowicie,—świąty Sobór rozkazuje, aby wszystkie kościoły katedralne, metropolitalne i inne wyższe od nich, każdy stosownie do rozmiarów swej władzy i obszaru dyecezyi, utrzymywały i obowiązane były do żywienia, wycho-

wywania w pobożności i nauczania karność kościelnej pewnej liczby dzieci swego miasta, dyecezyi lub prowincyi w kolegium przez biskupa obranem w pobliżu samego kościoła, lub w innem odpowiednim miejscu.

„Do kolegium tego mogą być przyjmowani chłopcy, mający przynajmniej dwanaście lat wieku, urodzeni z prawego małżeństwa, umiejący nieźle czytać i pisać, których dary przyrodzone i dobre skłonności mogą budzić nadzieję o ich użyteczności w służbie Kościołowi. Święty Sobór chce, aby wybierano głównie z pośród dzieci ubogich; nie wyłącza jednak i bogatych, którzy wstępować mogą na swój koszt i którzy ujawniają szczerą chęć służenia Bogu i Kościołowi.

„Biskup podzieliwszy te dzieci na tyle klas, ile mu się zda najlepszem, stosownie do ich liczby, ich wieku i postępów w dyscyplinie kościelnej, jedną z tych części używać będzie do posługi w kościołach, gdy uzna to za właściwe, a innych zatrzyma w kolegium dla nauki, pomieszczając tam wciąż nowych na miejsce tych, którzy stamtąd odwołani będą: w ten sposób, aby kolegium było nieustannem seminaryum (uczelnia) dla służby Bożej.

„Nakoniec dla łatwiejszego wychowania ich w dyscyplinie kościelnej, chłopcy ci od wstąpienia nosić będą tonsurę i odzież kościelną. Uczyc się będą gramatyki, śpiewu, nauki kościelnej i tego wszystkiego co się tyczy wymowy i literatury. Przykładać się mają do nauki Pisma Świętego, ksiąg kościelnych, homilij świętych, form i sposobów administrowania sakramentów, a szczególnie tego, co uczynić ich może zdolnymi do słuchania spowiedzi, nakoniec wszystkich innych zwyczajów i obrządków Kościoła. Biskup troszczyć się ma, aby ci młodzieńcy słuchali codziennie Mszy św., a spowiadali się co najmniej raz na miesiąc i stosownie do wskazówek spowiednika swego przyjmowali ciało Pana Naszego, usługując w każde święto w kościele katedralnym lub w innym kościele swego miasta’.

Sobór święty ustanawia następnie warunki materialne tego nowego dzieła: źródła finansowe czerpane być mają z dochodów biskupstw, kapituł, opactw i przeorstw, i wogóle ze

wszelkich beneficjów. Aby zaś lepiej wykazać najwyższą ważność, jaką przypisuje do tych tak potrzebnych instytucyj, Sobór naznacza surowe kary na tych arcybiskupów i biskupów, którzyby zaniedbywali je ustanawiać’.

Wytworzenie tych seminaryów zdawało się łatwem. Zebrać chłopców dobrych rodzin, ochronić ich przed niebezpieczeństwami świata, wychować w pobożności, tak słodkiej zwykle w tym wieku, zwolna zbliżać ich do kapłaństwa, oswajając z jego pięknnością, zapalać jego wielkością, i tą drogą, palących miłością Boga i dusz ludzkich, prowadzić do święceń — co zdawałoby się łatwiejszem nad to? Lecz pomijając już, że namiętności ludzkie gnieźdzą się w sercu nawet najmniejszych dzieci, pomijając skłonność do miękkości, do lenistwa duchowego, do szukania tego, co zdaje się być najdogodniejszym, co najbardziej schlebia ambicyi, co prowadzi do dostojeństw i zaszczytów, słowem tego, co gasi najpiękniejsze zapalenia i przy których błędną najwyższe ideały, — trzeba było jeszcze rachować się z instytucjami ustanowionymi przedtem, które zaścierały ziemię swymi szczątkami: z owymi szczątkami kolegiów, akademij, uniwersytetów, które stawały na przeszkodzie reformacyi kleru, przywiązując go do przeszłości, cofając go wciąż i poniekąd paraliżowały zabiegi około urzeczywistnienia tak czystego i pięknego ideału, jaki postawił sobór Trydencki.

Z tego powodu sprawa szła w odwłokę. Papież Grzegorz XIII, chcąc dać przykład, założył kolegium Rzymskie, lecz była to tylko akademia, szereg wykładów i konferencyi dla eksternów. Święty Karol Boromeusz ustanowił w Medyolanie dwa czy trzy seminarya i zdawało się, że lepiej zrozumiał myśl soboru Trydenckiego, bo Olier twierdzi, że na nim oparł plan swego seminaryum. Jednak pomimo powagi św. Karola Boromeusza i cnót jego, seminaryum to nie wyszło poza granice Medyolanu i jego okolic, a całe Włochy nie posiadały ich. Inny świątobliwy biskup Bartłomiej des Martyrs, ustanowił seminaryum w mieście biskupiem Bradze w Portugalii, lecz pomimo sławy, jaką posiadał, pomimo świątobliwości żadnego biskupa nie pociągnął przykładem swoim. Raz, gdy o Bourdoise wyraził mu swoje zdziwienie, że on zdolności i talenta swoje poświęcił kształceniu duchowieństwa. „Przyznaję się, odpowiedział świątobliwy biskup, i jestem przekonany,

że to najpotrzebniejsze w Kościele. Lecz pracując przez siedmnaście lat nad wyrobieniem tylko trzech kapłanów takich, jakich życzyłem sobie mieć do pomocy przy reformie kleru mojej diecezji, udało mi się wyrobić zaledwie jednego i pół¹⁾.

We Francji sprawa ta jeszcze mniej postąpiła naprzód; wielu nad tem pracowało, lecz bezskutecznie i wśród najlepszych mężów wytworzyła się myśl o niemożliwości urzeczywistnienia zarządzeń Soboru. Wszystkie koncylia prowincjonalne zastanawiały się nad tym przedmiotem i do tegoż wniosku przychodziły: koncyljum w Rouen 1581, w Bordeaux 1582, w Reims i Tours 1583, w Bourges 1584, w Aix 1585, w Tuluzie 1586. I nakoniec najświeższe w 1629 zebranie duchowieństwa Francuskiego, odnowiło te dekreta soboru Trydenckiego i przepisało najprędzej założenie przynajmniej czterech seminariów ogólnych. Lecz biskupi, którzy podpisali te postanowienia, po powrocie do swoich diecezji, nie wiedzieli jak w sposób praktyczny przystąpić do ich urzeczywistnienia i z żalem zostawili bez wykonania dzieło, które zdawało się zarazem i potrzebnem i niemożliwem.

Zniechęcenie powiększało się z tego powodu, że najświętobliwsi z biskupów, rozporządzający ogromnymi funduszami, próbowali, lecz bez powodzenia. Kardynał Joyeuse, arcybiskup Rouen, kardynał de Sourdis arcybiskup Bordeaux, kardynał de Lorrain, archbp. Reims, tworzyli seminaria i patrzyli na wygasanie ich po dziesięciu latach, a jeżeli które istniało, to wyradzało się w kolegium i nie wydawało kapłanów. Sam nawet Richelieu, przyzwyczajony do tego, aby go słuchano, nie podolał temu zadaniu.

Mówiono też powszechnie:—jeżeli zawód spotkał takich ludzi, to czy można myśleć wogóle o powodzeniu? Wszystkich opanowało zwątpienie i zewsząd odzywały się głosy, że sprawa była niemożliwą do urzeczywistnienia.

A jednak, pomimo tak wielkich dotąd niepowodzeń, zbliżał się czas, wybrany przez Opatrzność Boską, do wytworzenia seminariów. Było w tym czasie we Francji trzech czy czterech świętobliwych kapłanów, przygotowujących się do dzieła, z których jeden przyłożył rękę mistrzowską z jednej strony, drugi z innej; jeden wskazał pewne zarysy potrzebujące wykoń-

¹⁾ Faillon I, 12.

czenia, drugi przystąpił do ich wykonania, a wszyscy razem zdążali do urzeczywistnienia w całej piękności idealnego typu zaleconego przez sobór Trydencki. Trzech tych, czy czterech świętobliwych kapłanów, którzy dziś jaśnieliby już na naszych ołtarzach, gdyby pewien cień Gallikanizmu i Jansenizmu, który zaznaczał się był wówczas, wcale niesłusznie nie padał i na ich głowy. Mieszkali oni w Paryżu: o. de Berulle przy ul. ś. Jakóba; o. Bourdois w seminarium św. Mikołaja de Chardonnet; o. Wincenty w kolegium des Bons-Enfants i Olier w Vaugirard. Żyli oni w stosunkach serdecznych pomiędzy sobą i wszyscy palali równą gorliwością w sprawie reformy kleru.

O. de Berulle najstarszy z nich i najznakomitszy; wobec świata był już kardynałem, lecz, jak Bossuet powiada, purpura nic już dorzucić nie mogła do zasług jego. Po osadzeniu Karmelitów w Paryżu i w całej Francji, założył Oratoryanów, gdzie go podziwiano. Ojciec de Candren, o którym wnet mówić będziemy; ojciec Bourgoing, po którym żałobne nabożeństwo celebrował Bossuet, i który wkrótce da Kościołowi ojca Le Jeune, ojca Malebranche'a, ojca Thomassina i Massillon'a. Celem ojca de Berulle było użycie wszystkich żywotnych sił swej kongregacji na wychowanie duchowieństwa i na kierownictwo seminariów. Aby zaś nic mu w tem nie stało na przeszkodzie, wyprosił u Papieża aprobatę swoich reguł, które między innem wzbraniały kapłanom kongregacji zajmowanie się kolegiami, aby całkiem poświęcić się mogli seminariom. Rzecz dziwna, zdająca się wskazywać na to, że Bóg bardziej drobiazgowo wdaje się w najmniejsze szczegóły przy powstawaniu zakonów niż zwykle przypuszczamy. Oto właśnie to jedno zastrzeżenie zostało opuszczone w bulli ustanawiającej Oratoryanów; wynikiem tego było to, że ponieważ Papież nie zabronił, więc ku końcowi stulecia Oratoryanie ojca de Berulle właśnie zwrócili się do kolegiów i coraz bardziej odsuwali się od seminariów. Pobożni historycy domyślali się, że leżało w szczególnych zamiarach Opatrzności, aby owo ważne zastrzeżenie opuszczone zostało w bulli Papieskiej, bo gdy Oratoryum następnie wpadało stopniowo w Jansenizm, to coby się było stało z klerem Francuskim, gdyby właśnie Oratoryanie mieli wyłączną pieczę nad wychowaniem tego kleru? Wszakże jednak kardynał de Berulle, umierając w r. 1629, zostawił kongregację w ręku ojca de Condren, człowieka nie-

zrównanej cnoty, wielkiego światła, który na fundacyę seminariów miał największy wpływ.

Drugą osobą, pracującą nad reformą duchowieństwa był o. Bourdoise. Był to kapłan nieznany dotąd, bez rozgłosu, prostoduszny, skromny proboszcz jednej z najuboższych parafij, lecz posiadający serce płomienne Eliasza i św. Jana Chrzciciela. Oplakiwał on spustoszenie świątyni. Obdarzony geniuszem odwagi i oryginalną wymową, posługiwał się niemi, piętnując nieporządki, objawiające się wśród kleru. Ani kapłan, ani biskup, ani kardynał nie zdołał uniknąć surowych upomnień jego, a nikt się o to nie gniewał, tak wielkiem było święte wzruszenie, pobudzające go do mówienia. Sam nigdy nie rozstający się z sutanną i tonsurą, karmił niemiłosiernie księży, ubierających się w szaty świeckie a niekiedy nawet wojskowe. Po ulicach zbierał i z mieszkań wyciągał kapłanów jaśniejących cnotą, urodzeniem lub fortuną takich jak św. Wincenty à Paulo, Olier, de Bretonvilliers, de Gondi, Bossuet i podając im do niesienia przy procesyi świece i kadzielnice, lub zachęcając do odśpiewywania epistoły, tym sposobem zniewalał do dawania przykładu liczny kapłanom, którzy wstydzieli się spełniać te skromne lecz święte czynności kościelne. Gdyby on zechciał przyłożyć się do fundacyi seminariów, niesłychanie wiele mógłby był dokonać. Lecz na nieszczęście, ogólne pod tym względem zniechęcenie i jego ogarniało. I on sądził, że wytworzenie seminariów było niemożliwem. Zamiast zajmować się młodzieżą, pracował jedynie nad uświętobliwieniem tych, którzy już byli kapłanami. Łączył ich w stowarzyszenia, uczył ich rozmyślać, nakłaniał do wspólnego życia, posłuszeństwa na głos dzwonka, gorliwego i pobożnego a dokładnego spełniania najmniejszych ceremonij kościelnych. Podobnymi stowarzyszeniami nappełnił Francję; wytworzył je w Paryżu i w ten sposób mimowolnie przygotował dzieło utworzenia seminariów, wykazując tem większą możliwość życia wspólnego młodzieży, skoro podobnemu życiu poddawali się nawet starsi kapłani. Jednak stowarzyszenia te nie trwały długo i jeden z członków takiego stowarzyszenia, które przetrwało lat dziesięć, taką podaje przyczynę. „Chociaż mieliśmy mało poważnych wskazówek w tem stowarzyszeniu, to jednak Bóg utrzymywał mnie w niem przez lat dziesięć. Wielu innych w ciągu tego czasu wstępowało tam równie młodych, jak ja; żaden jednak nie zdołał wytrwać i nie trudno powie-

dzieć dlaczego, gdyż wśród nich nie dało się zauważyć żadnego nieporządku”.¹⁾

Bo też istotnie nie można utrzymać w pewnych karbach ludzi, jeżeli za cel i pokarm podaje im się jedynie zewnętrzne ceremonie.

Trzecią świątobliwą osobą, pracującą wówczas nad rozwiązaniem arcytrudnej sprawy seminariów, był czcigodny nasz św. Wincenty. Nie myślał on o tem uprzednio. W projekcie bulli, posłanej Papieżowi dla aprobaty jego kongregacyi, nie było mowy o seminariach, to też i w samej bulli 1632 r. nie znajdujemy o tem wzmianki. Później już nieco, gdy się rozpowszechniła idea, że nie zreformuje się kleru inaczej, jak przez seminarja, i gdy zaczęło nalegać na niego, aby zajął się niemi, odpowiadał jeszcze, że jego dziełem są Misyjonarze; że Papież aprobował jego kongregacyę w tym właśnie celu i że trzeba by chyba aniola z nieba, aby przekonać go o zaniechaniu dzieła, cieszącego się tak nadzwyczajnem powodzeniem, a oddać się dziełu, które daremnie usiłowano urzeczywistnić.

Wziął się jednak do tego pod naciskiem najświętobliwszych biskupów. W r. 1635 uczynił pierwszą próbę. Przyjął do collegium des Bons-Enfants młodych 14 i 16 letnich kleryków, aby przygotować ich do kapłaństwa. Ale czy to dlatego, że byli za młodzi, czy że dyrektorowie nie posiadali odpowiednich do ich kierownictwa przymiotów, dosyć, że próba się nie udała i musiała być zaniechana. W sześć lat potem, w r. 1641 przynaglany przez dobrego i świątobliwego ks. Justyna Guerin, biskupa z Annecy, rozpoczął w jego stolicy drugą próbę, przyjmując tym razem już li tylko młodzieńców, którzy skończyli humaniora.²⁾ Zdawało się, że ziszczenie się nadziei jest bliskie; lecz i tym razem, nie wiadomo dlaczego, próba jeszcze się nie udała i seminarjum zostało zamknięte, a odnowiło się dopiero w roku 1663. To samo było z seminarjami w Alet i de Saints. Nakoniec w roku 1624 św. Wincenty sądził, że zrozumiał rzeczywistą przyczynę tylu niepowodzeń, upatrując ją w pomieszaniu razem młodzieńców z dziećmi i poddaszu jednych i drugich temu samemu sposobowi nauczania i jednakej karności, która nie mogła być odpowiednią dla wszystkich bez

¹⁾ Saint-Beuve I, 425.

²⁾ t. j. szkoły średnie (przyp. tłóm.).

różnicy wieku. Zdecydował się więc na rozdzielenie ich. Starszych młodzieńców zatrzymał w seminaryum des Bons-Enfants, a działwę odesłał do kupionego w tym celu domu, w pobliżu św. Łazarza i nazwał to seminaryum św. Karola. I tem mistrzowskiem posunięciem wytworzył odrazu tę dwojaką formę: większych i mniejszych seminaryów, którą przyjęto odtąd powszechnie.

Podczas gdy św. Wincenty à Paulo powoli, cierpliwie, zgodnie z naturą swoją dochodził do najwłaściwszego ustroju seminaryów, koło niego był kapłan, młody jeszcze wówczas, którego prowadził Bóg do tegoż celu, lecz drogą prędszą i bardzo dziwną. Niewielu ludzi było tak uprzywilejowanych, jak ks. Olier: św. Franciszek Salezy błogosławił dzieciństwu jego; św. Wincenty à Paulo kształcił go w młodości i przygotowywał do przyjęcia święceń; ojciec de Condren kierował nim w wieku dojrzałym i objawił mu prawdziwe powołanie jego. Odbywając ćwiczenia ordynandów i otrzymawszy drugie, czy nawet jeszcze pierwsze tylko święcenie, współdziałał przy ustanowieniu konferencyi środowych, a od wielu lat był penitentem św. Wincentego, który miłował go jak syna. Lecz w tym czasie właśnie pomiędzy świętym spowiednikiem i świętobliwym penitentem przesunęła się była chmurka choć bardzo wąta i czysta, która jednak sprawiała pewne skrepowanie w stosunkach. Św. Wincenty chciał, by Olier przyjął biskupstwo; a ten bronił się przeciwko temu usilnie i aby uniknąć nalegań świętego kierownika swego, wyjechał do Auvergne, gdzie odprawiał misye w ziemiach należących do jego opactwa Pébrac. W podróży spotkał świętobliwą zakonnicę, którą Pius VII ogłosił za czcigodną, matkę Agnieszkę de Langeac i przed nią zwierzył się z niepokojów swoich. Ta, oświecona przez Boga, jak się potem okazało, poradziła mu udać się do o. de Condren. Był on już następcą kardynała de Berulle w ogólnym zarządzie oratoryum; człowiek wielkiej cnoty i niepospolitego światła nie administrator, nie pisarz, nie kaznodzieja, lecz posiadający dar Boży przedziwnego przekonywania. Nawet na urzędzie swoim superyora jeneralnego, zachował był przy sobie jedyną funkcję podniecania zapału i entuzjazmowania do służby Bożej kapłanów świeckich, którzy przychodzili do niego na poradę. Kardynał de Berulle, jego superyor, sam obdarzony tak wielkim światłem, całował niekiedy ślady stóp jego. Nie mniej szanował go św. Wincenty. Olier powiada: „Mówił do mnie często w wyrażeniach, które zdawały mi się nieprawdopodobnymi. Pamiętam

dobrze słowa jego:—Nie znalazł się człowiek podobny jemu: *Non est inventus similis illi*, i tysiące podobnych rzeczy. A gdy się dowiedział o śmierci jego, to padł na kolana, bił się w piersi, ze łzami w oczach wyrzucał sobie, że nie szanował tego świętego człowieka tak, jak na to zasługiwał”. Święta Chantal z niemniejszym uwielbieniem mówiła o nim: „Bóg, dając Kościołowi naszego błogosławionego fundatora dla nauczania ludzi, ojca Condren, zdaje mi się, przeznaczył do nauczania aniołów”. Nareszcie sam Olier wypowiedział o nim tę wspańiałą pochwałę: „Był on zaledwie na zewnątrz pozorem, powłoką tego, czem był istotnie; wewnątrz był zupełnie czemś innem, obrazem wewnętrznego, ukrytego życia Jezusa Chrystusa, tak, że był to raczej Jezus Chrystus, żyjący w ojcu Condren, niż ojciec Condren sam w sobie żyjący. Był on jakby hostyą naszych ołtarzy; na zewnątrz widzimy pozór i postać chleba, lecz w istocie rzeczy, wewnątrz to Jezus Chrystus. To samo było z tym wielkim sługą Pana Naszego, tak szczególnie umiłowanym przez Boga”. Czem się to dzieje, że taki człowiek nie został dotąd wyniesiony na ołtarze nasze? Nędzny jansenizm przyczyną jest tego. Nie znaczy to, żeby Ojciec Condren miał być kiedy podejrzanym o sprzyjanie mu, lecz że ta herezyja pewną mgłą okryła cały Kościół Francuski XVII wieku i po przez tę mgłę nie zdołano dotąd jaśniej przejrzeć. Padł więc pewien cień na wielkich i świętych onego czasu w Kościele Francuskim, na takich, jak kardynał de Berulle, ojciec Condren, Olier i Bourdoise i in.

Udał się więc Olier do ojca Condrena, aby zasięgnąć jego rady, ten zaś, wysłuchawszy go, powiedział: „Nie należy myśleć o biskupstwie. Bóg chce przeznaczyć cię do innej pracy, nie mniej pożytecznej dla Kościoła”.³⁾ Zdawało się, że w tym właśnie czasie świętobliwy kapłan z woli Bożej wybierał z pośród duchowieństwa tych, przez których pragnął wykonać wielkie plany. W ten sposób powstrzymywał od episkopatu xx. du Ferrier, du Caulet i wielu innych. Gdy pewnego razu kardynał Richelieu, wymieniwszy wielu, nastawał, by Condren zaopiniował, których-

¹⁾ Faillon. Vie de M. Olier I, 126.

²⁾ Id. 136.

³⁾ Id. 130.

sądził godnym biskupstwa, ten wymieniwszy wielu dodał: „Są jeszcze inni, lecz Bóg zachowuje ich do ważniejszego dzieła”.¹⁾

Ale ojciec Condren umarł. W chwili rozmowy z ks. Olier zostawało mu zaledwie ośm dni życia, a nikomu jeszcze nie ujawnił „tego wielkiego planu, tego ważniejszego dzieła” z którego powodu trzymał w zawieszeniu najlepszych kapłanów. Nakoniec 30-go grudnia 1640, nie wątpiąc już, że godzina śmierci jest bliska, przyjął ks. du Ferrier, który był przyjacielem Olier’a i zdecydował się odsłonić mu serce swoje. Słowa jego są uroczyste jak testament, który obchodzi Kościół cały. Wypowiedział pierwsze słowo księdzu du Ferrier, lecz czuł się osłabionym dnia tego, a zrozumiał, że ma wiele do mówienia o takim przedmiocie, więc naznaczył widzenie się nazajutrz.

„Nazajutrz pisze ks. Ferrier, po odprawieniu Mszy św., udałem się o godzinie 8-e rano do pokoju ojca de Condren, gdzie znalazłem pana de Reuty, który wyszedł, usłyszawszy, że wiernie dotrzymał naznaczonej godziny. Gdyśmy zostali sami, o. de Condren począł mówić. Dowiedział się, że owoce misyjne, choć tak wielkie i piękne, wędną jednak, jeżeli nie są pielęgnowane przez dobrych duchownych, bo są tylko przejściowe, przyszedł do wniosku, że koniecznie pracować trzeba nad wyrobieniem dobrych duchownych w Kościele, nie rachując już na starszych wiekiem i wyświęconych bez odpowiedniego przygotowania; bo rzadko się zdarza, by zły kapłan nawrócił się. „Oto, dodał powód, który powinien nas przekonać o konieczności wychowywania młodych ludzi w duchu kościelnym, — co można dokonać tylko w seminariach, jak to nam zalecał sobór Trydencki.” Na to przedstawiłem mu trudności, które wydały się niepokonanymi i przytoczyłem powody, dla których dotychczasowe usiłowania były bezskutecznymi, po sześćdziesięcioletnich przeszło próbach w Tuluzie, Bordeaux, Rouen, pomimo starań kardynałów: de Joue-duse i de Sourdis. On wskazał mi, że się mylono, że nie łatwiejszego jak dojść do pomyślnych rezultatów, jeżeli przyjmować się będzie młodzież, której sąd już jest ustalony, a którą, po wypróbowaniu przez pewien czas, uznać będzie można za powołaną do służby ołtarza. Rozwodził się bardzo nad

tą kwestyą, dodając mi otuchy, aby oczekiwać pomocy, której Bóg niewątpliwie udzieli tej sprawie. Dodał nawet, że nie należy tracić czasu, a zrobić początek, bo duch złości nie omieszką wzniecić rozterek i niepokojów, aby przeszkodzić wytworzeniu dobrych duchownych. Wtedy panował wielki spokój w Kościele i wcale nie mówiono jeszcze o tych różnych wypadkach, w których w następstwie powstały rozterki, z największą szkodą dla Kościoła. Uprzedził mnie nakoniec, by zawsze się trzymać wyłącznie Papieża, a unikać sporów i swarów, zgodnie z zaleceniem św. Pawła.

„Wybiła dziesiąta godzina, gdy asystent jego, brat Marcin, przyszedł przypomnieć, że czas na Mszę św.; powiedział mu, by poczekał. Brat wrócił o jedenastej i przynaglał nieco; zostałem zdziwiony, gdy Ojciec de Condren, tak mądry i rozważny, odezwał się w te słowa: „mój bracie, gdybyś wiedział, co czynię, nie nagliłbyś mnie, bo to, co czynię, więcej znaczy, niż to, co chcesz, abym zaraz zrobił.” Nakoniec po dalszej rozmowie, która się przeciągnęła aż do południa, powiedział mi: „Brat Marcin gniewałby się, odłożmy ciąg dalszy do jutrzejszego rana”. I poszedł odprawić Mszę św.; ja oddaliłem się i już go nie widziałem więcej. Bo, przyszedłszy nazajutrz, znalazłem chorego na zapalenie płuc, a że doktor zabronił z nim mówić, nie było możliwości wznowić rozmowy.¹⁾

Umarł we dwa dni potem, w stanie nadzwyczajnej świętobliwości, wzbudzając podziw wśród uczniów swoich, zgasł śmiercią piękniejszą jeszcze, niż było życie jego. Ks. Olier i przyjaciele jego asystowali przy nabożeństwach pogrzebowych, a wierni zleceniom, otrzymanym od tego świętobliwego kapłana, przystąpili do założenia seminarium św. Sulpicyusza (Saint Sulpice).

Jaka różnica była pomiędzy seminariami, założeniami przez św. Wincentego, a powołaniami do życia przez ks. Olier? — Żadnej. Wzajemnie udzielano sobie światła i wszystko stopniowo zlało się w jedno.

S e m i n a r y u m, to pepineria, szkółka, rozsadnik, miejsce, w którym drogocenne nasiona i młode roślinki zbyt słabe jeszcze, by można je było wystawić na odkryte powietrze, strzeżone i ochraniane są przed wiatrami Północy. I Pan nasz czynił podobnie, przez trzy lata, trzymając pod okiem swoim,

¹⁾ Id. 129.

¹⁾ Faillon str. 273—275. t. I Vie de M. Olier.

w skupieniu, ciszy i odosobnieniu swoich dwunastu Apostołów, zanim wysłał ich na podbój dusz ludzkich. O ileż bardziej potrzebnem jest to odosobnienie od świata dla młodzieży z różnych stron zebranej, gdy chodzi o to, by uczynić ją zdolną do tak wielkiego posłannictwa, jakim jest kapłaństwo! Trzeba czasu, trzeba skupienia się, by zapytać siebie i wiedzieć, czy się nie cofnie młodzieniec przed temi wielkimi ofiarami, jakich wymaga kapłaństwo. Nie mniej też czasu, nie mniej skupienia trzeba dyrektorom seminaryum, aby upewnić się o prawdziwości powołania młodzieńca, aby zobaczyć, czy posiada on tyle cnoty, tyle męstwa, tyle zdrowego sądu, by można mu było powierzyć kierownictwo dusz ludzkich. A gdy powołanie nie ulega wątpliwości, to znowu trzeba czasu, czujności, trzeba wysiłków wielokrotnych, aby w sercu wybranego utrwaliła się cnota, zdolna stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Wszystko to przewidywane było od pierwszych wieków Chrześcijaństwa; to też zbierano młodych kleryków do klasztorów św. Benedykta, do szkół biskupich i katedralnych w wiekach średnich; a najznakomitszymi biskupami i największymi pasterzami byli ci właśnie, których młodość upływała w ciszy i oddaleniu od świata. Potem przyszły uniwersytety; wyciągnęły one tę młodzież duchowną z zacisza, popchnęły ją na forum publiczne. I co przez to zyskano? Jakie duchowieństwo wytworzyło się wśród tego życia zewnętrznego, światowego, rozsypanego po uniwersytetach? Oczywiście, należało wrócić do dawnych tradycji i znowu otworzyć dla młodych kleryków domy ciche, zamknięte, gdzieby się mogła utrzymywać cnota, szczepić nauka kościelna.

Cnota i nauka—to dwa wielkie pierwiastki wytwarzające kapłana. Bez nauki byłby nieużytecznym, bez cnoty byłby niebezpiecznym. Pan Nasz powiedział: *Vos estis lux mundi* (Jesteście światłem świata), to o nauce; a *Vos estis sal terra* (Jesteście solą ziemi) to o cnotcie. Nauka oczyszczona, zmiękczona uczyniona skromną, pokorną a owocną przez cnotę; cnota podniesiona, uszlachetniona przez naukę. Pięknym jest widok kapłana uczonego; czcigodnym cnotliwego. Lecz kapłan cnotliwy i uczony, którego czoło jaśnieje światłem mądrości, a serce pała płomieniem świętobliwości, to najpiękniejszy obraz Boga na ziemi; do stóp jego skłaniają się ludzie i czczą go sercem całym.

Otóż ku wyrobieniu takiego kapłana zmierzają wszystkie ćwiczenia seminaryjne. Ćwiczenia te obmyślane być winny z niesłychaną umiejętnością; jedno, jak modlitwa, rozmyślanie, Msza święta, spowiedź i częsta komunie, czytania duchowne, odmawianie różańca i koronki, szczegółowy rachunek sumienia — wyrabiają świętobliwość; inne, jak studyowanie Pisma świętego, dogmatów, moralności, liturgiki, prawa kanonicznego — przygotowują kapłana uczonego. Z jednego ćwiczenia przechodzi się do drugiego bez zmęczenia, z radością; a oddając się im sercem i duszą, wychodzi się z seminaryum z zasobem cnoty i nauki tak potrzebnymi do prowadzenia dusz, przez Boga powierzonych pieczęlowitości kapłańskiej.

Nauka, podawana w seminaryach, odmienną jest nieco od wykładanej na uniwersytetach. Bez wątpienia nauka święta jest zawsze jedną i tą samą, lecz i w niej, jak w każdej nauce, są stopnie początkowe, zasadnicze i stopnie wyższe, wspanialsze. Na ostatnie wstępuje się w uniwersytetach, skąd wychodzą doktorowie, ludzie zdolni stawić czoło najgroźniejszym nieprzyjaciolom Kościoła. Inny cel mają seminarya, w nich wyrabiają się nie doktorowie, lecz dusz pasterze. Tu więc trzeba nauki średniej, dokładnej, ściślej, jasno stawiającej zasady i do wszystkiego przystosowującej potrzebne podstawy. Zdolniejsi przy tej średniej kulturze naukowej podnieść się mogą na najwyższe stopnie światła; i im też ta średnia nauka jest niezbędną; daje ona mocne i pewne podstawy, których brak zawsze dotkliwie odczuwać się daje.

Tłumaczy to św. Wincenty à Paulo z właściwym sobie zdrowym rozumem i jasnością. Podnoszono przed nim kwestyę, czy w seminaryach należy prowadzić wykłady z podręczników, któreby nauczyciel miał tylko objaśniać, czy zaś lepiej, żeby przedmioty były wykładane przez nauczycieli, a notowane przez uczniów. Wielu popierało wykłady samodzielne, dające przez uczniów. Św. Wincenty przeciwnego był zdania: „Trzymając się autora aprobowanego nauczanie będzie pewniejsze, biskupi mieć będą większe znaczenie, a Zgromadzenie (nauczające, t. j. Misyonarze) mniej narażone zostanie na zazdrość i cenzury; wybór profesorów będzie łatwiejszy, ich obowiązki dogodniejsze, mniej uciążliwe, uczniowie zaś będą lepiej wyszkoleni i nauczeni. Zarzucają, że uczniowie mniej cenić będą nauczyciela, który nie podaje swojego i że opu-

szczać zechcą seminaryum. „Byłoby to może prawdą, gdyby seminaryum nie posiadało innych czynników pociągających, nad samą tylko naukę i w przypuszczeniu, że wszyscy seminarzyści mają być tylko uczonymi; lecz są tam inne rzeczy porywające, jak: pobożność, śpiew, ceremonie kościelne, katechizacya, kazania i t. p.”

„Powiadają, że przy samodzielnym wykładzie nauczyciele staną się uczeńszymi. Może być, lecz tacy nie potrafią już nic innego robić nad studia i wykłady. A gdy tak będzie, to kóż nauczać będzie pobożności, śpiewu, ceremonij kościelnych, katechizacyi i kaznodziejstwa? Kto będzie dbał o ścisłe przestrzeganie dyscypliny?”

Przytaczano nakoniec przykłady Jezuitów i uniwersytetów. „Ale to co innego, odpowiadał Wincenty, ich obowiązkiem publiczne nauczanie i uprawianie nauk; oni muszą dbać o uznanie. W seminaryach zaś bardziej potrzebną jest pobożność i nauka średnia oraz przygotowanie do śpiewu, ceremonij kościelnych, do kaznodziejstwa i katechizacyi, wszystko to bardziej jest potrzebne, niż zbyt wiele czystej tylko nauki. Upewniam was, że gdybyśmy weszli na tę drogę, to wnet wmańlibyśmy Zgromadzeniu naszemu potrzebę nauczania publicznego, abyśmy zyskać mogli ludzi uczeńszych na nauczycieli dla naszych seminarzystów; a co by się wówczas stało z biednym ludem wiejskim? jakiegobyśmy ducha nabrali, dążąc do zrównania się z zadaniami wielkich instytucyj uniwersyteckich? Gdzieby się podzielała święta pokora, w której podobało się Bogu rozpocząć, zrodzić i wychować nasze Zgromadzenie?”

Lecz jeżeli zajmowano się z taką gorliwością podawaniem kapłanom tej średniej nauki, tak potrzebnej każdemu, a wystarczającej wszystkim, to zarazem w przedziwny sposób pracowano nad tem, aby wyrobić w uczniach cnotę. Zakreślano granic naukom, lecz cnota musiała być bezgraniczną. Najpokorniejszy niedoścignie jeszcze nigdy szczytu cnoty, a gdy się ma przed sobą jedynie małą wioszcynę, w której trzeba kierować, oczyszczać, prowadzić na drogę zbawienia jakie ze trzy setki dusz ludzkich, to żaden stopień świętobliwości nie jest za wysoki. Wszędzie zresztą, w najdalszem pustkowiu, w najgłuchszym lesie, mogą spotkać kapłana wieczne pokusy, napastujące człowieka. Ułomność i nałogi ludzkie niezawsze w jedwabie

się stroją; żeby zaś być wyższym nad nie, żeby zachować niepokalaność swej duszy — na to kapłan potrzebuje posiadać cnotę. Wszędzie też w najdalszych i nieznanych ustroniach, mogą się znaleźć dusze świętobliwe, dziewice Bogu poświęcające się, a potrzebujące spotkania się z takim kierownikiem sumienia, któregoby świętobliwość i pobożność wyrównywała nauce, a któryby mógł dodawać skrzydeł do lotu penitentom swoim, a nie obcinać je. Można powiedzieć, że seminarya są instytucjami nie zrównanymi pod wszystkimi względami; one wyrobiły duchowieństwo nowoczesne, świętobliwsze i powszechnie czystsze, niż kiedykolwiek.

I w tej nauce i w tej cnocie rysem dominującym jest miłość ku wiecznemu kapłanowi, Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi, płomienne umiłowanie boskiego kapłaństwa. Zostać kapłanem, prowadzić dalej i rozpowszechniać na ziemi posłannictwo Chrystusowe; mieć ręce, które, podnosząc się nad głową grzesznika, czynią go świętym i niewinnym; mieć usta, które jednym tylko słowem kruszą nieskończone przegrody dzielące ziemię od nieba i sprowadzają w pośród nas Jezusa Chrystusa; mieć serce, z którego nieustannie wypływają źródła pociechy, nadziei, przebaczenia: — czyż można pozostać obojętnym, a nie zapalać się takimi myślami? Trzy czy cztery lata pobytu w seminaryum mają na celu wytworzenie tak świętobliwego stanu przez modlitwę, rozmyślanie, częste komunie, czytanie duchowne i rekolekcyje. Trzeba mieć serce z kamienia, by nie dać się temu wzruszyć.

A jak przedziwnym jest Kościół w sposobie udzielania kapłaństwa! Mógłby dawać je odrazu, lecz woli on prowadzić zwolna, stopniowo, jak po wspaniałych schodach z marmuru, wiodących do świątyni. Najpierw daje się sutanna i tonsura, jako znak porzucenia dążeń i nadziei ziemskich, a przyjęcia Boga za częśćkę i wieczne dziedzictwo swoje. Potem mniejsze święcenia, nadające zaszczyt i prawo pełnienia pierwszych funkcji kapłaństwa, tak lekceważonych w XVII wieku przed ustanowieniem seminaryów, a tak poważanych następnie. W niektórych krajach, w czasie primicyi kapłańskiej, widzieć można czcigodnych kapłanów kanoników, proboszczów wielkich parafij, pokornie noszących świece, trzymających kadzielnice i posługujących do Mszy św. O! czcigodny Ojciec Bourdoise, jakbyś się cieszył na widok taki!

Dalej następuje subdyakonat. Z bijącym sercem, przepelnionem miłością, młodzieniec kładzie się krzyżem w świątyni, składając przysięgę, że nie będzie miał innej oblubienicy, prócz Jezusa Chrystusa. Potem dyakonat, gdzie ze drżeniem od wzruszenia przyjmuje udział w boskiej Ofierze ołtarza, dotykając płócien, przesiąknięch krwią Jezusa Chrystusa. Nakoniec kapłaństwo, — tu z radością, podziwem, zdumieniem i zachwytem wypowiada: *Consummatum est*. „Wykonało się.” Bóg nie może już więcej nad to dać stworzeniu!

A wszystko to, raz jeszcze powtarzam, nie odbywa się odrazu. Między jednym a drugim podnoszeniem się na te stopnie, dla lepszego do nich przygotowania, upływa trzy miesiące, sześć miesięcy, rok cały. Po kropelce sący się z tego kielicha miłości i powiększająca się za każdym razem łaska wprawia duszę w stan coraz większego upojenia. Po trzydziestu, czterdziestu latach smutków i rozczarowań, pięć minut czasu skupienia się i przypomnienia wystarcza, aby odczuć w sercu, że niezmiennie żyje w niem ten boski zachwyt.

Wielkiem więc jest dziełem ustanowienie seminaryów i nie dziw, że dla urzeczywistnienia dzieła tego Bóg w samej Francji wzbudził naraz tylu wielkich Świętych: o. de Berulle, o. de Condren, św. Wincenty à Paulo, ks. ks. Olier, Bourdoise, pomiędzy którymi nasze wdzięczne serca nie wiedzą, któremu należy oddać pierwszeństwo.

Lecz nie wystarczało samo zakładanie seminaryów. Trzeba było wytworzyć kapłanów, odpowiednio uzdolnionych do kierowania nimi, kapłanów, którzyby się wszystkiego wyrzekli, a poświęcili wyłącznie temu pracowitemu dziełu, pracując w ukryciu, kapłanów, posiadających tyle talentów i tyle cnót, którzyby się zgodzili na pracę w zupełnym ukryciu przed światem, podobni do tych korzeni niewidzialnych, pod ziemią zostających, a jednak utrzymujących i żywiących rozłożyste drzewa.

Możnaby sądzić, że zwróca się z tem do zakonników, do ludzi zupełnie oddzielonych od świata, żyjących w umartwieniu i zaparciu się. Przeznaczeni, aby być wzorem duchowieństwa, aby służyć kapłanom za kierowników, czyż nie powinni by zyskać łatwiej zaufania już przez samą swoją powierzchowność poważną i życie pokutnicze? Lecz musiało być wiele powodów przeciwnych, gdyż wszyscy założyciele seminaryów,

jak de Berulle, Olier, św. Wincenty à Paulo, o. de Condren, Bourdoise, jednoznacznie pragnęli, aby wszyscy kierownicy seminaryów byli wybierani z pośród duchowieństwa świeckiego i nie przestawali do niego należeć. Św. Wincenty à Paulo, gdy nalegano nań, by uczniowie jego zostawali zakonnikami o ślubach solennych, stanowczo się temu oparł. Ks. Olier chciał, by jego uczniowie mianowali się po prostu kapłanami duchowymi, lub kapłanami seminaryjnymi; aby nie przyjmowali miana ojców, i postawił jako prawo zasadę: *Nec aliter vivit nisi vita cleri*. Również o. de Condren bardzo energicznie wyrażał się co do tego.¹⁾ Żadnych ślubów uroczystych w tych towarzystwach, lecz posłuszeństwo jeszcze subtelniejsze i bardziej ściśle, niż same śluby. Do nich wszystkich zastosować można te wspaniałe słowa Bossueta: „Oni nie mają innego ducha, jak duch samego Kościoła; innych reguł, jak kanony, innych przełożonych, jak biskupi, ani innego dobra, jak miłosierdzie, ani innych ślubów uroczystych, jak tylko obietnice przy chrzcie i przy święceniu kapłańskim składane”.²⁾

Nie będziemy tu rozprawać o tem, kto był pierwszym założycielem seminaryów, Olier czy św. Wincenty à Paulo, Powstały te seminarya jednocześnie, a różnica czasu sześć miesięcy wcześniej, czy później, jest tak małą, że sami założyciele mylili się co do tego.³⁾ „Za przykładem małego stowarzyszenia w Vaugirard,—Oratoryum i kongregacya Misyjonarzy z zapalem pracowały w sprawie seminaryów”. Tu zdaje się Olier mieć pierwszeństwo co do czasu. „Z pociechą widzimy, że małe nasze prace okazały się pięknymi i pożytecznymi, iż wzbudziły współubieganie się w podobnej jak nasza pracy, z większymi od nas objawami łaski, nie tylko w sprawach misyj, lecz i co do seminaryów, które się bardzo rozmnożyły we Francji”. Są to słowa św. Wincentego, z których widać, iż jemu się zdawało, że był pierwszym. Wszystko to zrodziło się jednocześnie przez wielkie tchnienie ducha Bożego,

¹⁾ Faillon t. I, str. 179.

²⁾ Bossuet. Oraison funèbre du Pere Bourgoing. Paris Luis Vives 1864 t. XII. str. 646.

³⁾ Św. Wincenty fundował seminaryum internów Misyjonarzy 1637 r.; w Annecy 1641; Bons-Enfants 1642. Akt fundacyi św. Sulpicyusza nosi datę 1642. (Archives nationales).

które przebiegło wówczas Francję, wzruszyło wszystkie serca i sprawiło, że każdy wziął się do dzieła, nie oglądając się za sąsiadami.

A pomiędzy nimi żadnej zawiści, żadnej zazdrości. Z jakim zachwytem święty Wincenty mówił o o. Olier! Z jaką czułością odwiedzał go w czasie ostatniej choroby jego! Jaką okazywał cześć i podziw w chwili jego śmierci! Z drugiej zaś strony Olier nie przestawał powtarzać, że ów Wincenty był duchownym ojcem jego. „Ks. Olier zawsze uważał św. Wincentego za duchownego ojca swego i dość często mówił o tem, a przemawiając do swoich seminarzystów, powtarzał: „O. Wincenty jest ojcem naszym” i świadczył przed nimi o swoim wyjątkowym poważaniu dla wielkich cnót jego.”¹⁾

Powiadają, że pocałunek wzajemny świętego Dominika i św. Franciszka z Assyżu przechodzi z pokolenia w pokolenie na usta ich potomstwa. To samo stało się z uściskiem św. Wincentego z ks. Olier. Rok rocznie w uroczystość św. Wincentego widzi się tłum dzieci o. Olier'a przychodzący do stóp relikwii jego w kaplicy, przy ulicy Sévres w Paryżu. Jeżeli zaś niezbadane wyroki Opatrzności ziszczą oczekiwaną chwilę kanonizacji ks. Olier'a, to nie mniej liczny zastęp kapłanów Misyjonarzy zbierać się będzie dla uczczenia jego relikwii. Ta sama miłość i ta sama wdzięczność zjednoczy uczniów tych dwóch Świętych, którzy wytworzyli, a przynajmniej odnowili dzisiejszy Kościół Francuski przez nieoszacowaną instytucję seminarjów.

W tym III rozdziale autor podnosi kwestję, kto był pierwszym założycielem seminarjów: czy św. Wincenty czy ks. Olier i kwestję tę uważa za niedającą się rozwiązać z powodu jednoczesnej inicjatywy z obu stron.

Zobaczmy jednak, czy przytaczając ściśle daty i porównywając je, nie przyjdziemy do wniosku, że pierwszeństwo przyznać należy św. Wincentemu. — X. X. Misyjonarze fundują seminarjum w Annecy 1641 r., a biskup Guérin eryguje je 8 Września tegoż roku. Wyraża on życzenie, żeby Misyjonarze swobodnie i jawnie pracowali, zgodnie z duchem swojej instytucji, ku uświętobliwieniu duchowieństwa. 15 Września tegoż roku św. Wincenty pisał do p. Codoing, superyora nowej instytucji: „Obstaję zawsze przytem, że niewłaściwem jest przyjmować innych, jak tylko kapłanów i osoby zakonne.” Próba udała się nadspodziewanie. Św. Wincenty pod datą 9 Lutego 1642 pisze: „nie wiem, jak

mam wyrazić radość moją z osiągniętego powodzenia.” Tegoż roku biskup z Annecy stwierdza: „że ustanowienie seminarjum i pilna troskliwość misjonarzy już sprawiły znaczną reformę pomiędzy duchownymi i że spodziewa się, iż reforma ta stanie się powszechną w jego dyecezyi.”

W 1642 r. X. X. Misyjonarze otworzyli seminarjum w Alet, lecz musieli opuścić je wkrótce z powodu zamroczonego ducha biskupa Pavillon i jego tendencji jansenistowskich, których później okazał się gorliwym obrońcą.

Seminarya w Cahors i w Agen były fundowane w 1643, a w Saintes w 1646. To tak szybkie rozmnażanie się seminarjów dowodzi, jak bardzo odczuwano potrzebę tej instytucji.

Co zaś się tyczy Olier'a, to on, po bezowocnej próbie w Chartres, zebrał w 1642 r. kilku młodych duchownych w Vaugirard; lecz było to raczej zgromadzenie pobożne, niż seminarjum. Później dopiero po namradzie ze św. Wincentym i przy pomocy ks. Bourdoise otworzył na koniec seminarjum, które wslawiło się pod mianem św. Sulpicyusza. (Memoires de M. Olier II zeszyt).

Niech więc to czytelnik sam rozważy i osądzi.

¹⁾ Faillon t. I, str. 367.

ROZDZIAŁ IV.

Św. Wincenty à Paulo sprzeciwia się fałszywej reformie Kościoła, o którą kusił się Jansenizm. Śmierć Świętej Chantal 1642.

W czasie, gdy świętobliwi kapłani, o których wyżej mówiliśmy, jak św. Wincenty à Paulo, kardynał de Berulle, ojciec Condren, Olier, Bourdoise, nie ukrywając ran Kościoła, pracowali nad zagojeniem ich, zakładając w tym celu: jeden XX. Misyonarzy, drugi Oratorium, inny Zgromadzenie św. Mikołaja du Chardonnet, spotykali się wszyscy przy tworzeniu wielkiej instytucji seminarjów, które odrodziły i pobudziły do rozkwitu cały stan kapłański. Jednocześnie byli inni wielcy ludzie, uczeni doktorowie, którzy równie jasno widzieli rany Kościoła i nie mniej gorzko je opłakiwali, lecz nie mając tak żywej wiary w nieśmiertelne życie tego Kościoła, tracili nadzieję możliwości wyleczenia go i poza nim szukali środków jego odrodzenia.

Dwaj główni przywódcy tej grupy to Jansen (Johan-sohn), znany bardziej pod zlatynizowanym mianem Korneliusza Janseniusza; drugi to Vergier de Hauranne, opat z Saint-Cyran. Pierwszy urodzony w 1585 w Acquoy we Flandryi w pobliżu Leerdham; drugi urodził się w 1581 w Bayonnie. Równego więc prawie byli wieku. Spotkali się w Paryżu w 1605, dokąd przybyli na studia teologiczne i na ławkach Sorbony zawiązała się pomiędzy nimi żywa przyjaźń. I dusze mieli podobne. Obaj bardzo inteligentni zapaleni do studyów, szczególnie zamiłowani do erudycji, którą jeden i drugi daleko posunęli; obaj skłonni do pobożności, gorliwi o cześć

Kościola, lecz natury nieco melancholijnej, wszystko czarno widzącej, sądzącej wszystko zbyt ostro, i rzeczy i ludzi, a przy tem jeden i drugi wpadający w paradoksy. Jeden bardziej teolog, drugi raczej moralista; pierwszy zdolny zatopić się w głębokościach dogmatu, drugi w trudnościach praktycznych kazuistyki i spraw kierownictwa dusz; jeden cichy marzyciel, mało mówny, drugi intrygant wciąż się burzący; flamandczyk nieco ociężały, francuz zaś żywy; obaj zresztą bezwzględni, pewni siebie, imponujący ludziom swoją surowością, pod pretekstem potrzebnej skądinąd reformy wymierzili Kościołowi jeden z ciosów, który mógłby go do ruiny doprowadzić, gdyby nie niepożytość opoki z ustanowienia Bożego. Lecz całą głębokość rany widzi się dopiero po śmierci ich obu. Po skończonych studyach i przygotowaniu rozpraw doktorskich, które Janseniusz mógł złożyć w Paryżu, lecz z synowskim pietyzmem wolał to odbyć w rodzinnem Lowanium, zaś Vergier de Hauranne, musiał je w ostatniej chwili odłożyć, wskutek nieprzewidzianego współzawodnictwa pomiędzy Sorboną a klasztorem des Grands-Augustins,—obaj przyjaciele powzięli doniosłe postanowienie. Niezadowoleni z takich, jak były wówczas studyów w Sorbonie, znajdując je zbyt powierzchownymi a za mało praktycznymi, zdecydowali się usunąć gdzieś na wieś i poświęcić się badaniu starożytności chrześcijańskich. W tym właśnie czasie umarł ojciec Vergier de Hauranne'a i matka wzywała syna do siebie do Bayonny. Posiadała ona na brzegu morza piękną wieś Champré. Dom obszerny, przyjemny, w którym dwaj młodzieńcy mogli mieć spokój, wszelkie wygody, książki, swobodę,—wszystko, co potrzeba, by oddać się studyom. Namiećnie się też im poświęcili. Delikatniejszego zdrowia Janseniusz całymi dniami, a po części i nocami, przesiadywał nad umiłowanym przez się świętym Augustynem i jedenaście tomów in folio czterdzieści dwa razy przeczytał z piórem w ręku. Pani de Hauranne mówiła z przerażeniem do syna, że on na śmierć zamęczy tego dobrego flamandczyka, zachęcając go do pracy. Na nieszczęście, rzuciwszy się z takim zapalem do trudnych studyów nad Ojcami Kościoła, dwaj ci przyjaciele nie tylko że byli sami, bez przewodnictwa czy kierunku, lecz mieli jeszcze przytem umysły zamglone. Janseniusz ulegał wpływowi błędnych doktryn Baius'a, którego mógł poznać w Lowanium, oraz jego

nauki o wszechpotędze łaski i o skruszeniu czy unicestwieniu przez nią wolnej woli człowieka. Ze swej strony du Vergier de Hauranne nie uniknął nawpół kalwińskich wpływów, unoszących się nad Sorboną i nabył przekonania, że Kościół w praktyce przedewszystkiem zboczył z drogi pierwotnej czystości swojej i że chcąc, aby znowu został takim, jakim go Jezus Chrystus ustanowił, trzeba wrócić do karności pierwszych wieków. W tych dwóch kierunkach dwaj młodzi kapłani posuwali naukowe badania swoje. Bez wątpienia nie jeszcze nie było ustaleniem w ich umysłach, lecz już mówili sobie, że Kościół stał się instytucją zanadto po ludzku zorganizowaną, że pojęcie o łasce zostało obniżone a tajemnice spowszedniały; że wśród świata odczuwa się pewien odcień pelagianizmu i nawet prawie arianizmu; za mało wiary w Boga, za wiele w człowieka, w wolną jego wolę, w potęgę jego umysłu i woli i w prawa jego; oswajono się zanadto i zapominano o straszliwej powadze pokuty, o przerażającej wielkości komunii, o małej liczbie wybranych. Należało według nich dobrze sobie tu wszystko przypomnieć, wrócić do zapomnianych doktryn pierwszych Ojców Kościoła, pochwycić z niektórych tekstów to, co oni przewidywali i przeczuwali i nanowo podać katolikom prawdziwą naukę o łasce oraz wskazać prawdziwą praktykę pokuty i sakramentów.

W tym obszernym planie każdy z dwóch przyjaciół objął właściwy mu dział: Janseniusz teolog zajął się kwestią łaski, o której, według jego zdania, zatracono dokładne pojęcie, i aby pojęcie to podnieść pogrążył się w badaniach świętego Augustyna i wśród życia w zaciszu, napisał dzieło o trzech tomach, w którym streścił to, co zdawało mu się prawdziwą nauką tego świętego Doktora, a więc i Kościoła, o łasce. Vergier de Hauranne ze swej strony poświęcił się badaniu karności kościelnej pierwszych trzech czy czterech wieków Kościoła: jak pojmowano wówczas pokutę, jak praktykowano spowiedź i komunię i przygotował wiele książek, które w następstwie wprowadziły wielkie zamieszanie w Kościele. A chociaż każdy z nich pracował w pewnej niezależności od drugiego, to jednak dla zaznaczenia wzajemnej jednomyślności i wspólnego synostwa swego względem św. Augustyna, du Vergier de Hauranne, księgę swoją zatytułował *Aurelius*, zaś Janseniusz swoją nazwał *Augustinus*, a to mając na względzie, że ten

wielki filozof i wielki święty mianował siebie *Aurelius Augustinus*.

Byli oni jeszcze u początku swych badań, gdy wypadki rozdzieliły ich. Janseniusz wyjechał do Lowanium, gdzie otrzymał stopień doktora, a potem stanął na czele wielkiego kolegium i w końcu mianowany został biskupem w Ypres. Tam też umarł młody jeszcze, zostawując swego *Augustinusa* w rękopiśmie, opatrując go listem dedykacyjnym, w którym poddawał to dzieło autorytetowi Papieża. Ze swojej strony du Vergier de Hauranne opuścił Bayonnę, przybył do Poitiers, gdzie biskup de la Rocheposay mianował go najpierw kanonikiem, a potem obdarzył opactwem de Saint-Cyran. Pod tem też mianem opata de Saint Cyran został du Vergier głośnym.

Rozłączeni odtąd przyjaciele zostawali jednak w ciągłej ze sobą styczności. Pisali wciąż, komunikowali sobie wzajemnie prace swoje, swoje odkrycia, swoje projekty odnowienia Kościoła, przez odrodzenie prawdziwej doktryny i prawdziwej karności, zapomnianej i zapoznanej wedle ich zdania.

Kilka ciekawych urywków tej korespondencji wykazuje, w jak niebezpieczne uniesienia wpadał Janseniusz przy zagłębianiu się w czytanie św. Augustyna: „Jeżeli zasady, które tam znalazłem, są prawdziwe, jak o tem sądziłem i których znaczną część odczytuję u św. Augustyna, to z c z a s e m z a d z i w i ę ś w i a t”. A innym znowu razem: „Pracuję dalej nad św. Augustynem, którego czytam z dziwną ochotą i korzyścią (w mojem przekonaniu), doszedłszy do siódmego tonu a ważniejsze księgi wertując po dwa lub trzy razy. Coraz więcej podziwiam wysokość i głębokość tego umysłu i dziwię się, że doktryna jego tak mało jest znaną pomiędzy uczonymi nie tylko naszego wieku, lecz i wieków minionych. Bo szczerze mówiąc, mocno jestem przekonany, że po heretykach, nie było na świecie ludzi bardziej psujących religię, jak ci krzykacze ze szkoły, których znasz. A jeżeli religia musi się zwrócić do dawnego charakteru, który jest prawdziwą jej cechą, to teologia naszych czasów dla znacznej części ludzi przestanie być teologią. I to mię wprawia w wielki podziw, wobec cudów Boga, powstrzymujących od błędu obłubienicę swoją. Chciałbym mieć możność dokładniejszego rozmówienia się z tobą o tym przedmiocie, lecz na to trzebaby wielu tygodni, a może nawet miesięcy. Tak np., jeżeli śmiem powiedzieć, o wielu odkryciach zasad nie-

wzruszonych, jako też o dwóch szkołach, tak Jezuitów, jak i Jakobinów dysputujących do ostateczności, szukających śladów zatraconych, a coraz bardziej blakających się i zostających o sto mil od prawdy. Nie śmiałbym nikomu na świecie powiedzieć, co myślę (wedle zasad św. Augustyna) o większej części przekonań naszego czasu, a szczególnie co do łaski i przeznaczenia, z obawy, aby mnie nie wyprawiono do Rzymu, jako było z innymi, przed tem jeszcze, zanim cała sprawa nie dojrzeje. A jeśliby nie wolno mi było mówić o tem nigdy, to jednak będę czuł największe zadowolenie, że wyszedł z tego labiryntu zdań, które zarozumiałość krzykaczy wprowadziła do szkoły... Badanie to sprawiło, że zupełnie stracił ochotę do starania się o katedrę w Uniwersytecie, widząc, że potrzebowałbym albo milczeć, albo mówić, walczyć, gdyż sumienie moje nie pozwalałoby mi zatajać poznanej prawdy. Lecz Bóg może zmienić stan rzeczy, gdy uzna to za stosowne. Oto, czegom ci nie mówił dotąd, zostając wciąż w zawieszeniu i utwierdzając się w poznaniu zagadnień, które stopniowo odkrywały się przede mną. Milczałem, nie chcąc zuchwale rzucić się w ostateczności. Powiem ci coś więcej o tem wszystkim, jeżeli Bóg da nam łaskę spotkania się kiedyś".¹⁾

Dwaj przyjaciele spotkali się rzeczywiście w Listopadzie 1621, najpierw w Lowanium, a prawdopodobnie następnie w Paryżu; przygotowani przez trzyletnią pracę, zgodzili się wprowadzać zwolna i w wielkiej tajemnicy swój projekt odnowienia Kościoła pod względem doktryny i co do karności kościelnej. W tym właśnie czasie powstał projekt de Bourg-Fontaine. Dwaj przyjaciele jednoczą się z pięciu czy sześciu innymi w Kartuzi tej nazwy, leżącej w lesie de Villers-Cotterets, i formują spisek dążący do zniszczenia religii objawionej, a postawienia na jej miejsce deizmu, lub nawet ateizmu. O takie właśnie ich zamysły spiera się dotąd wielu, lecz zdaniem naszym, błędnie. Że Janseniusz i opat z Saint-Cyran i kilku innych zjednoczyli się w Bourg-Fontaine, to bardzo możliwe; że tam utyskiwano z powodu smutnego stanu Kościoła i rozprawiano o potrzebie gwałtownej jego odrodzenia, to bardzo prawdopodobne; lecz aby mieli tam wyobrazić

sobie usunięcie Kościoła i zastąpienie go przez ateizm, to już przechodzi wszelką miarę. Najmniej do ateizmu był skłonny Janseniusz, również dalekim był od naturalizmu opat z Saint-Cyran. Ani w ich pismach, ani listach, ani w rozmowach ich, ani w życiu, ani w śmierci nie można dostrzedz najmniejszej skłonności do deizmu. Skłaniali się oni raczej w stronę przeciwną: do fanatyzmu religijnego, do surowości nadmiernej; myśleli istotnie nie o ruinie Kościoła, lecz o odrodzeniu go, starając się wszakże go podnieść przez dążenie do błędnego ideału, który powstał w ich umysłach. Dwaj przyjaciele rozstali się wkrótce potem, obiecując sobie wzajemną tajemnicę roztropności. Istotnie od tego czasu korespondencja ich staje się częstszą, lecz posługują się umówionem pismem tajemniczem, cyfrowaniem, rodzajem żargonu, który z trudnością zrozumieć można.

Janseniusz wraca do Lowanium, pogrąża się znowu w badaniach św. Augustyna i rozpoczyna opracowanie swego *Augustinus'a*, zaś opat z Saint-Cyran jedzie do Paryża i zrećnie stara się o wytworzenie sobie stosunków i rozpowszechniania swoich idei. Wszedł w stosunki z Andillym, a przez niego z jego siostrą, matką Maryą-Angeliką, młodą opatką i reformatorką klasztoru Port-Royal, która wprowadza go do swego klasztoru i niestety całą duszę swą, całą swą gorliwość, całą swoją czystość anielską i cały swój wpływ oddaje na usługi ohydnej jego doktryny.

Opat Saint-Cyran, wcisnąwszy się w ten sposób i utrwalwszy się w opactwie Port-Royal, usiłuje jednocześnie wślizgnąć się do Oratorium, gdzie dobrotliwy kardynał de Bérulle, wzruszony jego pobożnością, przyjął go z życzliwością, której ten wnet nadużyje. Odwiedził też Bourdoise'a, który go spotkał z otwartymi ramionami, bo jak tu nie przyjąć radośnie człowieka tak poważnego, tak skromnego, tak serdecznego, tak przywiązanego do Kościoła, na klęczkach asystującego przy adoracji, noszącego sutannę i komżę, śpiewającego w chórze kościelnym. „Jeżeli on ma jakieś podejrzanе przekonania, to nie do Andrzeja Bourdoise należy sąd o tem; on nie jest uczony i znany jest z tego.”

Chociaż to wszystko osoby znakomite, to jednak opatowi de Saint-Cyran chodziło o coś jeszcze więcej; nie zaniebyszał też żadnych zabiegów i wybiegów, aby to osią-

¹⁾ Saint Beuve. Port-Royal. t. I, str. 306.

gnąć. Św. Wincenty była to wcielona prostota i prawość, a co więcej samo miłosierdzie i życzliwość; nie podejrzewał on nigdy zła, żeby zaś w nie uwierzyć, trzeba go było ze dwadzieścia razy o tem przekonać. Ze swej strony opat de Saint-Cyran nie zaniedbywał żadnej okazji przyjsia z pomocą św. Wincentemu à Paulo; a za pośrednictwem swoich przyjaciół, jak pierwszy prezydent Le Jay, adwokat jeneralny Bignon, oddał istotnie znaczne usługi naszemu Świętemu i jego Kongregacyi. Bardzo roztropny i skryty, z początku mówił bardzo mało o swoich poglądach co do stanu Kościoła i o swoich reformacyjnych projektach. Powoli jednak, gdy już mu się zdawało, że opanował tę piękną i tak prostą, a skłonną do zaufania duszę, — rozwiązała się związka języka jego. Pewnego dnia naprowadził rozmowę na jeden z artykułów symbolu kalwinstowskiego i zaczął go bronić. „Czy tak pan sądzisz? — zapytał ś. Wincenty. Bezwątpienia, odrzekł Saint-Cyran; sprawa Kalwina nie była złą, a tylko źle bronioną przez niego; *Bene sensit, male locutus est.*” Innym razem, gdy opat Saint-Cyran podtrzymywał pewną doktrynę, potępioną przez sobór Trydencki: „O! panie, rzekł Święty, — za daleko idziesz, doktryna ta potępiona była. Chcesz więc, żebym więcej wierzył jednemu uczonemu, jak ty, niż całemu Kościołowi, który jest kolumną prawdy. Wszak pojedynczy i najmędrszy człowiek mylić się może. Kościół uczy mię tak, a pan utrzymujesz przeciwnie. O! panie! skąd masz śmiałość przekładać swój sąd nad sąd najlepszych głów świata i tylu świętobliwych prałatów, zebranych na sobór Trydencki, którzy zdecydowali te kwestye? — Sobór Trydencki, odparł Saint-Cyran z oburzeniem i gniewem, — nie mów mi, ojcze, o tym soborze. Był to sobór Papieża i scholastyków; intryga i kabała tam panowały”.

Nasz dobrotliwy Święty głęboko się wzruszył temi słowami; ale dalekim był od myśli zerwania z opatem de Saint-Cyran; przeciwnie, sądził, że obowiązuje go tem większa troskliwość, aby nie stracić możności pomżenia mu w razie upadku, i w tym celu postanowił głębiej go zbadać. Widywał więc go i otaczał względami. Opat Saint-Cyran, nie rozumiejąc prawdziwych powodów względności św. Wincentego, stawał się śmielszym. Raz gdy go odwiedził Wincenty i zastał zagłębianego w czytaniu, aby nie przerywać mu, zatrzymał się w milczeniu. Saint-Cyran, oderwawszy się od czytania, spostrzegł go i zwracając się ku niemu, rzekł „Wi-

dzisz o. Wincenty, co ja czytam? To Pismo Święte. Bóg dał mi tyle intelligencji i tyle światła, że mogę je dobrze tłumaczyć. Otóż śmiem powiedzieć, że Pismo Święte jaśniejszem jest w moim rozumie, niż samo przez się.”¹⁾

Innego dnia św. Wincenty po Mszy św., którą celebrował w Notre-Dame de Paris, odwiedził opata de Saint-Cyran, mieszkającego w pobliskim klasztorze. Znalazł go zamkniętym w gabinecie, z którego wkrótce wyszedł rozgorączkowany. „Założyłbym się, powiada św. Wincenty z uśmiechem, że napisałeś pan coś, czem Bóg cię natchnął podczas dzisiejszej modlitwy porannej. — Prawda — odpowiedział opat w wielkiem uniesieniu, wyznając, że Bóg dał mi i daje wciąż wielkie światła. Dał On mi poznać, że niema już Kościoła. — Jakto, panie — odrzekł święty Wincenty, — niema Kościoła? — Tak, niema już Kościoła. Dał mi Bóg poznać, że już od pięciu czy sześciu set lat niema Kościoła. Przedtem Kościół był, jak wielka rzeka o czystej wodzie, lecz dziś, to, co nam się wydaje Kościołem, błotem jest tylko. Łóżysko tej pięknej rzeki jest jeszcze to samo, lecz wody już w niem niema. — Panie! — zawołał św. Wincenty, wierzysz więc własnym wrażeniom i powstającym z nich osobistym uczuciom, a nie słowom Pana Naszego Jezusa Chrystusa, który zapowiedział, że na opoce zbuduje Kościół swój i bramy piekielne nie przemogą go? Kościół jest oblubienicą Jego i nigdy On jej nie opuści. — Prawda, że Jezus Chrystus zbudował swój Kościół na opoce; lecz jest czas budowania i czas upadku. Był on oblubienicą jego, lecz dziś to cudzołożnica i wstecznicą; dlatego też odepchnął On ją od siebie i chce, aby na jej miejscu, była inna, która będzie Mu wierną.” — Głęboko zasmucony nasz Święty ograniczył się do takiej tylko odpowiedzi: „Wierz mi, że nie powinieneś tak ufać swojemu rozumowi, który nastrecza ci pojęcia i uczucia tak dalekie od tego szacunku, jaki winniśmy Kościołowi.” — „Ależ ty sam, ojcze który tak pięknie mówisz, — odrzekł zgryźliwie Saint-Cyran, — czy ty wiesz dobrze co to jest Kościół?” — „Kościół — rzecze św. Wincenty, to, jak nas uczy katechizm przez niego podany, — to zebranie wiernych pod przewodnictwem naszego Ojca Świętego Papieża i prawych pasterzy.” — „Ba! Ba! ro-

¹⁾ Maynard t. II, str. 240.

zumiesz to po chłopsku.” — „Ależ to rozumienie samego Kościoła!” — „Jesteś ignorantem i nie jesteś godzien, by stać na czele waszego Zgromadzenia; zasługujesz, by wypędzono cię stamtąd i mocno się dziwię, że cię jeszcze znoszą.” — „Niestety! ja więcej się dziwię temu, niż ty; bo większym ignorantem jestem, niż myślisz, i gdyby postąpić chciano według słuszności, to należałoby mię wyrzucić ze Zgromadzenia od św. Łazarza.”

Co za przedziwna rozmowa! jak się maluje cała dusza św. Wincentego: — moc jego wiary i głębokość pokory!

Opat Saint-Cyran nigdy dotąd tak jasno się nie wypowiadał.

Św. Wincenty à Paulo odszedł przygnębiony, lecz nie myślał jeszcze, żeby z tego powodu powinien zerwać z tym człowiekiem; przeciwnie, postanowił podwoić usiłowania, aby go zbawić. Dowiedziawszy się, że miał wkrótce opuścić Paryż i udać się do opactwa Saint-Cyran, zdecydował się na wielki wysiłek, aby go oświecić. Usposobiwszy go wpieryw do przychylnego przyjęcia od siebie uwag, św. Wincenty mówił mu o obowiązku poddania się opinii Kościoła i uszanowania decyzji soboru Trydenckiego. Potem, zwróciwszy się do przedmiotu uprzedniej rozmowy, wykazał mu całą sprzeczność jego poglądów z nauką katolicką. Kończąc zaś, dodał: „Zgubionym jesteś, jeżeli pójdziesz dalej i zagłębisz się w labiryncie tych błędów. Ale zgubisz tylko siebie samego; moje przynajmniej Zgromadzenie nie pójdzie za tobą.”

„Zagrzany gorliwością i miłosierdziem, Święty ożywiał się stopniowo i ku końcowi rozmowy mówił z taką siłą i mocą, że S.-Cyran był zdumiony i nie znalazł żadnego słowa odpowiedzi”.¹⁾

Po przybyciu do Poitou, do opactwa swego, S.-Cyran sądził, że jednak nie należy zostawić Wincentego bez odpowiedzi, napisał więc długi list, wielce zagmatwany co do treści. W liście tym, potrąciwszy o zarzuty stawiane mu przez św. Wincentego i nie tłumacząc się już wcale, wylicza S.-Cyran wielu znakomitych biskupów, którzy aprobowali jego pojęcia i usiłuje zdobyć na nowo przyjaźń jego, przypominając wszystkie oddane mu przysługi.

Ten wykrętny sposób podsuwania swojej doktryny już to idąc naprzód, już to cofając wstecz, stał się używany przez opata S.-Cyran nie tylko względem św. Wincentego à Paulo, lecz i względem całego mnóstwa innych wybitnych osób, oraz dyrektorów zgromadzeń, tak, że pogłoski o tem, rozchodziły się po Paryżu i doszły do Richelieu, który, pragnąc spokoju i w Kościele i w państwie, zaczął się tem niepokoić i baczniejszą rozwinął czujność.

W r. 1632 ukazał się gruby tom łaciński, zatytułowany *Aurelius*. Było to dzieło opata z S.-Cyran, wydane bezimiennie, którego autorstwa wypierał się usilnie. Doktryna zawarta tam była złą; starano się spaczyć prawdziwą konstytucję Kościoła, podnoszono władzę biskupów, stawiając ich narówni prawie z Papieżem. Z drugiej zaś strony kapłanów czyniono równymi biskupom. Kościół przestawał być monarchią, stawał się republiką, w której boskie działanie spaczyło się w biegu wieków. Co się tyczy moralności i karności kościelnej, błędy były nie mniej poważne. Omyłką było, wedle autora, usunięcie pokuty publicznej i należało ją przywrócić. Przesadzano co do pojęcia o władzy rozgrzeszenia; należało dawać je tylko po odbytej pokucie, pokuta to właśnie i żal za grzechy miały większą moc zgładzenia grzechów, niż absolucya, która powinna być li tylko ujawnieniem odbytej pokuty. Również, wedle autora, spaczoną została prawdziwa nauka Kościoła o ułatwianiu i zachęcaniu do częstego przystępowania grzeszników do Stołu świętego. Komunia jest straszliwą tajemnicą, i nie wielu jest godnych przystępować do niej, a i ci potrzebują bardzo długiego przygotowania.

Doktryny te, zawierające się po części w *Aurelius'ie*, po części zebrane z rozmów opata z S.-Cyran i jego uczniów, były już nie teoretycznymi tylko wywodami; zaczęto je nawet praktykować. W Port-Royal na przykład Matka-Agnieszka pozwalała swoim siostrą pozostawać po piętnaście miesięcy bez spowiedzi; sama nie czuła żadnego żalu, ani upokorzenia, będąc pozbawioną sakramentów, była gotową spędzić tak życie swoje, nie robiąc sobie z tego powodu wyrzutów. Sama nawet Matka Agneta pięć miesięcy pozostawała bez komunii, a nawet nie komunikowała w dzień Zmartwychwstania Pańskiego. W Saint-Merri proboszcz miejscowy du Hamel ustanowił pokutę publiczną. Penitenci podzieleni zo-

stali na cztery rzędy. Ci, którzy winni byli grzechów sekretnych, stanowili pierwszy rząd; w czasie nabożeństwa stali oni w końcu kościoła, oddzieleni o cztery kroki od reszty parafian. W drugim rzędzie byli ci, którzy zostawali w jakiegokolwiek rozterce z bliźnimi, lecz bez zgorszenia dla nich; ci musieli zostawać w przedsionku kościoła. Do trzeciego rzędu zaliczeni byli ci, którzy popełnili jakiś grzech gorszący innych; tych umieszczano na cmentarzu. Nakoniec ci, którzy przez długi czas pozostawali w grzechu, mieścili się na pagórku, z którego widać było wejście do kościoła. Wszyscy ci penitenci musieli stać boszo, z odkrytymi głowami przez cały czas nabożeństwa i zadawać sobie jeszcze inne umartwienia, jak post, dyscyplina publiczna i włosiennica. W niektórych kaplicach wprowadzono nawet biczowanie się publiczne. Słusznie zaczęto obawiać się wielkich nieporządków obyczajowych.

Zniecierpliwiony temi agitacjami, Richelieu postanowił wystąpić z całą energią; kazał wśród nocy porwać opata de Saint-Cyran i zamknąć go w wieży de Vincennes. A gdy oburzano się w Paryżu na taką samowolę i echo o tem doszło do uszu kardynała, ten powiedział: „Gdyby tak pochwycili byli Lutra i Kalwina, nie byłoby tego pożaru na świecie.”

Bądź co bądź jednak w tym wypadku postępek Richelieu'go chybił celu. Prześladowanie podniosło znaczenie opata de S.-Cyran i otoczyło go aureolą męczeństwa. Jednocześnie z aresztowaniem, zabrano wszystkie papiery opata, spisano je, czytano, dyskutowano nad nimi, zerwano osłony, pod którymi ukrywały się one i tym sposobem rozeszły się one wśród ludzi: „podobne, powiada Lancelot, do magazynów, zagarniętych przez nieprzyjaciela, z których rozgrabione zostają ukrywane się tam skarby.”

Po całym Paryżu rozeszła się wieść o tem aresztowaniu i tyśiące pogłosek krążyło z tego powodu. Mówiono wiele, choć zupełnie bezpodstawnie, że wspomnimy tylko o tem, co się tyczy św. Wincentego à Paulo, że tegoż wieczora odwiedził on pana de Barcos, siostrzeńca opata de S. Cyran i wyraził mu serdeczne współczucie. Dodawano nawet, że przesłał on więźniowi notatkę poufną, w której doradzał mu mieć się na baczności przy odpowiedziach i dawać je tylko na piśmie, aby nie przekreślano tego, co powie. P. de Molé jednocześnie ostrzegał opata, aby, pisząc, zapełniał papier od góry do dołu, w obawie,

by nie dodawano czego do jego pisma, „bo, powiadał, sprawa jest z wrogimi ludźmi”.¹⁾

Obiegały też pogłoski, że Richelieu, wiedząc o bliskich stosunkach św. Wincentego z opatem St. Cyran, rozkazał przywołać naszego Świętego i próbował wybadać go. Lecz ten milczał upornie, co rozgniewało kardynała tak, że odprawił go porywczo, drapiąc się w głowę, co było u niego znakiem wielkiego niezadowolenia.

Wśród przykrości tego procesu, który przeciągał się bez końca, Bóg zesłał naszemu Świętemu pociechę nieoszacowaną. Było to przybycie do Paryża czcigodnej Matki de Chantal, która pomimo 69 lat, po założeniu 86 domów, mając przed sobą już tylko miesiąc życia, przybyła pożegnać Paryskie córki swoje. Ujrzał więc tę przedziwną niewiastę, której synem nazywał siebie, zowiąc ją matką, jedyną matką swoją²⁾, którą czcił, a nawet więcej, miał dla niej uczucie synowskiego przywiązania, i objawów tego nie umiał ukryć, pomimo całej powściągliwości swojej. „O droga matko moja, pisał do niej, pozwól mi zapytać cię, czy niezrównana dobroć twoja pozostawia mi jeszcze szczęście posiadania miejsca w twojem drogiem i tak miłym sercu!”³⁾ I jeszcze: „O jakie Bóg mi daje uczucie względem drogiej matki mojej, którą miłuję nadewszystko”.⁴⁾ Chociaż ona o cztery tylko lata była starszą od niego, chociaż był jej spowiednikiem i kierownikiem sumienia, w czasie pobytu jej w Paryżu, to jednak zawsze uważał się za jej syna. Czcił ją za niezrównaną jej cnotę i za jej wielkie przymioty naturalne, tak wyjątkowo połączone z darami świętej duszy. Widział w niej umysł prawy, przezorny, stały w najwyższym stopniu.”⁵⁾ Zazdrościł jej ruchliwej działalności: „O matko moja, pisał, proś o cnotę gorliwości dla mnie u Boga, który cię tak obficie nią obdarzył.”⁶⁾ Podziwiał w niej dar mocy i stałości, połączony z niezmierną łagodnością i słodyczą. „Będę się starał być ci posłusznym pod względem domu na

1) Saint-Beuve. *Port-Royal* I. 513.

2) *Lettres* I 335 № 301.

3) *Ibid.* 257 № 244.

4) *Ibid.* 378 № 335.

5) *Ibid.* 385 № 341.

6) *Ibid.* 336 № 301.

przedmieściu i zaprowadzę tam żądany przez ciebie porządek, jeżeli otrzymasz od Pana Naszego to, aby udzielił mi tej mocy i stałości, jaką ci dał przy łagodności i słodczy twojej.”¹⁾ Przedewszystkiem wierzył zupełnie w jej niezrównany rozsądek i zdrowy sąd o rzeczach. Poddawał pod jej sąd plany i projekty swoje i bardzo pokornie prosił o zdanie w sprawach nawet najważniejszych swojej Kongregacji.²⁾ Niemniej też z wielką prostotą i z niezrównaną pokorą przedstawiał te ulepszenia, jakichby pragnął w jej zgromadzeniu. Św. Wincenty pragnął ustanowienia generalnego wizytatora dla wszystkich domów Wizytek; święta Chantal nie zgadzała się na to. Z tego powodu pisze on: „O Boże! zupełnie poddaję i chęci moje i sąd mój, nie wątpiąc, że nie było w tem woli Bożej, ponieważ ona zgodną nie jest z wolą czcigodnej matki mojej, która jest moją jedyną, jaką po Panu Naszym czczę i kocham czulej, niż kiedykolwiek dziecię miłowało i czeiło matkę swoją, a te uczucia moje zdają się dochodzić do tego, iż mam tyle poważania i miłości i mógłbym udzielić z nich światu całemu i to z pewnością bez przesady”.³⁾ Lecz nie nie wyrówna świadectwu, jakie dał wkrótce potem, w którym oświadcza, że znał ją lat przeszło dwadzieścia; że ona zawsze miała otwartą przed nim całą duszę swoją; że znajdował ją zawsze odznaczającą się we wszelkiego rodzaju cnotach: w pokorze, umartwieniu, posłuszeństwie, gorliwości, w miłości Boga; i że przez cały ten wielki przeciąg czasu nie zauważył w niej żadnej niedoskonałości.”⁴⁾

Święta Chantal ze swej strony żywiła również uczucia podziwu i czci względem Św. Wincentego. Dziękowała wciąż Bogu, że paryskim jej córkom dał takiego przewodnika. Nie czuła się być godną córką jego. Odkrywała mu serce swoje, swoje sumienie z prostotą dziecka, i gdy zdecydowała się na podróż do Paryża, wielką czuła radość, że przed śmiercią ujrzy jeszcze kierownika duszy swej. Szczęśliwe to chwile, gdy dwie dusze, przeniknione miłością Boga, wzajemnie promieniają ku sobie boskim światłem, które je pożera! Jaki to nieu-

stanny szacunek wzajemny, jak święty podziw! Jak miło musiało być świętej Chantal widzieć, po raz ostatni pod okiem świętego kierownika swego, duszę swoją za życia, nim stanie przed Sędzią najwyższym! Lecz i dla Św. Wincentego à Paulo, co za radość wpatrywać się w tę pokorę, prostotę, prawosć! jak miło odwrócić uwagę od widoku wykretności i dwuznaczności, które miał wówczas przed oczami w opacie de S. Cyran, Matce Angelice i w całym rodzącym się Jansenizmie!

Aby zdać sobie sprawę ze stosunków, które istniały pomiędzy św. Wincentym à Paulo i św. Chantal, trzeba wiedzieć, że od r. 1619, gdy zakon Wizytek założony został w Paryżu, św. Franciszek Salezy, chcąc powierzyć kierunek swojemu zakonnicami kapłanowi, obdarzonemu wszystkimi przymiotami, niezbędnymi do tak ważnej posługi, wybrał św. Wincentego à Paulo, wówczas mało znanego w Paryżu, nie mającego jeszcze żadnego znacniejszego urzędu, w którym jednak on, z właściwą sobie przenikliwością, dopatrywał się Bożego człowieka, którego wizerunek, jako kierownika sumienia, nakreślił w swojej *Introduction à la Vie devote*. (Droga do życia pobożnego). Urząd ten św. Wincenty à Paulo zachował aż do śmierci, to jest przez lat czterdzieści. Św. Chantal od czasu do czasu przybywała do Paryża; miała więc sposobność widywania św. Wincentego à Paulo, rozmawiała z nim otwarcie, już to o usposobieniach swojej duszy, już to o swoim zakonie. Od czasu zaś śmierci św. Franciszka Salezego, z zupełnem zaufaniem oddała się pod jego wyłączne kierownictwo; prowadziła z nim bardzo pilną korespondencję, w której podziwiać można szacunek wzajemny, i uczucia pełne czci, które te dwie wielkie dusze wzajemnie ku sobie ożywiały. Wobec tego nie powinno zadziwić widzenie, które wnet opowiemy, a o którym wiadomość zawdzięczamy samemu św. Wincentemu à Paulo.

Św. Wincenty à Paulo chciał zatrzymać świętą Chantal w Paryżu. Zbliżała się zima, rozpoczął się Listopad przykry i chłodny. Św. Wincenty czuł obawę, że podróż będzie dla niej zgubną, lecz błogosławiona Chantal spełniwszy to, co ją do Paryża przywiodło, poco by więc miała pozostawać jeszcze? Odejechała 11 Listopada, a w miesiąc potem 13 Grudnia 1641 zgodnie z przewidywaniem św. Wincentego à P. umarła na ręku pani de Montmorency.

1) Lettres 373 № 330.

2) Ibid. 253 № 244.

3) Id. 335 № 301.

4) Id. 385 № 341.

Na pierwszą wiadomość otrzymaną o poważnej chorobie, św. Wincenty padł na kolana, modląc się za nią do Boga; i wówczas miał owo widzenie dwóch kul. Trzeba posłuchać opowiadania o tem z własnych ust Świętego. Opisał on to Wizytom, aby pocieszyć je w tak wielkiem nieszczęściu. Po wypowiedzeniu pochwał, dla świata tem większe mających znaczenie, że pochodzą od człowieka tak umiarkowanego, dodaje:

„Nie wątpię, że Bóg objawi powszechnie kiedyś świętość Matki de Chantal, jak wiem, że już objawił ją na wielu miejscach Królestwa i w najrozmaitszy sposób, z których jeden wydarzył się osobie godnej wiary, która, upewniam, że wolałaby umrzeć, niż skłamać (to mówi o sobie samym).

„Osoba ta, mając wiadomość o śmiertelnej chorobie naszej nieboszczki, padła na kolana, modląc się za nią do Boga, a pierwsza myśl, która jej przysłała, była uczynić akt skruchy za grzechy, jakie popełniła i popełnia zwyczajnie. Bezpośrednio potem ukazała się przed modlącym mała kula jakby z ognia, która podniosła się z ziemi i uleciała połączyć się z inną kulą większą i jaśniejszą od innych w wyższych przestworzach powietrza. I powiedział mu głos wewnętrzny, że kula ta, to dusza naszej czcigodnej Matki, a druga podobna, to dusza naszego błogosławionego Ojca; ¹⁾ owe przestworze zaś to Bóg. Dusza naszej czcigodnej Matki, połączywszy się z duszą błogosławionego Ojca, zatopili się w Bogu, najwyższym początku wszechrzeczy.

„Co więcej ta sama osoba, która jest kapłanem, odprawiając Mszę św. zaraz po otrzymaniu wiadomości o szczęśliwym jej zgonie, w czasie *Memento* za umarłych pomyślała, że dobrze uczyni, modląc się za nią; że może ona jest w czyśćcu z powodu pewnych słów, wypowiedzianych niegdyś, które zdawały się grzechem powszednim; i jednocześnie znowu ujrzał to samo widzenie, te same kule ogniste i ich połączenie. I pozostało mu wewnętrzne uczucie, że ta dusza była już błogosławioną i nie potrzebowała modlitwy. Widzenie to wryło się tak w umysł tego kapłana, iż zdaje mu się, że widzi ją w tym stanie za każdym razem, gdy o niej pomyśli.

¹⁾ Bez wątpienia mowa tu o św. Franciszku Salezym (*przypisek tłumacza*).

„Wątpliwość mogłaby zachodzić co do rzeczywistości tego widzenia, jedynie z tego powodu, że ów kapłan w tak wielkiem poważaniu ma świętobliwość czcigodnej Matki de Chantal, iż nigdy bez łez czytać nie mógł jej o d p o w i e d z i, w przekonaniu, że z Bożego natchnienia było to, co one w sobie zawierały. Lecz z drugiej strony skłania go do przeświadczenia, że było to prawdziwe widzenie ta okoliczność, iż nigdy nie podlegał wizjom i nigdy żadnego innego nie miał widzenia, prócz tego. Dla zaświadczenia wiarogodności tego faktu podpisałem rzeczoną opowieść ręką moją i stwierdziłem naszą pieczęcią”.¹⁾

¹⁾ Lettres I. 384 № 341.

ROZDZIAŁ V.

Święty Wincenty à Paulo walczy przeciwko reformie Kościoła, o którą
kusił się Jansenizm. 1643.

(Ciąg dalszy).

Gdy się to dzieje, Richelieu umarł 4 Grudnia 1642. Pierwszem następstwem tej śmierci było wyjście z więzienia opata de Saint-Cyran. Ponieważ proces się nie skończył i żadnego potępiającego wyroku nie było, więc Ludwik XIII był zdania, żeby go uwolnić. Lecz niezłomny kardynał opierał się temu, twierdząc, że zawsze należy mieć pod ręką ludzi tak niebezpiecznych. Opat więc zostawał w więzy Vincennes, chociaż więzienie jego było już mniej surowe. Przyjmował tam liczne odwiedziny i to z najwyższych sfer społeczeństwa, którym wykladał doktrynę swoją, pisał całe stosy listów, upajał się czytaniem Augustinus'a, który świeżo ukazał się w druku, a w którym znajdował niektóre własne wnioski. Wnioski te zostały tam nieco złagodzone, lecz S. Cyran mówił, że po świętym Pawle i świętym Augustynie, można je było postawić na trzecim miejscu, tak świetnie mówiły o łasce. Tym sposobem potajemnie zyskiwał zwolenników m. i wielkiego Arnault'a. Był też coraz więcej poważany a przede wszystkim poważający samego siebie, jako przewodnik stronnictwa po śmierci Janseniusza. Ale to wszystko, co dziś historia wyjaśniła, wówczas okrywało się ciemnością tak wielką, że wypuszczenie opata z więzienia wielu wydawało się wymiarem sprawiedliwości.

Nie długo jednak opat S. Cyran cieszył się wolnością. We dwa miesiące potem umarł na apopleksję, która go dotknęła wśród dnia. Pogrzeb był uroczysty; wielu arcybiskupów

i biskupów przyjmowało w nim udział, wraz ze znaczną liczbą osób wyższego stanu. Czy św. Wincenty też uczestniczył w pogrzebie? Czy i on pokropił zwłoki wodą święconą? Było to przedmiotem zawziętych sporów. Lecz dlaczego nie miałby tam być; opat Saint Cyran wyrokiem kościelnym potępionym nie był. Jeżeli miał bałamutne przekonania, to nie wyznawał ich publicznie. Umarł w zewnętrznej łączności z Kościołem; biskupi wzięli udział w jego pogrzebie, wraz z książętami i tłumem ludzi. Św. Wincenty à Paulo mógł wybitny wziąć udział w pogrzebie; a nawet powinien był tam być. Wiara jego nie stała mu na przeszkodzie, a serce nakazywało oddać tę ostatnią posługę zmarłemu.

Lecz Św. Wincenty tak dobry i wyrozumiały względem osób, niezłomnym był, gdy chodziło o zasady. W epoce najbliższych stosunków swoich z opatem S. Cyran nie mógł słuchać bez oburzenia niczego, coby chociaż w najłżejszy sposób obrażało zasady wiary... „Wiedz o tem, mówił jednemu z kapłanów swojej Kongregacyi, że ten nowy błąd Jansenizmu, jest jednym z najniebezpieczniejszych, jakie kiedykolwiek trapiły Kościół. Czuję się w obowiązku w szczególniejszy sposób błogosławić Boga i dziękować Mu, że nie dopuścił, aby najpierwsi i najznaczniejsi z pomiędzy tych, którzy wyznają tę doktrynę, których z bliska znałem i którzy byli przyjaciółmi moimi mogli zachwiać przekonani i uczuć moich. Nie zdołam wyrazić tych trudów, jakie sobie pod tym względem zadawali, ani tych wywodów, jakie mi przytaczali; lecz ja zawsze przeciwstawiłem im, pomiędzy innymi argumentami, powagę soboru Trydenckiego, który tak wyraźnie sprzeciwia się ich zasadom i pojęciom. A widząc że nie ustają w usiłowaniach swoich, zamiast odpowiedzi, powtarzałem cichutko moje *Credo*; i w ten to sposób pozostałem niewzruszonym w wierzeniu katolickiem”.

Ta instynktywna odraza, zmieniała się w wyrozumowaną siłę odpychającą, gdy przed oczyma Świętego stanęły, zamiast wyrazów szeptanych do ucha, co do znaczenia których można się było mylić, dwa wielkie dzieła, w których sekta streszczała swój podwójny błąd—teoretyczny i praktyczny. Pierwsze dzieło, którego autorem był Janseniusz, biskup z Ypres, zatytułowane

1) Sainte-Beuve, Port-Royal I, 515.

„Augustinus”, wyszło w r. 1640. Ale dzieło to, napisane po łacinie, traktujące w sposób abstrakcyjny i ciemny o łasce, ukazało się we Francji dopiero w 1643 i nie zajmowano się nim jeszcze. Drugie natomiast dzieło, zatytułowane „De la Fréquante Communion” (o częstej komunii), które złośliwi tytułowali „Contre la fréquante Communion” (przeciw częstej komunii), napisane po francusku, chociaż trochę ciężko, było jednak łatwiejsze, niż tamte do zrozumienia i wzbudziło wrzawę wśród gabinetów uczonych a nawet salonów dam. Powstało ono zapewne z natchnienia opata S. Cyran; znaczna część napisana była niewątpliwie przez niego. Ukazało się w druku na dwa miesiące przed jego śmiercią, w Sierpniu 1643. Opat nie chciał, by tam figurowało jego nazwisko, a podpisał je najuczeńszy z uczniów jego Antoni Arnault. Tę to książkę przeczytał najpierw św. Wincenty; był nią przygnębiony. Czyż zachodzi potrzeba bronić św. Wincentego od podejrzeń o Jansenizm? Samo serce jego starczy za wszelką obronę. Jego pojęcia o Bogu tak dobrym, tak czułym, tak miłującym ludzi, tak miłosiernym, tak skłonnym zawsze do przebaczenia grzesznikom, nie mogły się godzić w żaden sposób ze straszną doktryną Jansenizmu.

Opat S. Cyran mówił: „Bóg jest straszny”. Św. Wincenty zaś: „Bóg jest dobry.” St. Cyran dowodził, że „Chrystus nie za wszystkich ludzi Bóg umarł”; zaś św. Wincenty à Paulo mówił: „Do takiego stopnia umarł za wszystkich, że gdyby była tego potrzeba, to gotów był umrzeć za każdego człowieka z osobna”. St. Cyran twierdził, że „komunia jest straszną tajemnicą, do której prawie nikt nie jest godzien zbliżyć się”. Św. Wincenty à Paulo uczył: „komunia jest tak świętą, że bez wątpienia nikt nie jest godzien zbliżyć się do niej; lecz jest ona zarazem tak słodką, tak przystępną, takim szczytem miłości nieskończonej, że nigdy się do niej nie zbliżymy zanadto”. Oto idee, myśli, przekonania, uczucia św. Wincentego à Paulo.

O! nie, on nie mógł być jansenistą. Nauka ich musiała mu być wstrętą. Przy poznaniu się z St. Cyran'em był dobrym dla niego i serdecznym; potem smucił się, lecz nie potępiał jeszcze, chociaż wiedział więcej, niż się zdawało; zawsze jeszcze miał nadzieję zwrócenia go z błędnej drogi, nie chciał potępiać tego, którego Kościół nie potępił, a na pogrzebie zapewne był obecny, okrywając się płaszczem miłosierdzia, wszystko osłaniającym. Lecz gdy Kościół przemówił i Jansenizm się ukazał takim, jakim

istotnie był, św. Wincenty à Paulo stał się nieubłagany i energicznym wobec fałszywej nauki, równie jak cierpliwym, wyrozumiałym a nawet życzliwym był względem osób. Oto właściwa charakterystyka św. Wincentego.

Z jak wytwornym taktem, z jak przedziwnym zdrowym rozumem rozpatruje on uważnie każdą kartę książki *O częstej komunii* (*Fréquante Communion*)! Jaka gorliwość w obrobie zagrożonej pobożności, w podtrzymaniu zwyczaju częstej komunii! Do tych, którzy mieli śmiałość źle ją przyjmować, co się niekiedy zdarzało, odzywał się w ten sposób: „Prawda, że wielu jest ludzi, którzy nadużywają tego boskiego sakramentu, to też ja, nędzniejszy od wszystkich, proszę was, pomóżcie mi prosić Boga o przebaczenie dla nich. Lecz czytanie tej książki zamiast zachęcać ludzi do częstej komunii, odtrąca ich raczej. Nie widzi się już tej zażyłości z Sakramentem, nawet w czasie Wielkanocnym. Wielu proboszczów Paryskich uskarża się, że mają o wiele mniej komunikujących, niż w roku przeszłym. U św. Sulpicyusza było ich mniej o trzy tysiące osób. Proboszcz od świętego Mikołaja du Chardonnet po nawiedzeniu rodzin w parafii po Wielkiejnocy, mówił mi, że znalazł tysiąc pięćset osób swoich parafian, którzy nie komunikowali; to samo mówili i inni. Prawie nie spotyka się osób komunikujących w pierwszą niedzielę miesiąca i w święta uroczystsze, a przynajmniej jest ich bardzo mało”.

Do tych, którzy przechwalali się dobrymi owocami z czytania książki „*O częstej komunii*”, tak mówił:

„Może być prawdą, że niektórzy mogli odnieść korzyść z tej książki we Francji i we Włoszech; lecz na jedną osobę, która może odniosła z niej korzyść w Paryżu, dzięki jej przejętą większym szacunkiem przy przystępowaniu do sakramentów, jest przynajmniej dziesięć tysięcy osób, którym ona szkodę przyniosła, odwracając ich zupełnie od nich”. Nastawał na ten punkt główny i dowodził go: „Co do tego, że książka „*O częstej komunii*”, powstrzymuje ludzi do częstego spoufalenia się ze św. sakramentami, odpowiem, że prawdą jest raczej, iż książka odwołuje wszystkich od częstego uczęszczania do św. komunii i świętej spowiedzi, chociaż aby lepiej ukryć istotny swój cel, wydaje się być daleką od takiego zamiaru. Istotnie w przedmowie na stronie 36 wychwala pobożność tych, którzy chcieliby odwlec swoją komunię aż do końca życia,

czując się niegodnymi zbliżyć do Stołu Pańskiego? Czyż nie upewnia autor, że chwalimy Boga przez taką pokorę więcej, niż przez jakiegobądź dobre uczynki? W rozdziale II-im części trzeciej czyż nie powiedziano, że nie godzi się mówić o Królu niebios, że On może być uczczonym przez nasze komunie i że Jezus Chrystus jest tylko znieważanym przez nasze częste komunie? Co do mnie otwarcie przyznaję się, że gdybym tak pojmował książkę P. Arnault'a, jak wy ją pojmujecie, to nie tylko na zawsze wyrzekłbym się Mszy Św. i komunii z ducha pokory, lecz czułbym obawę przed Sakramentem, wierząc, że komunikujący ze zwykłym usposobieniem, wymaganem przez Kościół, wpadają w sidła szatana i przyjmują jad zatruwający ich dusze i że w tym stanie zbliżają się do sakramentu jak psy, jak wieprze, jak antychryst". I z pewnym odcieniem ironii i oburzenia, dodaje: „Gdyby zamknąć oczy na wszystko inne, a uważać tylko na to, co mówi się w wielu miejscach książki o tem przedziwnem usposobieniu, bez którego według autora nie wolno komunikować, to czy znajdzie się choć jeden człowiek na ziemi, któryby miał tak wysokie wyobrażenie o swojej cnocie, żeby mógł sądzić, iż jest w stanie, dającym prawo do godnego komunikowania? Jest to chyba tylko udziałem samego P. Arnault'a, który zaznaczywszy tak wysokie wymagania, że i święty Paweł musiałby się obawiać komunikować, nie omieszkiał jednak pochwalić się kilkakrotnie w apologii swojej, że sam odprawia codziennie Mszę Świętą. I w tem równie niepojęta jest pokora jego, jak i jego miłości i dobra opinia, jaką ma o tylu mądrych kierownikach sumień, tak świeckich, jako też i zakonnych i o tylu cnotliwych penitentach, żyjących pobożnie, z których jedni i drudzy służyli za przedmiot zwykłych obelżywości w jego książce. Na koniec uważam za herezję, owe podnoszenie do godności cnoty aktu odraczania komunii aż do chwili śmierci, gdy Kościół tak stanowczo nakazuje nam komunikować przynajmniej raz do roku”.

Jeżeli zaś nie wolno było zbliżać się do komunii świętej, wobec tak wielkich wymagań, to co już mówić o odprawianiu Mszy świętej? Trzeba by było usunąć ją, jak słusznie uważał św. Wincenty à Paulo. „Skoro autor oddała wszystkich od komunii, to już tem samem dąży do tego, aby wszystkie kościoły zostawały bez Mszy świętej, gdy tym czasem czcigodny

Beda powiada, że ci, którzy bez wyraźnych powodów opuszczają odprawianie najświętszej Ofiary, już tem samem pozbawiają Tróję najświętszą—należnej jej czci i chwały, aniołów—radości, grzeszników—przebaczenia, sprawiedliwych—łask i pomocy, a dusze w czyśćcu cierpiące—ochłody. Pozbawiają też Kościół łask duchownych Jezusa Chrystusa, a siebie samych—lekarstwa i naprawy. Wszystkie te boskie skutki Mszy świętej bez skrupułu przypisuje autor kapłanowi, który cofa się od ołtarza w duchu pokuty, jak to widać z rozdziału XXXX pierwszej części dzieła. O tym duchu pokuty wyraża się, że jest pożyteczniejszym, niż ofiara Mszy św. Któż więc nie dojrzy, że mowa taka jest skierowaną ku temu, aby wmówić w kapłanów pożyteczność zaniechania Mszy św., skoro się zyskuje tyleż przez zaniechanie jej jak i przez odprawienie, a nawet według zasad P. Arnault'a zyskuje się więcej? Skoro autor tak podnosi wysoko oddalenie się od Komunii, to tem większą jeszcze wedle niego powinno być zasługą usuwanie się od Mszy św. czyli że nieodprawianie Mszy Św. jest lepsze, niż sama Msza”.

Tak energicznie walcząc w obronie praktyki częstej Komunii św. Wincenty z niemniejszą siłą występował przeciw temu wskrzeszeniu pokuty publicznej, które wiodło ludzi do oddalenia się także i od spowiedzi, zalecając przerwę trzech lub czterech miesięcy czasu pomiędzy spowiedzią a rozgrzeszeniem, pod pretekstem, że nie można otrzymać rozgrzeszenia bez doskonałej skruchy. „Prawda, powiada nasz Święty, że św. Karol Boromeusz wzbudził ducha pokuty w swojej dyecezyi, lecz ustanowił on pokutę nie usuwającą od św. spowiedzi i najczcigodniejszej komunii, chyba tylko w wypadkach przez kanony przewidzianych, co też dotąd czynimy w razie objawów nieubłaganej nienawiści i publicznych grzechów. Lecz dalekim on był od tego, co powiadają, że jakoby nakazał pokutę publiczną za grzechy tajemne, lub też wymagał zadosyćuczynienia przed rozgrzeszeniem, jak tego żąda autor książki. Nigdzie nie znajdziemy dowodu na to, żeby miał ustanawiać pokutę publiczną i zalecić usuwanie od komunii św. za wszelkiego rodzaju grzechy śmiertelne, ani też, żeby żądał trzech czy czterech miesięcy czasu pomiędzy spowiedzią a rozgrzeszeniem, jak to nakazują nowi refomatorzy, nawet z powodu grzechów zwyczajnych. Mogą być wprawdzie wypadki zbyt łatwego dawa-

nia rozgrzeszenia wszelkiego rodzaju grzesznikom, co właśnie oplakuje św. Karol Boromeusz, to jeszcze nie wynika stąd, by wielki ten Święty miał aprobować ostateczności, w które rzuca się p. Arnault, gdyż są one zupełnie sprzeczne z wielką ilością zaleceń i rozporządzeń jego."

Gdy na to powiadano, że karność co do pokuty i nawet pokuty publicznej, odbywanej przed rozgrzeszeniem, sięga czasów apostołskich i czasów Jezusa Chrystusa, i że Kościół nie mógł jej usuwać, nie przestając przez to być kolumną prawdy, święty Wincenty à Paulo odpowiadał: „Wszystko to błąd; Kościół, który nie zmienia nic, co się tyczy wiary, czyż nie może zmieniać ustaw dotyczących karności? A nawet Bóg, niezmienny sam w sobie, czyż nie zmienia postępowania swego względem człowieka? A Pan nasz Syn Boży, czyż nie zmieniał niekiedy postępowania swego? A Apostołowie? Z jakiej więc racji ów człowiek powiada, że Kościół byłby w błędzie, gdyby nie odnowił tych rodzajów pokuty, jakie praktykował w przeszłości? Czy takie twierdzenie jest katolickie?"

Jeżeli książka Arnaulta „O częstej komunii", tak bardzo wzruszyła naszego Świętego, to wzruszenie to było jeszcze większem, gdy zaczął studyować „Augustinusa" Janseniusza, biskupa z Ypres. Książka „O częstej komunii" tyczyła się niektórych, najpotrzebniejszych co prawda, praktyk Chrystyanizmu; „Augustinus" zaś napastował samą jego konstytucję. Wcielenie głoszone za konieczne; Odkupienie spełnione dla niektórych tylko (wybranych) ludzi; wolna wola zagasła przez grzech; łaska wszechpotężna, druzgocąca wolę; zbawionych mała liczba i to niewiadomo za co, raczej przez samowładną wolę Bożą; reszta rzucona, wedle słynnego orzeczenia, na pastwę masowego zatracenia: — oto jakim gatunkiem Chrystyanizmu niesprawiedliwego i okrutnego Janseniusz pragnął zastąpić tak ludzkie i tak miłościwe dzieła Pana naszego Jezusa Chrystusa. Zaciekle walczyła się z powodu grubego tomu in folio „Augustinusa", a w tej walce przyjęli udział nie tylko teologowie, lecz i ludzie świeccy: a poruszyła ona nie tylko uniwersytety, lecz i salony. Echa jej odzywiają się w listach Pani de Sevigné.

Aby zaś ciosy nie trafiały w próżnię pewien doktor teologii, mistrz Bossuet'a, „człowiek dawnego pokroju, dawnej prostoty, dawnej prawości" Mikołaj Cornet dzieło, grube in folio,

streścił w pięciu propozycjach, „które są, powiada Bossuet, duszą książki, są nią samą". Posłuchajmy co mówi o tem Bossuet w mowie pogrzebowej po śmierci Cornet'a i skorzystajmy przytem z mistrzowskiego rzutu oka na całą sprawę Jansenizmu. W kilku słowach rozświeca on wszystkie te pełne ciemności majaczenia. „Dwie niebezpieczne choroby trapiły ciało Kościoła za naszych czasów; niektórzy doktorowie czuli nieszczęśliwą i nieludzką przyjemność, i z zabójczą litością poczęli podsuwać poduszki pod łokcie grzeszników i szukać okrycia dla ich namiętności. Inni niemniej krańcowi, utrzymywali sumienie w niesprawiedliwych i surowych więzach, nie znosząc żadnej słabości. Ci sprowadzają spustoszenie przez inny wybryk ducha pobożności; wszędzie upatrują zbrodnie i obciążają nowem brzemieniem jarzmo, przez Boga słabości ludzkiej nałożone. Któż tego nie widzi, że ta surowość zaognia pychę, żywi pogardę, utrzymuje dumny smutek i ducha okazałej wyłączności, ogłasza cnotę za niedosięglą Ewangelię za coś przesadzonego, Chrystyanizm za niemożliwy".¹⁾

Otóż ten dumny smutek, ten duch okazałej wyłączności, ta surowość, żywiąca pogardę, to cały opat z Saint Cyran i jego szkoła.

Bossuet mówi dalej: „Największe prawie wysiłki tej nowej burzy wypadają na czas, gdy Cornet był syndykiem teologicznego fakultetu. Widząc powstające wiatry, gromadzące się chmury i podnoszące się coraz wyżej fale, sam spokojny i poważny począł uważniej przypatrywać się, czem była ta nowa doktryna i co to były za osoby, podtrzymujące ją. Wiedział więc, że św. Augustyn, którego poczytywał za najoświeczonego i najgłębszego z doktorów, przedstawił był Kościołowi doktrynę świętą i apostołską, tyczącą się kwestyi łaski chrześcijańskiej, lecz, że niebiańska ta doktryna znajdowała się w obsłonach niesłychanych trudności, z powodu czy to przyrodzonej słabości umysłu ludzkiego, czy dla głębokości i subtelności kwestyi, czy wreszcie z powodu koniecznych i nieodłącznych warunków wiary naszej, wśród tych niejasności, — dosyć, że była obawa, aby nie dopuszczono mniemania, któreby druzgotało zupełnie wolną wolę człowieka. Następnie rozwa-

¹⁾ Bossuet. Paris Louis Vives 1864. T. XII. str. 669.

zał, z jakim rozumem cała szkoła, i cały Kościół stawali w obro- nie prawdziwych zasad i widział, że natomiast umysły no- wych doktorów tak były uprzedzone, iż zamiast opanować te trudności, stawiali swoją własną doktrynę, jako nieomył- ną prawdę, zamiast odrzucić wnioski, które prawowierni teo- logowie uważali zawsze za zgubne, a przejąć czystą doktrynę św. Augustyna i Kościoła, oni przeciwnie wykładali ją po swoje- mu. To co innym zdawało się szkopułem niebezpiecznym dla okrętu, oni przeciwnie, nie obawiali się przedstawić nam jako port zbawienny, do którego dążyć należało”.

Bossuet zresztą sam wielki umysł, nie usiłuje wcale obni- żać wartości przywódców Jansenizmu i pisze dalej: „Mądry nasz i przezorny syndyk sądził, że ci, o których mówimy mniej więcej byli tego rodzaju wielcy, wymowni, śmieli, zdecydo- wani, umysły mocne i oświecone, lecz zdolni bardziej do po- suwania się do ostateczności, niż do powstrzymywania rozumo- wań swoich na niebezpiecznej pochyłości; zdolniejsi do nara- żenia na szwank całości prawd chrześcijańskich, niż do spro- wadzania ich do naturalnej ich jedności... Tymczasem umysły się poruszyły i sprawy poczęły się wikłać coraz bardziej. Ten ruch żarliwy i potężny, mileby czarował ucho, gdyby nie po- ciągnął za sobą kwiatu uniwersytety i młodzieży”.

Jak to wszystko dobrze jest powiedziane; autor upiększa przelotnie i nadaje prawie woń balsamiczną tym skromnym i nikłym kwiatkom posępnych ław Sorbony! Idąc zaś do końca, sięgając istoty rzeczy, Bossuet podaje wyciąg pięciu propozycji i przedstawia go nam w określeniach doskonale rozważonych, jako prawdziwą kwintesencję. „Nikt nie był lepiej świadomy decydującego punktu kwestyi nad Corneta. Znał on doskonale krańce i granice wszystkich opinii szkół teologicz- nych, dokąd dążyły i gdzie poczynają rozszczepiać się. Z tego doświadczenia i z tej wybornej znajomości rzeczy i z zespołu najlepszych głów Sorbony, powstał ów wyciąg pięciu propo- zycji, które stanowią ściśle odgraniczenie prawdy od błędu i pewien, że tak powiem, właściwy i wyłączny charakter tych nowych opinii. Podał on do rąk wszystkich środki do jedno- zgodnego wystąpienia przeciwko tym niesłychanym nowinkom”.

Te pięć propozycji przedstawione w Sorbonie w Lipcu 1649, następnie osądzone tam, odesłane zostały do Rzymu, przy liście podpisanym przez blisko ośmdziesięciu pięciu bi-

skupów. Nasz Święty usilnie pracował nad zebraniem tych pod- pisów. Pisał na wszystkie strony; wyrobił nawet to, że Anna Austriacka napisała do Papieża, prosząc o przyspieszenie wyroku co do tego artykułu wiary.

„Od trzech miesięcy, powiada św. Wincenty, odpowiadając medytację na temat nauki o łasce i Bóg codziennie zsyła mi nowe światło, które mię utwierdza w wierze, że Pan Nasz umarł za wszystkich ludzi i pragnie zbawienia wszystkich;”. To samo co do kwestyi łaski, danej wszystkim w mierze dosta- tecznej dla każdego, powiada: „O! zaiste, nie wiem w jaki spo- sób Bóg, dobroć nieskończona, otwierający wciąż ramiona do ujęcia grzeszników: *Expandi manus meas quotidie*,—mógłby mieć serce, aby odmawiać swej łaski tym, którzy Go o nią proszą i dać się wyprzedzić w dobroci Dawidowi, który tak usil- nie chciał znaleźć kogoś z domu nieprzyjaciela swego, aby uczynić nad nim miłosierdzie”.

W ten sposób św. Wincenty à Paulo w sercu swoim, w natchnieniach przedziwnej duszy swojej, znajdował pełną prawdy odpowiedź na okrutne sofizmata herezyi.

Jednocześnie ze zbieraniem podpisów biskupich na liście donoszącym Papieżowi o pięciu propozycjach, porozumiewał się św. Wincenty z o. Olier i Bretonvilliers'em, co do posłania do Rzymu teologów, w celu przedstawienia Papieżowi i kardynałom niebezpieczeństwa, jakim propozycje te zagrażały Ko- ściółowi francuskiemu. Janseniści wysłali już tam byli kilku, a w szczególności sławnego ojca de Mares z Oratorium. Nie wchodzi w zakres planu naszego opowiadanie o niewyczer- panych rozprawach, które miały miejsce wówczas, o licznych posiedzeniach specjalnie ustanowionej przez Papieża kongre- gacyi, z których w dziesięciu czy dwunastu sam Papież Inno- centy X czuł się w obowiązku uczestniczyć, prześiadując po trzy i cztery godziny na każdym. Ostatnie było solenne po- siedzenie, na którym ojciec de Mares cztery godziny przema- wiał w obecności Papieża. Nie będziemy opowiadać o tysią- cach innych zebrań w tym przedmiocie; musimy tylko powie- dzieć, że nakoniec rano 9 czerwca 1653 r. Innocenty X, we- zwawszy pomocy Bożej, jednemu z sekretarzy swoich w cią- gu jednego poranka podyktował bullę *Cum occasione*. Kazał ją tegoż wieczora rozlepić na plac Flory i bezpośrednio wy- prawił do Francyi.

Św. Wincenty bardzo się ucieszył z otrzymanej bulli. Napisał niezwłocznie do biskupa z Cahors ks. de Solminihac: „Przesyłam Wasz. Ex. nowinę, która bardzo go pocieszy: Janse- niści są potępieni i pięć propozycji uznane zostały za heretyckie dnia 9 Czerwca. Bulla ogłoszona została w Rzymie tegoż dnia i przybyła do naszego miasta w uroczystość Św. Piotra; przedsta- wioną została królowi i królowej przez ks. nuncjusza. Ich Królewskie Moście bardzo ją dobrze przyjęli, a ks. kardynał obiecał przyłożyć rękę do jej wykonania. Cały Paryż zadrżał radośnie, przynajmniej wszyscy ludzie dobrej woli, inni zaś, oświadczają chęć poddania się jej.

P. Singlin patriarcha stronnictwa wraz z p. Arnault'em, po- wiedział, że należy być posłusznym Stolicy Apostolskiej a ks. du Hamel, proboszcz z Saint-Merri, jedna z podpór tej nowej doktry- ny, jest również dobrze usposobiony i oświadczył, że sam osobiście ogłosi bullę w swoim kościele. Wielu z główniejszych pomiędzy nimi jak pan i pani de Liancourt, powiadają, że nie są już tem, czem byli. Krótko mówiąc, spodziewają się, że wszyscy się zgo- dzą. Niektórym tylko trudno jest przełknąć tę pigułkę i ci powia- dają, że chociaż przekonania Janseniusza zostały potępione, to jednak ich przekonania nie podlegają temu potępieniu; lecz coś podobnego słyszałem od jednej tylko osoby. Tak jest, Ekscelencyo, wyrok ten jest łaską Boga tak wielką, iż wszyscy tu obchodzą go świętecznie, a ci, którzy wiedzą, jakie zło te niedawne agitacje sprawiały, nie mogą dostatecznie nacie- szyć się dobrem obecnem”.¹⁾

Jednocześnie i Wincenty udał się do Port-Royal, o którym mówiono mu, że samotni uczniowie St. Cyran'a zdecydowani byli w zupełności poddać się wyrokowi bulli. Wiele godzin prze- był z nimi, czule im winał posłuszeństwa dla Stolicy Apo- stolskiej i utwierdzał ich w uczuciach poważania, przyjaźni i zaufania. Niestety! to zupełne poddanie się Papieżowi miało tam trwać tylko dzień jeden.

Łatwo zrozumieć, że człowiek tak gorliwy o zabezpiecze- nie od błędu wszystkich wogóle kapłanów i chrześcijan, mu- siał mieć oko otwarte i baczne względem swojego Zgromadzenia i względem każdego z członków jego, aby utrzymać ich w zu-

pełnej od wszelkiego błędu czystości. „O Jezu, mówił, nie ucho- dzi, abyśmy mieli różne przekonania w Zgromadzeniu naszym trzeba, żebyśmy zawsze byli *unius labii*, inaczej walczyć be- dziemy jedni z drugimi, zostając w tem samym Zgromadzeniu. A środkiem do tej jedności jest poddanie się zdaniu superyo- ra! Lecz ja powiadam nie superyorowi poddajemy się, a Bogu, przekonaniom Papieża, Soborów i Świętych Pańskich, a kto by nie chciał na to przystać, to dobrze zrobi usuwając się dobrowol- nie, o co go Zgromadzenie bardzo prosi. Wiele Zgromadzeń Kościoła Bożego daje nam w tem przykład: Karmelici bosi na kapitule w roku przeszłym postanowili, aby ich profesoro- wie teologii nauczali wedle dawnej nauki Kościoła i agitowali przeciw nowym doktrynom. Każdemu wiadomo, że czcigodni ojcowie Jezuici, posługują się tym samym sposobem; Kon- gregacya świętej Genowefy każe swoim dyrektorom, by podtrzymywali zdania Św. Augustyna, o co i my też dba- my, tłumacząc wszakże Św. Augustyna w duchu orzeczeń soboru Trydenckiego, a nie odwrotnie, żebyśmy orzecz- nia Soboru mieli tłumaczyć słowami Św. Augustyna, gdyż pierwszy jest nieomylnym, a drugi nim nie jest”. Raz za- pytał go ktoś, czy nie znalazłoby się sposobu pomiarkowania tego zapалу, z którym wywierano nacisk na Port-Royal. „Czyż chcą popychać ich do ostateczności?” powiadano św. Wincen- temu? „Czyż nie lepiejby było ułożyć się z nimi po dobrej woli? Są oni przecież usposobieni do tego, byle traktować ich z więk- szem umiarkowaniem. Niema nikogo zdolniejszego to uczynić od ojca, który potrafisz załagodzić kwasy z jednej i z drugiej strony i doprowadzić do zgody”. Św. Wincenty odpowiedział tylko tyle: „Panie, gdy jeden ze spierających się jest osądzonym, to nie może być innej zgody, jak poddać się wydanemu wyro- kowi”. I jeszcze: „Jakie pojednanie może być z nimi, jeżeli oni nie mają prawdziwego i szczerzego zamiaru poddania się? Jakie umiarkowanie można proponować w tem, co Kościół zdecydował? Są to przedmioty wiary które nie znoszą żadnych zmian. Czyż my mamy przyjąć przekonania tych panów? Prze- ciwnie. Oni właśnie powinni światła swojego umysłu poddać szczerze i prawdziwie postanowieniom Głowy Kościoła i tym sposobem zjednoczyć się z nami. Bez tego warunku, nic nie mo- żemy uczynić w całej tej sprawie, prócz modlitwy o ich nawró- cenie”.

¹⁾ Lettres I 554 № 966.

Taką mocą myśli, taką żywością wyrażenia, taką zarliwością i niezachwianą prawowiernością w zasadach wiary i nauki św. Wincenty à Paulo ochronił swoją Kongregację od wszelkiej styczności z Jansenizmem. Rzecz godna podziwu z trzech kongregacyj, które zdawało się, że przez Boga powołane zostały do zajęcia się wykształceniem kleru francuskiego: jedna najpierwsza Oratoryanów została pomimo jej woli w sposób tajemniczy usunięta od tego posłannictwa i ona jedna została zakażona przez Jansenizm. Dwie inne: św. Wincentego à Paulo i ojca Olier zupełnie zostały niedotknięte tą zarazą. Wolne od wszelkiego błędu a więcej jeszcze, niż opat St. Cyran przeniknione poczuciem bóstwa Pana Naszego, i wysokiem pojęciem łaski kapłaństwa i świętobliwości potrzebnej kapłanom, lecz nie mające tej przesady i krańcowości, jaka cechowała opata, rozpoczęły wychowanie kleru francuskiego, który stał się podziwem drugiej połowy XVII wieku, przeszedł nieosłabiony, przez nieczyny i nieczysty wiek XVIII, miał jeszcze dosyć życia i potęgi, by w 1793 wydać wielką liczbę wyznawców i męczenników; a powrócony z wygnania i więzień, zyskał sobie sławę najpobożniejszego, najczystszonego, najczcigodniejszego kleru na świecie.

Lecz to jeszcze nie wszystko, co uczynił św. Wincenty à Paulo w sprawie odrodzenia kapłaństwa. Poczekajmy lat jeszcze kilka, a po ustanowieniu ćwiczeń dla ordynandów, po konferencyach środowych, po tak szczęśliwym współudziale w zakładaniu seminaryów, po tak gorliwych i rozumnych wysiłkach do odsunięcia od kleru tych suchych doktryn (jansenistowskich), które byłyby oziębiły jego gorliwość, — po tem wszystkim ujrzymy wnet tego skromnego i pokornego księżyne, jak wkroczy do Luwru, do pałacu królewskiego, by zasiąść w nowo ustanowionej *R a d z i e s u m i e n i a* (conseil de conscience), jak zostaje prezesem tej rady i całego wpływu swego użyje, aby dać Kościołowi prawdziwie świętobliwych biskupów, bez czego odnowienie kleru byłoby mrzonką, a odrodzenie Francyi niemożliwością.

ROAZDZIAŁ VI.

Śmierć Ludwika XIII. — Św. Wincenty à Paulo powołany przez Annę Austryacką do „Rady sumienia” (Conseil de Conscience). — Usiłowania jego co do nominacyi dobrych biskupów.

W pięć miesięcy po śmierci Richelieu umarł Ludwik XIII w wieku czterdziestu dwóch lat (14 Maja 1643). Na dni piętnaście przed śmiercią kazał przywołać św. Wincentego, aby mu pomógł umrzeć świętobliwie. Uczynił to nie dlatego, żeby nie miał koło siebie pomocy duchownej, jakiej tylko mógł sobie życzyć: ojciec Dinet zwyczajny jego spowiednik, ks. Segurier biskup z Meaux, pierwszy jego jałmużnik; ks. Cospean, biskup z Lisieux, drugi jałmużnik, zaopatrywali gorliwie jego potrzeby duchowne, lecz często słysząc co mówiono o św. Wincentym à Paulo, o jego miłości ku ubogim, o usiłowaniach uświętobliwienia kleru, o wielkich dziełach miłosierdzia, chciał koniecznie widzieć i mieć go przy sobie w ostatnich chwilach życia. „Opłakany stan zdrowia, przywodził mu na myśl, że chwila końca już jest blizką. Szedł na jej spotkanie z męstwem bohatera, z poddaniem się i ufnością sprawiedliwego, gdyż w koronie, uwieńczonej wawrzynami, żył jednak wyłącznie dla Boga, gardząc wielkością godności swojej i przyjemnościami świata, pełen zaparcia się siebie samego; a wśród utrapień i przeciwności gorliwie zbierał skarb, który nie rdzewieje i nie ginie. Nie nęciły go rozkosze dworu, nie zajmował się nadmiernie wydatkami, ani nawet wojnami a rządach swoich, pilnie baczyl na Boga i na obowiązki swoje. Wszakże grzechy jego, bo któż ze sprawiedliwych jest bez grzechu, jego pokora,

obawa przed strasliwym sądem Bożym, utrzymywały go w pewnem poniżeniu wobec siebie samego i obawie o przyszłość, niemniej nie tracił nadziei w miłosierdzie Boże, skąd płynęło nań wiele łask i światła. Dalekim był od samochwalstwa i od tego, by się mieć za sprawiedliwego, wiedząc co napisane jest, że i sprawiedliwy musi stać się jeszcze sprawiedliwszym. To też ostatki życia swego poświęcił wyłącznie na to, aby powiększyć poddanie swoje i pokutę wewnętrzną.

To wszystko było przedmiotem podziwu, a powiem raczej przedmiotem przerażenia dla tych, którzy z urzędowania swego byli świadkami lub posługiwali mu. Nadto nie mogli oni zamykać oczu i na to, że spokój i prawowierność nie opuszczały go do ostatniego tchnienia, zawsze równie wielkie i podniosłe. To wszystko nigdy nie było zaprzeczane i po śmierci doszło do wiadomości publicznej.¹⁾

Taki król zasługiwał na to, by przygotował go na śmierć—Święty. Otóż w końcu Kwietnia 1643, na dni piętnaście przed śmiercią, polecił Ludwik XIII wezwać św. Wincentego. Pokorny księżyna zdziwił się wielce, otrzymawszy takie zaproszenie; nigdy dotąd króla nie oglądał, widział tylko królowę i zaledwie niejaki stosunki miał z kardynałem. Nie zawahał się jednak; chodziło o duszę, więc z równym pośpiechem, jak biegał do więzień, by dysponować umierającego skazańca, udał się do Saint-Germain-en-Laye, gdzie przebywał Ludwik XIII.

Wejście Św. Wincentego do pokoju, w którym król dogorywał, nacechowane było słodyczą i powagą religijną, harmonizującą z otoczeniem. Św. Wincenty od progu przywitał króla temi słowami: *Sire, timenti Deum bene erit in extremis*. (Najjaśniejszy Panie, bojącemu się Boga dobrze będzie w chwili ostatniej). Na co król, bardzo biegły w Piśmie Świętem, odpowiedział, kończąc powyższy werset: *Et in die defunctionis suae benedicetur*. (I w dzień skonu swego błogosławionym będzie). I rozpoczęła się rozmowa, której tajemnicę umierający uniósł ze sobą do grobu, a pokora Świętego okryła głuchem jak grób milczeniem. Jedno tylko słowo przenikło do nas i wskazuje jak podniosłym był przedmiot rozmowy. Święty mówił królowi o obowiązkach jego i o strasznej odpowiedzialności, jaką

¹⁾ Saint-Simon. Parallèle, str. 335.

dźwiga monarcha i w pierwszym rzędzie stawiał odpowiedzialność z powodu nominacji biskupów. „Ojcze Wincenty, odpowiedział król, jeżeli wrócę do zdrowia, to nie zamianuję żadnego biskupa, któryby trzech lat nie przebył pod waszem okiem”.

Św. Wincenty za tym pierwszym razem pozostał w Saint-Germain około ośmiu dni, nieustannie widując umierającego króla i wzbudzając w nim uczucia wiary, pogardy śmierci, poddania świętej woli Bożej, która nadała dogorywaniu króla znamię wielkiej cnoty.

Pod koniec tych ośmiu dni, nastąpiło zwodnicze polepszenie, które często bywa zwiastunem zbliżającej się śmierci. Św. Wincenty mniemał więc, że może opuścić Saint-Germain i wrócić do Paryża, gdzie nań wiele czekało spraw. Pozostał w Paryżu do 11 Maja; gdy gwałtownie nastąpiło pogorszenie, wezwano go ponownie, a król prosił, żeby go już nie opuszczał.

Trzy dni już tylko żył król, lecz dni te zostały pamiętnymi. Ludwik XIII przygotował się do śmierci po chrześcijańsku i po królewsku; przedsiębrał wszystkie potrzebne środki, by zapewnić królestwu swemu pokój i pomyślność. Przyszłość nie zdawała się zupełnie jasną. Jako następca zostawało czteroletnie dziecię, a na niezbędnych opiekunów były tylko dwie osoby, do których miał król nieszczerne zaufanie: królowa Anna Austriacka, żona jego, której słabość, niestałość i namiętną skłonność względem spraw hiszpańskich były powszechnie znane. Była też ulegającą łatwo wpływom postronnym, nieustannie zmieniając swoich doradców. Drugą osobą króla był brat, Gaston Orleański, lekkomyślny, ambitny, niedaleko widzący, nie posiadający żadnego rodzaju odwagi, nie odznaczający się zdrowym sensem i roztropnością; zawsze gotowy do zwady, a jeszcze więcej do żalowania tego co uczynił, — słowem, najmniej zdolny do rady, do kierowania, do rządzenia. Prawda, że umierający Richelieu polecał mu Mazzarini'ego, lecz ten dopiero od pięciu miesięcy zajmował się sprawami państwa i chociaż dał już dowody wielkich zdolności, nie wiedziano jeszcze, jakie zajmie stanowisko a król, który zaledwie mając czas do poznania go, nie pośpieszył zamianować go na urząd pierwszego ministra, wakujący od śmierci Richelieu'ego.

Rezultatem tych rozmyślań królewskich był testament, podyktowany przez Ludwika XIII ministrowi sekretarzowi stanu Chavigny, w którym mianował królowę regentką, a brata

swego Gastona namiestnikiem jeneralnym pod władzą regentki. Niemożliwem było zrobić inaczej; lecz dodał im księcia Condé jako przewodniczącego w radzie regencyi, i wszystkich rzeczywistych ministrów mianował niezbędnymi i niezmiennymi członkami tejże rady, mając nadzieję, że przez utworzenie tej przeciwwagi, ugruntowanej możliwie jak najmocniej, uczyni wszystko, co leżało w jego mocy dla zostawienia po sobie rządu mądrego i stałego.

„Poczyniwszy te zasadnicze zarządzenia, uznał za potrzebne użyć jeszcze jednego środka, aby zapewnić testamentowi możliwie największą powagę. Zwołał wszystkich najwybitniejszych urzędników dworu, bawiących w Paryżu, do swojej komnaty, gdzie była królowa i książę Gaston, a także kazał wejść pierwszemu prezydentowi na czele bardzo licznej deputacji parlamentu, umyślnie na to wezwanej.

„Z łoża, na którem leżał, miał przemowę pełną uczuć religijnych, pobożności, majestatu i najwyższych zasad państwowych i w obecności królowej i księcia Gastona tłumaczył wolę swoją co do sposobu rządzenia po jego śmierci aż do pełnoletności syna. Zalecał wszystkim wobec tylu znakomitych świadków wierność tym zleceniom, a to z tak niezrównaną mocą duszy, że na wszystkich obecnych wywarł potężne wrażenie. Potem, zwracając się ku sobie samemu, wprowadził w zdumienie i rozrzewnił wszystkich swoją odwagą i tkliwością, pokorą i majestatem. Całe otoczenie nie mogło oprzeć się uczuciom podziwu, słysząc przemowę tak mądrą, tak przewidującą wszystko, tak roztropną, wychodzącą ze zdumiewającą siłą z ust umierającego, wśród tak wielkich cierpień, a nie tracącego nic z majestatu swego, niepomijającego nic, co zbudować mogło, a patrzącego na tak bliską śmierć z taką prostotą, jakby to była mowa o kim innym. W końcu kazał król, aby Chavigny odczytał testament głośno, wyraźnie i tak, aby każdy mógł słyszeć, jakie były jego rozporządzenia. Po skończonem czytaniu Ludwik zapytał obecnych o zdanie i rozkazał, aby wypowiadali je szczerze. Wszyscy przyjęli testament z najwyższem wzruszeniem. Wówczas rozkazał Chavigny'emu, by oddał testament do rąk pierwszego prezydenta, a temu i innym deputowanym parlamentu rozkazał zarejestrować go, by stał się prawem. To uczyniwszy pożegnał obecnych ze wzruszającą czułością i pełnym powagi majestatem, zalecając, aby pamiętali,

o wierności, którą przed chwilą przyrzekli tak następcy, jako też krajowi. Pomimo wyczerpania, któremu musiał ulegnąć, zatrzymał kilku magnatów hugonotów i z uczuciem ojca, przyjaciela i człowieka, który ma za chwilę stanąć przed Bogiem, upominał ich, by poważnie, bez uporów, bez uprzedzeń, wrócili na łono Kościoła, poza którym niema zbawienia. Przemawiał też poszczególnie i do niektórych innych panów katolickich, o ich wybrykach i konieczności poprawy, póki czas. Spełniwszy ostatnią względem świata powinność, nie chciał już myśleć o niczem innem, tylko o dobrej śmierci”.¹⁾

Przywołał więc Św. Wincentego i zapytał go, jaki jest najlepszy środek, aby się do tego przygotować”. „Sire, odpowiedział Święty, środkiem tym jest naśladowanie Jezusa Chrystusa, jak on się przygotował do swojej śmierci, i tak jak on to uczynił — całkowite i doskonale poddanie się woli Ojca Niebieskiego: *Non mea voluntas, sed tua fiat!*”

„O, Jezu, odrzekł pobożny monarcha, ja też chcę tego z całego serca mojego. Tak, o mój Boże, tak powiadam i tak chcę mówić do ostatniego tchnienia życia mojego: „*Fiat voluntas tua!*”

„Z łoża swego widział on kościół, opactwa Saint-Denis i patrzył na nie z radością. Zabronił wszelkich wielkich ceremonij przy pogrzebie swoim i z żalem tylko godził się na te, które były konieczne. Sam zarządził zaprzęg pogrzebowy i wyznaczył drogę pochodu, omijając o ile było można parafie, aby oszczędzić proboszczom trudu spotykania i towarzyszenia pochodowi pogrzebowemu. Wskazując wieżę Saint-Denis, mówił: „Oto gdzie będę wkrótce i pozostanę tam długo. Utrzęsie się srodze ciało moje, bo drogi są złe”. A te wszystkie straszne dla natury ludzkiej szczegóły zarządzenia, czynił z takim spokojem, z jakim za życia wydawał rozkazy co do polowania i rozstawiania koni w podróży. Tyle w tem wszystkim było prostoty i naturalności, że nikomu na myśl nie przychodziło podejrzywać go o affektację, a każdy podziwiał moc charakteru i odwagę, pełną pobożności i bohaterstwa zarazem”.²⁾

Lekarze nastawiali na przyjęcie pokarmu, do czego miał największy wstręt. Widząc się zaś tak blizkim końca, sądził,

¹⁾ Saint-Simon, str. 338.

²⁾ Saint-Simon, str. 339.

że nie był już obowiązany przymuszać się pod tym względem. Jednak i w tem czuł skrupuł, a dając znak naszemu Świętemu, rzekł: „Ojcie Wincenty, lekarze nalegają bym przyjął pokarm; odmówilem, gdyż i tak trzeba umrzeć. Co mi radzisz?”—„Sire, odparł Święty, lekarze zawsze mają za zasadę, aby chory przyjmował pokarm, o ile zostaje choć najmniejsze tchnienie życia, nie tracąc nadziei powrotu do zdrowia. Dlatego też Wasza Kr. Mość dobrze zrobi, przyjmując pokarm”. Król zawołał Seguin’a i kazał przynieść bulionu. Pod wieczór przyjął ostatnie Sakramenta w świętobliwym skupieniu.

„Nazajutrz, 13 Maja, w wigilię śmierci, około południa, podobało się Bogu uczcić życie i śmierć tak świętobliwe łaską nadzwyczajną. Widząc przy łożu swoim, pomiędzy wielu innymi panami księcia de Condé, Ludwik XIII utkwiał wzrok swój w niego, i chociaż wcale nie mówiono wówczas o wojnie, powiedział mu: „Syn twój odniósł znaczne zwycięstwo”. Była to aluzja do młodego księcia d’Enghien i do zwycięstwa pod Rocroi i wszyscy obecni w komnacie królewskiej w najwyższym stopniu zdumieni zostali tem proroctwem, powątpiewając o istocie odezwania się tak krótkiego i tak jasnego, które wcale nie miało styczności z tem wszystkim, co było dotąd mówione. Podejrzewali więc, czy nie był to objaw zamętu w głowie i poczynającego się już zaćmienia umysłu, chociaż dotąd nie nie upoważniało do podobnego mniemania. Istotnie król najprztyomniej odpowiadał na zapytania dawane mu i aż do ostatniego tchnienia zachował zupełną przytomność umysłu.

Rzeczywiście zwycięstwo pod Rocroi odniesione zostało 19 Maja. Podobało się więc Bogu ukazać je w pierw słudze swojemu i pozwolił mu je przepowiedzieć, aby w ten sposób podnieść wobec świata całego pokorę, zaparcie się siebie, szczerą pobożność, niezwykłą cnotę sprawiedliwego, a także dał do zrozumienia, że dary miłosierdzia zostaną w nim uwieńczone koroną sprawiedliwości i wiecznej szczęśliwości.

„Ku wieczorowi dnia tego, 13 Maja, w wigilię śmierci, lekarze, widząc króla śpiącym z odwróconemi oczyma, obawiali się, by nie skonał w ten sposób i zawiadomili o tem ojca spowiednika, który go wnet obudził i powiedział mu, że lekarze utrzymują, iż nadeszła godzina i że należy polecieć swą duszę. W tej chwili chory, poddając się Bogu, uściśnął z wdzięcznością dobrego ojca i dziękował mu za dobrą nowinę, a wznosił-

szy oczy i ręce ku niebu, rozpoczął *Te Deum laudamus* i skończył z tak wielkim zapalem, że dziś jeszcze samo wspomnienie, rozrzewnia mię, gdy mówię o tem”.¹⁾

Noc przeszła w ten sam sposób, świętobliwy król wypowiadał od czasu do czasu kilka wzruszających i wzniosłych słów o szczęściu dobrej śmierci, o nadziei lepszego żywota i o nieskończonej radości widzenia Pana i Boga swego. Jeden z historyków utrzymuje, że nikt z ludzi ani w starożytności, ani z nowoczesnych nie szedł na śmierć z taką odwagą.²⁾

Nazajutrz około godziny dziesiątej, król przywołał swego pierwszego lekarza i powiedział mu głosem pewnym: „Seguin, obacz mój puls i powiedz mi proszę, ile jeszcze mam godzin życia; lecz patrz dobrze, bo chcę wiedzieć prawdę”. Seguin badał puls kilka minut w milczeniu, potem rzekł zimno: „Sire, Wasza Kr. Mość może jeszcze mieć najwięcej dwie lub trzy godziny”. Wtedy król, złożwszy ręce, nie zdradzając najmniejszego zaniepokojenia, zawołał: „Dobrze więc, mój Boże, przystaję na to szczerem sercem!” A wyciągając znowu ku św. Wincentemu swoją słabą i wychudzoną rękę, powiedział: „Spójrz, o. Wincenty, jestże to ręka królewska? Widzisz, że król niczem innym nie jest, jak każdy człowiek!” Bouvart ujął rękę królewską z kolei i powiedział: „Sire, jeżeli mój domysł mnie nie myli, dusza Waszej Kr. Mości prędko wyzwoloną będzie już z więzów ciała, bo już nie mogę wyczuć pulsu”. „Mój Boże, zawołał monarcha, przyjmij mię miłosiernie!” I rozpoczęły się modlitwy za konających, na które odpowiadał król głosem słabym i zamierającym. W kilka chwil potem skonał na ręku św. Wincentego à Paulo.³⁾ Był to sam dzień śmierci ojca jego Henryka IV, 14 Maja 1643”. Uwaga dość płocha, powiada Saint-Simon. Bo był to dzień Wniebowstąpienia, to jest wypełnienia tryumfu Jezusa Chrystusa, dzień wyzwolenia sprawiedliwych starego zakonu i wejścia ich do nieba w ślad za Nim i przez Niego, co wszystko o wiele jest poważniejsze.⁴⁾

Nazajutrz pisał św. Wincenty: „Odkąd jestem na ziemi nie widziałem nikogo bardziej po chrześcijańsku umierające-

1) Saint-Simon str. 341.

2) Priolo, cytowany przez S. Simon’a str. 346.

3) Maynard, t. III str. 388.

4) S. Simon, str. 346

go. Nie widziałem nigdy większego podniesienia ku Bogu, większego spokoju, większej obawy przed najmniejszą czynnością, mogącą być grzechem, większej dobroci, ani większego rozsądku u osoby tak wysokiego stanu".¹⁾ Takie słowa w ustach takiego sędziego są największą pochwałą najświętobliwszego z królów francuskich od czasu św. Ludwika.

Anna Austriacka, która nastąpiła po nim, jako matka czteroletniego Ludwika XIV, i regentka, sprawująca rządy w jego imieniu, nie posiadała tych wysokich cnót Ludwika XIII, lecz była szczerą chrześcijanką. Czy to posłuszna swemu sumieniu, czy też pamiętna na ostatnie słowa św. Wincentego do umierającego króla o straszej odpowiedzialności, jaką pociąga za sobą godność królewska, szczególnie co do wyboru biskupów, dosyć, że jednym z pierwszych jej zarządzeń, było utworzenie tak zwanej *Rady sumienia* (*Conseil de Conscience*). Była to rada, mająca za zadanie pomagać władzy królewskiej w wyborze kandydatów na beneficya. Do rady tej wezwano i św. Wincentego; kardynał Mazzarini, kanclerz Seguier, wielki penitencyaryusz paryski Charton i biskupi z Beauvais i Lisieux zostali również jej członkami.

Niepodobna wypowiedzieć zdziwienia i religijnej trwogi, których doznał nasz Święty, otrzymując tę nominację. On, który zawsze marzył o życiu ukrytem i pragnął stosunków tylko z ubogimi, pomimo swej woli wciągnięty został w wir życia dworu; a co więcej go jeszcze przestraszało, że powołano go do bezpośredniego współudziału w mianowaniu biskupów, arcybiskupów, opatów i wszystkich dygnitarzy Kościoła. Rzecz straszna zawsze, a szczególnie w tej epoce, gdy znakomitsze rodziny oddawały młodych synów swoich na służbę Kościołowi i już od najmłodszych ich lat, nie zważając na ich obyczaje, usilnie się starały o biskupstwa i opactwa dla nich. Po raz pierwszy nasz Święty stał się intrygantem, aby odwrócić od siebie to brzemię. Posyłał swoich przyjaciół z prośbą, aby przemawiali za nim. Zdecydował się nawet udać wprost do królowej; lecz wszystko zawiodło wobec niezłomnego jej postanowienia. To też wyraźnie mu oświadczyła, że obstaje przy tem „by oddał tę posługę Bogu i królowi, synowi jej”. Św. Wincenty ustąpił

¹⁾ Lettres t. I, str. 454.

²⁾ Abelly t. II, str. 133.

wobec tych nalegań „choćby dobrze przewidywał wielkie burze i gwałtowne wstrząśnienia, na jakie miał być wystawiony wśród tego rozhukanego morza dworu, a własne doświadczenie uczyło go, że obstając za sprawiedliwością i pobożnością, spotka się z wielu przeciwnościami i nawet z prześladowaniem ze strony świata; uznał więc, że nie może lepiej uczynić, jak zdać się na Opatrzność Boską, co do przyjęcia narzuconego mu urzędu i zachować niezłomną wierność Bogu i królowi, pomimo wszystko, co spotkać go może”.¹⁾

Podobne stanowisko dawało Św. Wincentemu „wstęp do dworu”, jak wówczas mówiono. Każdy inny korzystałby z tego, by jaknajczęściej tam bywać przy występach królowej, i starać się o stosunki z nią. Lecz inne były myśli naszego Świętego. Odrazu postanowił przychodzić li tylko na wezwanie do „Rady sumienia”, lub na wyraźny rozkaz królowej. Za żadną cenę nie zdawało mu się właściwem wciskać się do tłumu dworaków, gdzie jednak nie brakło ani biskupów, ani kardynałów.

Następnie postanowił, że do pałacu królewskiego chodzić będzie w tem samym codziennem swoim ubraniu, w tej samej grubej, połatannej sutannie, która i dziś jeszcze zachowuje się jako relikwia, przy tym samym lichym, welnianym pasie; w grubych trzewikach i nędznym kapeluszu; wszystko to jednak było „bez plam i bez dziur”, lecz najuboższe. Raz Mazarini, wobec królowej, ujawnszy koniec tego lichego pasa, powiedział: „Racz spojrzeć, Najjaśniejsza Pani, jak się ubiera o. Wincenty, wstępując do dworu, jaki piękny pas nosi”. Pokorny nasz Święty uśmiechnął się tylko, lecz i po tych słowach kardynała, nie chciał nigdy zmienić ubrania, nawet idąc do królowej.

Gdy przechodził przez wielkie sale i wspaniałe galerie Luwru, udając się na „Radę sumienia”, wówczas panowie, siedzący na ławach, wstawali z głębokim ukłonem. On nie widział ich prawie. Przechodził ich rzędy nie spiesząc, lecz i nie zatrzymując się, z oczami spuszczone, z obliczem skromnem, pełnem wielkiej dobroci. Była to cotygodniowa męczarnia jego. W procesie kanonizacyjnym mamy następujące zeznanie p. Le Pelletier: „Byłem bardzo młodym jeszcze, sekretarzem stanu

¹⁾ Abelly t. II, str. 133.

za Ludwika XIV, gdy widziałem w Luwrze sługę Bożego, a widywałem go wiele razy. Wydawał się tam skromnym, roztropnym i pełnym godności. Dworacy, pralaci, duchowni i inne osoby okazywali mu wiele szacunku, co on przyjmował z niesłychaną pokorą. Wychodząc z Rady, gdzie decydował o losie tego, co było największym w królestwie, był zarówno dostępny i poufaly z każdym, jak wśród niewolników w Tunisie i wśród skazańców. Pewien cnotliwy biskup, który nie widział go od czasu jego wstąpienia do dworu, a spotkawszy go równie pokornym i uprzejmym, równie gotowym do wszelkich usług, nie mógł się powstrzymać od uwagi: „O. Wincenty, jest zawsze tem samym o. Wincentym.” Były pogłoski, że królowa chciała go obdarzyć kapeluszem kardynalskim. Grzeczność i ukłony podwoiły się; powinszowania, składane mu z tego powodu, jakby uderzenia sztyletu godziły weń. Purpura rzymska, przy jego pokorze, byłaby prawdziwą purpurą męczennika.

Inne jeszcze postanowienie zrobił św. Wincenty w dzień nominacji do „Rady sumienia”; nigdy nic od nikogo nie przyjmować ani dla siebie, ani dla swoich. Że dla siebie, to łatwo zrozumieć; lecz dla swoich, dla drogiej swojej kongregacji Misyjonarzy, dla ubogich, czemużby nie mógł, zdawało się, korzystać ze stanowiska swego, by robić potrzebne starania, a przynajmniej przyjmować, gdyby mu co ofiarowano? Lecz był on niezłomnym pod tym względem. Ten sam sekretarz stanu Le Pelletier oświadcza: „Zdarzało mi się być w blizkich stosunkach z o. Wincentym. Czynił on więcej dobrego we Francji dla Kościoła i dla religii, niż ktokolwiekby z tych, których znałem, lecz to szczególnie zauważyłem, że w „Radzie sumienia”, gdzie był głównym czynnikiem, nigdy nie podnosił kwestyi ani o swoich interesach, ani o interesach swojej Kongregacji, ani tych duchownych zakładów, które stworzył”.

Świętobliwy kapłan rozumiał, że jeżeli bezinteresowności swojej nie posunie do bohaterstwa, to nie uniknie propozycji, na której samo wspomnienie dreszcz go przenikał. „Pewnego dnia jeden z najbliższych jego przyjaciół przyszedł z ofiarą 100000 liwrów w imieniu kilku osób, aby otrzymać poparcie jego w Radzie na rzecz pewnych planów, które wcale nie miały obciążać ludu, lecz mogły szkodzić interesom kleru”. Św. Wincenty ograniczył się do odpowiedzi: Niech mię Bóg zachowa! Wolę umrzeć, niż jedno słowo wyrzec w tym przedmiocie”. A in-

nym razem, pewien wysoki urzędnik mający i wielkie wpływy starał się usilnie, aby otrzymać pewne opactwo dla swojego syna, który wcale nie był tego godnym. Obawiał się on opozycji Wincentego; zwrócił się więc do jednego z jego kapłanów, mówiąc mu: „Jeżeli o. Wincenty zgodzi się na przyznanie mi tego opactwa, to obowiązuję się do przywrócenia bez żadnych zabiegów z jego strony, ani ze strony jego Kongregacji, wszystkich praw i znacznych dochodów, jakich pozbawiono klasztor św. Łazarza. Doskonale znam drogę do tego wiodącą. Niech o. Wincenty nie ma skrupułu, niech nie traci czasu, póki jest w łaskach, ani tej sposobności do oddania usługi swemu Zgromadzeniu. Czyż inne Zgromadzenia tego nie czynią?” Gdy powtórzono Świętemu te ponętne słowa, on ograniczył się do takiej odpowiedzi: „Za wszystkie skarby świata, nie uczynię nigdy nic, ani przeciw Bogu, ani przeciw memu sumieniu. Zgromadzenie nie zginie z powodu ubóstwa; a obawiać się raczej trzeba, by nie zginęło z braku ubóstwa”. To samo odpowiedział jednemu gubernatorowi wielkiego miasta, który prosił go o oddanie mu pewnej usługi u dworu, a za to obiecał podtrzymywać miejscowych Misyjonarzy, którym osoby wpływowe stawiały wielkie przeszkody. „Będę służył Panu, jeżeli będę mógł, odpowiedział, lecz co się tyczy sprawy księży Misyjonarzy, to proszę Pana zostawić ją w ręku Boga i sprawiedliwości. Wolę, żeby ich nie było w waszem mieście, niż żebym miał ich tam widzieć, zawdzięczając to tylko łasce i wpływom ludzi”.¹⁾ Wszelkie, jakiegobądź rodzaju propozycje, odbijały się o jego bezinteresowność, jak strzały o nieprzenikliwy puklerz.

Lecz przedewszystkiem postanowił sobie św. Wincenty à Paulo to, aby korzystać ze stanowiska, którego nie szukał, które Bóg mu dał pomimo niego — i pracować z całą energią, do jakiej był zdolny, cicho i cierpliwie, lecz z całą też gorliwością i zapałem, jaki czuł w duszy swojej, nad dziełem odrodzenia Kościoła francuskiego, przez wybór dobrych biskupów. Ostatecznie wszystko od nich zależało. Mając biskupów bez powołania, bez nauki, bez obyczajów, niegodnych nawet być kapłanami, gorszących swój kler i swoją trzodę, jakie zapanują stosun-

¹⁾ Meynard t. III, str. 406.

ki? Jeżeli mieć będziemy biskupów, nierezydujących nigdy przy swoich katedrach, bywających w dyecezyi jedynie dla otrzymania dochodów, wyrabujących swoje lasy, zbyt kowno odbudowujących swoje pałace, to czy podwładni im kapłani będą pokorni, skromni, zdolni do poświęcania się, przywiązani do stanu swego? Jeżeli mieć będziemy biskupów ambitnych, uważających zawsze stolicę swoją za zbyt małą, marzących o przeniesieniu się z biskupstwa na arcybiskupstwa, aby zostać kardynałami, i całą troską poziomej swej duszy kierując tylko ku temu, to czyż księża ich nie przejmą się podobnym przykładem, czyż nie będą marzyć i dążyć do tłustszych prebend, do opactw, do biskupstw? Otóż takie nieporządki były częste w episkopacie owoczesnym i stawały się prawie niezmożoną przeszkodą do odrodzenia kleru.

Pierwszem co Wincenty zdołał osiągnąć za pośrednictwem „Radysumienia”, było to, że przestano wynosić na stolice biskupie dzieci. Dla otrzymania nominacyi na opata postanowiono jak najniższy wiek lat ośmnaście a na przeorstwo lub kanonię przy kościele katedralnym lat szasnaście; na kanonię przy kościele kolegiatnym lat czternaście. Na biskupstwo postanowiono mianować nie inaczej, jak po całym przynajmniej roku kapłaństwa. Niestety! już same te pierwsze postanowienia „Rady sumienia” dotyczą żywych ran Kościoła francuskiego XVII wieku. Zło musiało być bardzo głęboko zakorzenionem, skoro św. Wincenty nie miał odwagi wymagać więcej.

Drugą sprawą, której potrzebę załatwienia św. Wincenty za palącą uważał, było zapobieżenie temu, aby przed nominacją na biskupstwo nie uszczuplać majątku biskupiego; zwyczajem bowiem było obcinać część dochodów z dóbr biskupstwa na rzecz magnatów i synów magnackich, tak, że gdy ubogi biskup przybywał na miejsce, to nie miał środków potrzebnych na spełnianie, związanych z pasterstwem, uczynków miłosierdzia. Działo się to zwłaszcza w prowincjach oddalonych i biskupi wobec tak uszczuplonych dochodów, nie chcieli rezydować przy katedrach a przyjeżdżali do Paryża, zabiegając o bogatsze biskupstwa, przeorstwa lub opactwa, aby zwiększyć swoje środki materyalne.

Trzecią sprawą, którą udało się załatwić św. Wincentemu, było zniesienie, a przynajmniej bardzo znaczne zmniejszenie tego, co się w języku prawniczym nazywało *devolu*, Duchowni

otrzymywali brevet, na którego mocy wolno im było wybrać sobie biskupstwo, opactwo, lub kanonię, w których posiadanie wchodzili z chwilą, gdy udało się im usunąć prawowitego beneficyata. Skutkiem tego wszczynano intrygi, potajemne śledztwa, skargi do sądów, procesy, aby w ten sposób zniewolić opornego do ustąpienia, albo zmusić do sowitego okupu. Było to uprawnieniem ambicyi, chciwości i szpiegostwa.

Lecz największe, co zdobył św. Wincenty à Paulo, to przyjęcie za zasadę, że odtąd mianowano na biskupstwa, opactwa, kanonie jedynie tylko ludzi posiadających warunki, wymagane przez sobór Trydencki, co do odpowiedniej nauki i wypróbowanej cnoty. Rozpoznanie tych zasadniczych warunków nie było trudnem, lecz trudno opowiedzieć ile, przy zastosowaniu tej zasady w praktyce, trzeba było stoczyć walk najcięższych, często bardzo subtelnych i bohaterskich. Królowa niezaprzeczenie miała dobre chęci, lecz było słabą i uległą wpływom Mazarini'ego. Ten, chociaż kardynał, nigdy nie był kapłanem. Był on wierzącym, lecz była to wiara pomieszana z wszelkiego rodzaju ustępliwością i bardziej jeszcze, niż Richelieu, patrzył on na sprawy religijne i kościelne z punktu widzenia politycznego. Okrążony nieprzyjaciółmi, zmuszony dwa razy usuwać się z widowni politycznej, gotów był na wszystko, by zyskać dla siebie lub rozbroić magnata, potentata, a cena biskupstw i opactw nie krępowała go bynajmniej. Dwaj inni członkowie Rady: jeden kanclerz Seguier, ze znakomitej rodziny, spowinowaconej z kardynałem de Bérulle i panią Acarie, której brat był biskupem w Meaux, a siostra i siostrzenica Karmelitankami; drugi Charton wielki penitencyaryusz z Nôtre Dame de Paris byli bardzo dobrymi i gotowymi do popierania zamiarów św. Wincentego we wszystkim, co dotyczyło czci i świętobliwości kleru, lecz ani jeden, ani drugi nie byli w stanie sami stawić oporu Mazarini'emu. Łatwo stąd wnosić, jaką musiała być sytuacja św. Wincentego à Paulo w „Radzie sumienia”, gdy chodziło o mianowanie biskupa. Gdzie nie wchodziły w grę ani polityka ani inne względy, Mazarini się nie opierał i nie przeszkadzał i nasz Święty w ciągu lat dziesięciu zdołał przeprowadzić znaczną liczbę doskonałych nominacyj, lecz gdy wchodziły w grę interesy polityczne, to ani niewłaściwość proponowanego kandydata, ani inne jakiegobądź zarzuty nie zdołały powstrzymać Mazarini'ego. Tem nie mniej nasz

Święty wypowiadał zawsze swoje zdanie spokojnie, chłodno, rozważnie przedstawiając wszystkie powody, wymagające usunięcia tego lub owego kandydata; a po wypowiedzeniu swych uwag schylał głowę i milczał. Lecz ile boleści musiała znieść dusza tak wrażliwa! Ugiął się pod brzemieniem. Cała korespondencya jego z tej epoki jest nieustannym prawie jękiem. „Drżę z obawy, by ten przeklęty targ o biskupstwa nie ściągnął przekleństwa Bożego na to królestwo”. A do superyora domu w Rzymie pisze: „Nigdy nie byłem bardziej pożałowania godnym, jak teraz, nigdy nie czułem większej potrzeby modlitwy za siebie, jak w czasie, gdy posiadam ten nowy urząd. Mam nadzieję, że to nie będzie zbyt długo. Módlcie się za mnie do Boga.” A innym razem, zwracając się do swoich kapłanów, „codziennie błagam Boga, by miano mnie za głuptasa, jakim jestem i nie używano mnie do spraw tego rodzaju, a dano mi możliwość pokutowania za grzechy moje”. Gdy obiegała pogłoska, że wpadł w nielaskę u dworu: „Ach! oby Bóg dał, by to było prawdą, zawołał, bijąc się w piersi i podnosząc oczy ku niebu! Lecz taki, jak ja, nędznik nie jest godzien takiej łaski”. W tym samym duchu pisał do Codoing’a, superyora w Rzymie 4 Stycznia 1645: „Bogu niech będzie chwała za to wszystko, co mi mówisz! Prawda, że były pewne pozory, iż nie długo już znościć mnie będą na moim urzędzie, lecz grzechy moje są przyczyną, iż stało się inaczej, i że nie podobało się Bogu przyjąć ofiary, jaką w tym celu pragnę złożyć”. Niema dymu bez ognia. Mazarini usiłował usunąć św. Wincentego z „Rady sumienia”. I trzeba to poczytać za zasługę Annie Austriackiej, że nie zdołał uzyskać jej zgody na to. Wówczas z przebiegłością jemu właściwą, począł zbierać Radę nieregularnie, jakby przypadkowo, bez oznaczenia stałego czasu i nie wzywając naszego Świętego w tych szczególnie razach, gdy chciał przeprowadzić nominację, na którąby się on nie zgodził.

Królowa była bogobojną i św. Wincenty, którego wysoce poważala, mógłby się całkowicie na niej opierać; na nieszczęście Mazarini opanował ją i często podpisywała nominacje wbrew wskazówkom sumienia. Zmęczony temi walkami i nie mogąc przełamać naszego Świętego, Mazarini postanowił znieść „Radę sumienia”. P-i de Motteville, wierna przyjaciółka Anny Austriackiej, wspomina dyskretnie o słabym oporze i boleści królowej, lecz wówczas wszystko ugiąć się musiało przed wolą wszechwład-

nego ministra. „Po niejakiem czasie,—pisze p-i de Motteville,—„Rada sumienia” została zniesioną z powodu, że ojciec Wincenty, który stał na jej czele, będąc człowiekiem żelaznym, który nigdy nie myślał o tem, by zyskać łaski ludzi dworskich, a których intryg nie znał, był przez nich ośmieszany. Niemożliwym prawie było, by pokora, duch pokuty i ewangeliczna prostota, pogodzić się mogły z ambicyą, próżnością i interesownością, jakie tam panowały. Ta, która go tam wprowadziła, bardzo chciała podtrzymać go; dlatego też miała jeszcze z nim długie rozmowy o skrupułach, które w nim się budziły, lecz w tym wypadku zabrakło jej mocy i często pozwalała na bieg rzeczy wedle życzenia swego ministra, nie ufając sobie, żeby mogła dorównać w zręczności i umiejętności kierowania sprawami. To było przyczyną, że łatwo mu było przekonać ją o tem co chciał i po pewnym oporze uzyskać jej zgodę. Wiem jednak, że zwłaszcza w kwestyi wyboru biskupów, miała wielkie trudności i troski, a martwiła się jeszcze bardziej, gdy spostrzegala, że zbyt łatwo ustępowała naleganiom Mazarini’ego. Nie zawsze się to jednak zdarzało a nigdy bez szczególnej porady albo ojca Wincentego póki żył, albo innych osób, które uważała za ludzi dobrej woli. Wszakże niekiedy oszukiwaną była przez udaną cnotę pretendentów do prelatur i te bogobojne osoby, na których zdaniu polegała, a które niekiedy działały nazbyt lekko-myślnie. Jednak pomimo obojętności, jaką pod tym względem ujawniał Mazarini, Bóg łaską swoją sprawił, że większa część podniesionych do tych godności biskupów za regencyi królowej odpowiadała obowiązkom swoim i czynności swoje pełniła z przykłądną świętobliwością”.¹⁾

Wszakże nie tylko w samej „Radzie sumienia” cierpiał św. Wincenty, widząc tak łatwo poświęcane cześć Kościoła i dobro dusz wiernych; poza „Radą” oblegany był przez prośby, starania, nalegania które go przejmowały dreszczem oburzenia, a często towarzyszyły im zniewagi, obelgi, pogrożki, złorzeczenia, oszczerstwa i nawet po prostu razy. Pewien zakonnik, głośny wśród braci swojej z surowości życia, a wśród wiernych z wymowy kaznodziejskiej, pisze do Świętego przedstawiając mu długie i liczne prace swoje, surowość swojej reguły,

¹⁾ Memoires de M-me de Motteville. Paris, Imprimerie Firmin-Didot. 1838. t. X. str. 66.

osłabienie sił i wyrażając obawy, że w takim stanie nie długo już będzie mógł służyć Bogu i Kościołowi, „lecz, dodaje, gdyby mię dwór mianował sufraganiem arcybiskupa w Reims, to uwolniony, jako biskup, od postu i od innych surowości zakonnych, mógłbym jeszcze długo i skutecznie być pożytecznym kaznodzieją. Proszę więc Ojca, jako przyjaciela, o wypowiedzenie mi swego zdania, a jeżeli ono będzie mi przychylnem, proszę o pomoc wobec króla do otrzymania nominacji. Jestem przytem pewny, że znajdę poparcie osób, posiadających tam wpływ i powagę”. Święty Wincenty odpowiedział listem, w którym pomiędzy wierszami odczuwa się ironię: „Nie wątpię zgola, że Rewerencya wasza cudów dokonaćby mogła na prelaturze, gdyby to było z powołania Bożego, lecz gdy podobało się Bogu wezwać Ojca na inne stanowisko, jak to widać z tego powodzenia prac i z życia Twego, to nie zdaje się, żeby Bóg chciał odwołać cię stamtąd. Bo gdyby Opatrzność miała wolę powołać Ojca na biskupstwo, to bezwątpienia nie ku Tobie by się zwróciła, abyś miał się sam starać o to, lecz raczej natchnęła by tych, którym dana jest władza mianowania na wyższe dostojenstwa duchowne, aby Ojca sami wybrali, bez żadnych z Twojej strony starań o to. I wówczas powołanie Twoje byłoby czystem i pewnem. Natomiast nastęrczają się poważne wątpliwości, gdy sam przedsiębiorzesz starania, i zapewne nie mógłbyś się spodziewać błogosławieństwa Bożego przy takiej zmianie, która nie może być ani pożądaną, ani godną wysiłków dla duszy prawdziwie pokornej, jaką jest Twoja. A przytem, czcigodny Ojczy, jakabyście szkodę przynieśli zakonowi swemu, pozbawiając go jednej z głównych kolumn, która go podtrzymuje i nauką swoją i przykładem. Raz wskazawszy tę drogę, dasz powód innym do pójścia za przykładem Twoim, a przynajmniej do zniechęcenia się w ćwiczeniach pokutniczych. Nie zabraknie nikomu pretekstów do zmiękczenia i zmniejszenia wymagań reguły, bo natura łatwo ustaje w surowości i dając jej posłuch, zawsze powie, że to za wiele, że trzeba się oszczędzać, by przedłużyć życie i lepiej służyć Bogu. Gdy tymczasem Pan Nasz powiedział: „Kto miłuje duszę swoją—straci ją”. Wiesz lepiej ode mnie to wszystko, co o tem można powiedzieć i nie ośmieliłbym się wypowiedzieć Ci tych uwag moich, gdyby nie żądali tego ode mnie. Lecz może nie oglądasz się na oczekującą Cię ko-

ronę. Boże! jak piękną będzie ona! Tyleś czcigodny mój Ojczy uczynił, by szczęśliwie ją zdobyć i może nie wiele już ci do zrobienia zostało; trzeba wytrwałości na tej wąskiej drodze, na którąś wszedł, a która prowadzi do żywota. Jużś przełamał największe trudności: trzeba więc tylko odwagi i ufności w Bogu, że da On ci łaskę zwyciężenia i najmniejszych. Jeżeli uwierzysz słowom moim, to zawieś na czas jakiś prace kaznodziejskie, dla poprawienia zdrowia swego. Możesz jeszcze oddać wielkie usługi Bogu i zakonowi swemu, który jest jednym z najświętobliwszych w Kościele Jezusa Chrystusa”. ¹⁾ Dobry zakonnik zrozumiał naukę i wyrzekł się ambitnych zamiarów swoich.

Innym razem Pan de Chavigny sekretarz Stanu, jedna z najwyższych osobistości owego czasu, stracił drugiego syna obdarzonego opactwem i rodzina prosiła o przyznanie opactwa tego trzeciemu synowi, który miał pięć czy sześć lat wieku. Gdy się zwrócono z tem do św. Wincentego, ten odmówił stanowczo i cierpliwie oczekiwał objawów gniewu ministra. Lecz spotkał go miły zawód. Czytamy w jednym z listów: „Minister odwiedził mnie i oznajmił mi, że nie tylko niema mi za złe oporu mojego, lecz że przeciwnie, gdybym był ustąpił wymaganiom owej pani, uczułby się zgorszonym, a nawet pogardzałby mną i nigdy nie zgodziłby się na podobną nominację”. ²⁾ Lepsze więc pojęcia zaczęły przenikać ówczesne dusze. Coprawda jednak św. Wincenty nie zawsze spotykał usposobienia tak przystępne do pojęć i uczuć chrześcijańskich. „Starym głupcem jesteś, powiedział mu raz młody szlachcic, zawiedziony w swoich rachubach”. — „Masz rację, mój synu, odpowiedział świętobliwy starzec, padając na kolana, i proszę cię o przebaczenie za to, że ci dał powód do wypowiedzenia słów takich”.

Pewna wielka dama przyszła prosić o beneficjum dla jednego z synów swoich: „Wybacz mi, pani, odpowiedział Święty, ja się nie mieszam do tej sprawy”. Zdziwiona tem, jak jej się zdawało, nieprzychylnem przyjęciem, przez biednego księżynę, jakgdyby był największym panem, unosząc się pychą i gniewem, zawołała: „Istotnie, księżę, można się obejść bez Ciebie, i potrafię dojść do tego innemi drogami. Zadużo za-

¹⁾ Maynard t. III, str. 408.

²⁾ Lettres t. I str. 499 № 434.

szczytu zrobiłam księdzu, zwracając się do niego, i widzę, że nie wiesz jeszcze, jak się obchodzić należy z kobietą mojego stanowiska!" Św. Wincenty odpowiedział milczeniem, z którego i obelgi nawet nie mogły go wyprowadzić. Niekiedy interesanci zapominali się do takiego stopnia, że posuwali się do bicia, jak to się zdarzyło pewnemu panu, któremu Święty odmówił biskupstwa dla syna. Ten publicznie podniósł rękę na niego. „Masz rację, panie, powiedział mu Św. Wincenty, jestem nędznym grzesznikiem". Pan ów wskoczył do powozu; lecz nie tak łatwo pozbył się pokornego kapłana, który biegł za nim i nie opuścił go, aż po złożeniu głębokiego ukłonu.¹⁾ Raz znów młody człowiek wyższego towarzystwa prosił o opactwo, i otrzymał obietnicę pod warunkiem zgodzenia się na to św. Wincentego. Poszedł więc z guwernerem swoim do świętego Łazarza. Zaczęło się od zwykłych grzeczności, od wyrażenia podziękowania z góry całej rodziny pretendenta, od wyliczenia wszystkich teraźniejszych i przyszłych przymiotów jego: słowem — było wszystko, co dowodziło raczej większego pożądania beneficyum, niż zasług proszącego. Uprzedzony już przedtem św. Wincenty, skromnie przedstawiał w odmiennych kolorach całą sprawę i skończył odmową, którą wyraził w zwykłej swej formie: „Proszę więc pana, abyś pogodził się z tem, iż nie zgadzam się na rzecz, z której przed Bogiem zdać muszę rachunek". Na te słowa guwerner wpada w gniew i z kulakami posuwa się ku Świętemu, ziejąc potokami obelg, a widząc, że nie może nawet wyprowadzić go z cierpliwości i spokoju, wychodzi. Św. Wincenty z wielką grzecznością przeprowadza ucznia i nauczyciela aż do powozu.

Lecz najczęściej uciekano się do oszczerstwa; prześladowano niegodziwemi obwinieniami, które dochodziły nawet do królowej. „Czy wiesz, o. Wincenty, co o Tobie mówią? — zapytała go raz z uśmiechem królowa. — Najjaś. Pani, jestem wielkim grzesznikiem. — Lecz powinienbyś usprawiedliwić się. — Przeciw Panu Naszemu więcej mówiono, a nie usprawiedliwiał się on nigdy".

„Pewien zły duchowny, którego on nie dopuścił do beneficyum, chciał się zemścić na nim, rozsiewając ubliżające pogłoski wobec wpływowych osób, mówiąc: „Jeżeli o. Wincen-

ty — mówił — nie był za mną, to dlatego, że nie chciałem go przepuścić. Człowiek ten, taki nieprzyjaciół symonii wobec drugich, godzi się na nią dla siebie samego. Znam kogoś, który otrzymał beneficyum za cenę biblioteki i znacznej sumy pieniędzy". Tym razem Święty poczuł się dotkniętym i pod pierwszym wrażeniem wziął się za pióro, by napisać swoje usprawiedliwienie, lecz nakreśliwszy zaledwie kilka wyrazów, rzucił pióro i rzekł do siebie: „Nędzniku! o czem to myślisz? Jakto? Chcesz usprawiedliwiać się! a otóż przed chwilą dowiedzieliśmy się, że pewien chrześcijanin fałszywie oskarżony w Tunisie, trzy dni ponosił męczarnie i nakoniec umarł, bez słowa skargi, chociaż był niewinnym zarzucanej mu zbrodni! a ty chcesz się uniewinniać! O nie, nic z tego nie będzie". Poczem podarł list rozpoczęty.¹⁾

Ani pogrożki, ani obietnice, ani kalumnie, ani gwałty nawet nie mogły go przełamać. Poczęto więc ukrywać przed nim zabiegi, a dla otrzymania biskupstwa lub opactwa zwracać się wprost do królowej lub do kardynała. Stąd trudności bardzo przykre. Podamy dwa tylko przykłady przedziwnej piękności. Dwór był poza Paryżem, Mazarini pisze do św. Wincentego: „Księżę, piszę aby ciebie zawiadomić, że pan N. pośpieszył tu prosząc królowę o biskupstwo N. od dni kilku wakujące, dla syna swego, na co królowa zgodziła się tem chętniej, że posiada on odpowiednie przymioty i że Jej Kr. Mość rada jest skorzystać z nadarzającej się sposobności, aby okazać w osobie syna, uznanie zasług ojca i gorliwości jego o dobro Państwa. Królowa obiecała mi, że sama napisze do księdza, a ja chcę ją uprzedzić, abyś raczył go zobaczyć i dać mu wskazówki i rady, jakie uznasz za potrzebne, aby dobrze się wywiązał na tem stanowisku"...

Św. Wincenty znał brak należytych przymiotów nowego kandydata. Bez wątpienia ani przed Bogiem, ani przed ludźmi nie był odpowiedzialnym za nominację, w której nie przyjmował żadnego udziału, i mógł nie obarczając sumienia swego, zachować się biernie wobec żądań Mazarini'ego. Lecz cześć i dobro Kościoła, lecz potrzeby wielkiej dycezyi długo zaniedbanej przez poprzedniego biskupa, a mającej dostać się znowu

¹⁾ Maynard t. III, str. 412.

¹⁾ Maynard t. III, str. 405.

w tak nieudolne ręce! Z boleścią w duszy ten Boży człowiek oglądał się na wszystkie strony. Wszelka droga odwrotu zamkniętą mu była ze strony regentki, która nagłona przez Mazarińskiego, aby już się nie cofać, zarządziła sporządzenie odpowiedniego dekretu nominacyjnego. Jedynym środkiem była odmowa samego zainteresowanego, lecz to wydawało się złudzeniem. Święty chciał jednak spróbować. Odszukał ojca nowego nominata, dawnego przyjaciela swego i otwarcie przedstawił mu, jakie cnoty wymagane są od biskupa, a jakie wady miał syn jego, w końcu oznajmił: „Obowiązkiem waszym jest odeśłać dekret otrzymany od dworu, jeżeli nie chcecie wystawić się sami z synem swoim, a może i z całą rodziną, na gniew Boży”. Ojciec wysłuchiwał tego z całą uwagą płynącą i z własnej pobożności i z szacunku, jaki miał dla świętobliwego człowieka, lecz istotnie wyrazy Świętego były jakby uderzeniem piorunu. Przygnębiony nimi prosi o łaskę odwłoki dni kilku, obiecując namyślić się i rozważyć. Gdy po kilku dniach Święty znów przyszedł, przyjął go temi słowy: „O, o. Wincenty, jak ciężkie chwile przeżyłem z twego powodu”. Lecz stanowisko domu, stan interesów, wiek spóźniony, ilość dzieci, potrzeba wyposażenia ich przed śmiercią: niestety tyle względów ludzkich przeważało przed względami religijnymi, chociaż z powodu nich doznawał ciężkie wyrzuty. Zresztą pocieszał się, czyż syn jego nie może wziąć cnotliwego kapłana, który dopomoże mu w sprawowaniu urzędu?” Krótko mówiąc, względy poziome zapanowały nad podniosłym. Św. Wincenty musiał odejść z boleścią w duszy.

Drugi wypadek może ciekawszy jeszcze. Zawakowała stolica biskupia w Poitiers. Księżna de N---, dama dworu królowej pragnęła otrzymać ją dla swego syna. Przeczuwając, że św. Wincenty nie będzie przychylnym dla jej zamiarów, prosiła o to bezpośrednio regentkę, mówiąc, że dochody biskupstwa są nieznaczące, lecz że to byłoby odpowiednim stanowiskiem wobec rodziny, której główne posiadłości były w Poitou. Anna Austriacka obiecała i obowiązała ją uprzedzić św. Wincentego, którego oczekiwała nazajutrz w zwyczajnej godzinie, dla podpisania nominacji.

Księżna jedzie do św. Łazarza i dla uniknięcia wszelkich wyjaśnień udaje wielki pośpiech i w lakonicznych a stanowczych wyrazach powtarza rozkaz królewski. Próżno Wincenty a Pa-
lo próbuje powstrzymać ją, błagając o kilka minut rozmowy

w przedmiocie tych odwiedzin; Księżna nie chce nic słyszeć, a tylko powtarza rozkaz Jej Kr. Mości, nie mogąc nic dodać do niego.

Nazajutrz Wincenty udaje się do pałacu królewskiego z rulonem papieru w rękę. „A! powiada królowa, to nominacja na biskupstwo w Poitiers, przynosisz mi do podpisu?” I bierze papier — czysty, niezapisany. „Jakto, rzecz zdziwiona regentka, nie zreagowałaś ojcze nominacji?” „Przebacz mi, Najjaśniejsza Pani, odpowiada skromnie nasz Święty; jeżeli Wasza Kr. Mość zdecydowaną jest na ten wybór, to upraszam o napisanie swej woli, do czego ja sumiennie nie mogę przykładać ręki”. — „Jakże żałuję o. Wincenty, że nie rozmówiłam się z wami przed pierwszym zobowiązaniem się! Lecz powiadają, że kandydat choć nieco ograniczony, będzie odpowiednim na to stanowisko. Samo nazwisko zdecydowało mnie; przyjęłam ustną prośbę, z obawy, żeby rodzina nie cofnęła się, nie chcąc zadowolnić się tak szczupłym dochodem. To też spodziewałam się, że i ojciec również jak ja, zadowolony będziesz z tego pokwitowania zyskanego tak małym kosztem”.

Na te słowa, które wskazywały, że decyzja nie była jeszcze nieodwołalną, Wincenty odetchnął; mógł bowiem spodziewać się, że oświecając sprawę ze stanowiska religijnego, zdola uratować cześć episkopatu. Z uszanowaniem więc, umiarkowaniem i oględnością odpowiedział: „Prawda, Najjaśn. Pani, że mówiąc po ludzku, taka prośba miała zdawać się Waszej Kr. Mości skromną, i gdyby sprawowanie się księdza N--- godnym było jego urodzenia i stanu, to mógłby on pretendować do najwyższych godności kościelnych w królestwie; lecz na nieszczęście nie zdaje się, aby tak było”. A przemógłszy w ten sposób przeszkodę, jakie uczucie miłości bliźniego, stawiało wobec poczucia obowiązku sumienia, mówił dalej: „Wczoraj chciałem przelożyć z uszanowaniem księżnej de N--- niektóre uwagi moje, mając nadzieję zyskać od niej, z uwagi na jej bogobojność, zrzeczenie się tej prośby, tak zgubnej dla jej duszy. Lecz nie zdoławszy osiągnąć tego, aby zechciała wysłuchać prawdy, uważam za święty swój obowiązek wypowiedzieć ją, chociaż z wielkim żalem, lecz szczerze, przed Waszą Kr. Mością, a to mając na względzie podwójny jej interes: chwały i zbawienia.” „Widzę, boleśnie odrzekła królowa, że zaskoczono mnie znienacka, lecz dałam słowo moje, i nie radziłbyś

mi, przecie, żebym kiedykolwiek miała go nie dotrzymać". „Najjaśn. Pani! wedle wszelkich zasad moralnych, odwołanie jest nie tylko prawem, lecz nawet obowiązkiem, w razie obietnicy wydartej przez fałszywe przedstawienie, a tembardziej jeszcze w razie, jeżeli nie można wypełnić przyrzeczenia bez popełnienia zbrodni!" „Zbrodni! zawołała królowa, ojciec Wincenty, czyż ja obiecałam zbrodnię?" „Nie, zaiste, Wasza Kr. Mość nie chciała, ani myślała obiecać zbrodni; więc nie obiecała zbrodni. Lecz rzeczywiście popełniłaby zbrodnię i to bardzo wielką, poświęcając całą dyecezyę z powodu przesadnych skrupułów; i z całej duszy mojej wierzę i sumienie moje to mi mówi, że w tej chwili właśnie w takim położeniu znajduje się Wasza Kr. Mość". I dalej unosząc się gorliwością, a ośmieszony dobrotliwością Królowej, odważnie odsłonił całą prawdę: „Ów ksiądz, którego proponowano na biskupstwo, życie spędza w oberżach, zwyczajnie oddaje się nałogowi pijaństwa do takiego stopnia, że prawie co wieczór znajdują go pijanym na ulicy, niepamiętającym nazwiska swego. Rodzina wie o tem; słusznie chciałaby go usunąć z Paryża; ale na takie rekolekcyje nie właściwą jest stolica biskupia", „Cofam moje słowo, prze-rwała przerażona królowa, i na biskupstwo w Poitiers mianuje osobę, którą wy sam wskażesz. Ale zato ojciec sam pójdziesz do księżnej, by ją ze mną pogodzić, opowiadając jej naszą rozmowę. Odbierzesz jej zapewne ochotę nie tylko narzekać, lecz nawet mówić o tem kiedykolwiek".

Przykre polecenie. Lecz nie mając się czego obawiać, chyb tylko o swoją osobę, św. Wincenty wesoło udał się do pałacu księżnej. W przedpokoju zostawił brata (zakonnego), który mu zawsze asystował i wszedł do salonu, gdzie był przyjęty z tak wielką radością, jakby niósł ze sobą biskupstwo całe: „Ojciec przychodzi od królowej?" zapytała księżna. „Tak, pani, przed chwilą byłem u Jej Kr. Mości i przychodzę z Jej rozkazu, aby przedstawić pani niektóre okoliczności, co do których nie miałem szczęścia być wysłuchanym wczoraj". I powtórzył jej całą swoją konferencyę z królową i następnie powiedział: „Przez wzgląd na swoje wieczne zbawienie, nie bierz pani na siebie odpowiedzialności nieodłącznej od prośby o biskupstwo dla takiego syna. Raczej skorzystaj pani z tej okoliczności, by zwrócić go na drogę obowiązku. Wybacz mi, pani, że wypowiadam to z taką otwartością. Królowa też zasmuconą jest

z powodu zmartwienia pani; lecz Pani nie możesz tego żądać, by dla zadowolenia pani, miała ona dać w ofierze duszę swoją. Rachuje ona na religijne uczucia pani i nie wątpi, że rozważywszy tę sprawę, uznasz za słuszne cofnięcie obietnicy".

Na te słowa księżna, która już nie mogła się powstrzymać, podnosi się i obrzuca Wincentego zniewagami i wpada w istną furę, a sądząc, że to za małą jeszcze zemstą, chwytając stojący taboret i ciska nim w głowę Świętego, raniąc go w czoło, z którego krew trysnęła obficie. Wincenty stał nieruchomo w czasie szalejącej burzy, a zachwiał się pod tem uderzeniem i usunął się z salonu, okrywając chustką zakrwawione oblicze. Stojący w przedpokoju brat słyszał wrzawę, a gdy ujrzał Świętego, domyślił się wszystkiego. Uniesiony oburzeniem zawołał, że niewolno traktować w ten sposób jego ojca, kapłana, ministra królewskiego i rzucił się do wnętrza apartamentu. Wincenty zastąpił mu drogę, mówiąc: „Nie masz tam bracie nic do roboty, oto tedy: chodźmy stąd" i pociągnął go za sobą. A przy wyjściu dodał: „Czyż nie jest godnem podziwu jak daleko posuwa się przywiązanie matki do syna!" I na tem skończyła się cała zemsta jego.¹⁾

Szlachetna to była walka, której parę epizodów opowiedzieliśmy, a w której św. Wincenty ujawnił najszczytniejsze przymioty swoje, a zarazem najrzadsze wśród ludzi cnoty—cichość i moc, najgłębszą pokorę wraz z niewzruszoną energią, cierpliwość wśród złorzeczeń, łaskawość nawet w odmowie i niczem niezrażającą się gorliwość w sprawach Bożych, mimo całego szacunku i uległości dla osoby królewskiej, gdy widział, że wkracza na błędną drogę. To też Fénelon powiada: „W tym Bożym człowieku jaśniały niesłychana zdolność rozpoznawania umysłów i szczególniejsza moc. Nie oglądając się ani na przychylne względy, ani na nienawiści możliwych, pilnował wytrwale interesów Kościoła, gdy na rozkaz królowej Anny Austriaczki, matki królewskiej, wypowiadał w „Radzie sumienia" swoje zdanie, co do wyboru biskupów. Gdyby inni doradcy królowej, stali silniej przy tym człowieku, który wzrokiem swoim przenikał przyszłość, to od urzędów biskupich dalecy byłiby ci, którzy później byli sprawcami smut-

¹⁾ Maynard t. III, str. 3—418.

nych zamieszek w kraju i Kościele. Lecz jeżeli nie zdołał przeszkodzić wszystkim nadużyciom i wszystkim słabostkom, to jednak miał niemałą pociechę, widząc podniesiony do godności biskupiej cały zastęp świętobliwych kapłanów i zakonników, wielu uczniów swoich, którzy dawali rękojmię odrodzenia Kościoła francuskiego.

Lecz chociaż tak wielkie były zasługi św. Wincentego w „Radzie sumienia”, powiększające liczbę świętobliwych biskupów, to jednak większego jeszcze znaczenia była sprawa nie przejściowa już, lecz stała: mianowicie, zapewnienie tryumfu zasadom prawdziwie katolickim. I królowę i kardynała i wszystkich ministrów, jako też i członków wielkich, możnych rodów natchnął duchem podniosłego zrozumienia kapłaństwa Jezusa Chrystusa. Położył on tamę istniej orgii targów i przedajności przy zdobywaniu urzędów kościelnych. Wykorzystał symonię, a oczyszczając ducha powołań, przygotował lepszą przyszłość. Już przez samo utworzenie małych i wielkich seminariów, które dotąd wzorują się na jego zasadach, założył potężne podwaliny dla sprawy wydawania dobrych kapłanów. Ustanawiając zaś ćwiczenia ordynandów, które się udoskonaliły i dotąd istnieją, urządzając rekolekcyje u św. Łazarza, które zamieniły się na doroczne rekolekcyje kleru a nakoniec przez zaprowadzenie konferencyi środowych, jako wstęp do konferencyi duchownych, położył zasługi wiecznotrwale. Teraz skończył swe dzieło w „Radzie sumienia”, w której zajął stanowczo pierwsze miejsce wśród zastępu wielkich ludzi i wielkich Świętych, którzy tak wysoko podnieśli Kościół francuski, a dzięki silnym i owocnym instytucyom wytworzonym przez nich, uczynili go zdolnym przeżyć wszelkie rewolucye i przemódz wszelkie niebezpieczeństwa.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO



Książka
IGNACY WIEROBIEJ

95580/1

95 580₁

KSIEGARNIA SW. WOJCIECHA

poleca następujące wydawnictwa

BIBLIOTEKI DZIEŁ CHRZEŚCIJAŃSKICH:

- Antoine K. Kurs Ekonomji Społecznej, przekład Walerego Gostomskiego, 3 tomy. Cena 12,— mk.
- Batiffol Piotr. Badania z zakresu Historji i Teologii pozytywnej, przełożył Ks. Jan Piotrowski. Cena 4,— mk.
- Foerster W. Fr. Chrześcijaństwo i walka klas. Przekład I. I. R. Cena 5,— mk.
- Ks. Dr. Gabryl Fr. Polska Filozofja Religijna w wieku XIX. Dwa tomy. Cena 16,— mk.
- O. Guthbert Z. S. O. Fr. Idealy katolicko-społeczne. Cena 5,— mk.
- Hello Ernest. Filozofja i ateizm, przekład I. I. R. Cena 5,— mk.
- — Oblicza Świętych, przekład z franc. Cena 4,— mk.
- Jeske-Choiński T. Pozytywizm w literaturze i sztuce. Cena 4,— mk.
- Ks. Kneller Karol Alojzy S. J. Chrześcijaństwo a przedstawiciele nowoczesnej wiedzy przyrodniczej, przełożył z drugiego wydania niem. S. Barszczewski. Cena 4,— mk.
- Paciorkiewicz Maurycy. Bossuet i Fénelon, studjum. Cena 3,60 mk.
- Ks. Dr. Pawlicki Stefan, C. R. prof. Uniw. Jagiel. Żywot i dzieła Ernesta Renana, z przedmową autora, wydanie trzecie poprawione i uzupełnione, 2 tomy. Cena 8,— mk.
- Ks. Dr. Sykora J. L., prof. Teol. Uniw. w Pradze. Wstęp do Pisma świętego, przetł. i uzup. Ks. Zygmunt Chełmicki, t. I. Żyć za czasów Jezusa Chrystusa i Apostołów, przyczynek do historii przez Ks. E. Beurlier dra teol., przekład z franc. Cena 5,— mk.
- — Historia święta, przetłumaczył i uzupełnił Ks. Zygmunt Chełmicki, t. II. Stary Zakon, t. III. Nowy Zakon. Cena 10,— mk.
- Ks. Szandlerowski Antoni. Rzym. Mozaika, jako chrześcijańska sztuka bazylikowa, studjum archeologiczne. Cena 3,60 mk.